ODKRYWCA®

SKARBY INA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400
CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NR 5 (196) MAJ 2015

Festung Breslau i Glogau - ostatnie ofiary agonii III Rzeszy

www.odkrywca.pl

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104
9 771505 610056

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE!
GARRETT® METAL DETECTORS
www.garrett.com
GTI 1500
GTI 2500
ACE 150
ACE 250
EuroAce
ATX
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
AT Pro
AT Gold
white's
Spectra V3i
Spectra VX3
MXT Pro
MXT Tracker
Matrix M6
MX5
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
TM 808
MINELAB
CTX 3030
E-Trac
Safari
Excalibur II
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Nokta ENGINEERING
FORS CoRe
NOWOŚĆ
VELOX One
SDC 2300
NOWOŚĆ
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F70
F2
F4
F5
F19
NOWOŚĆ
Pro-Tech
NOWOŚĆ
F75
CZ 21
1280-X Aquanaut
Pro-Arc
NOWOŚĆ
XP
Deus
GMaxx II
Adventis 2
NOWOŚĆ
Gold Maxx
ADX150
NOWOŚĆ
podwodny • wodoszczelny do 3m
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sprzedaż wysyłkowa i ratalna

MAJ 2015

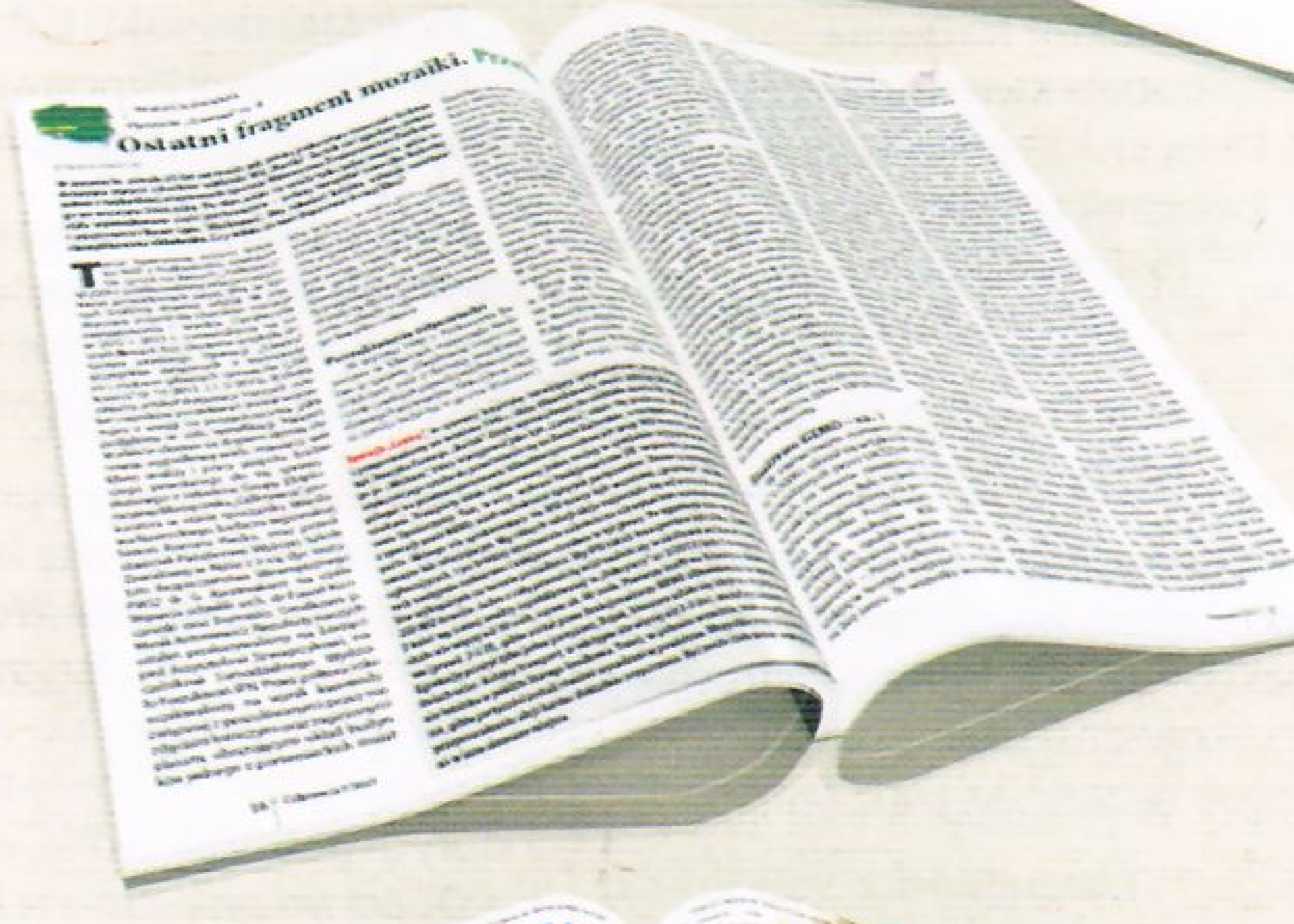

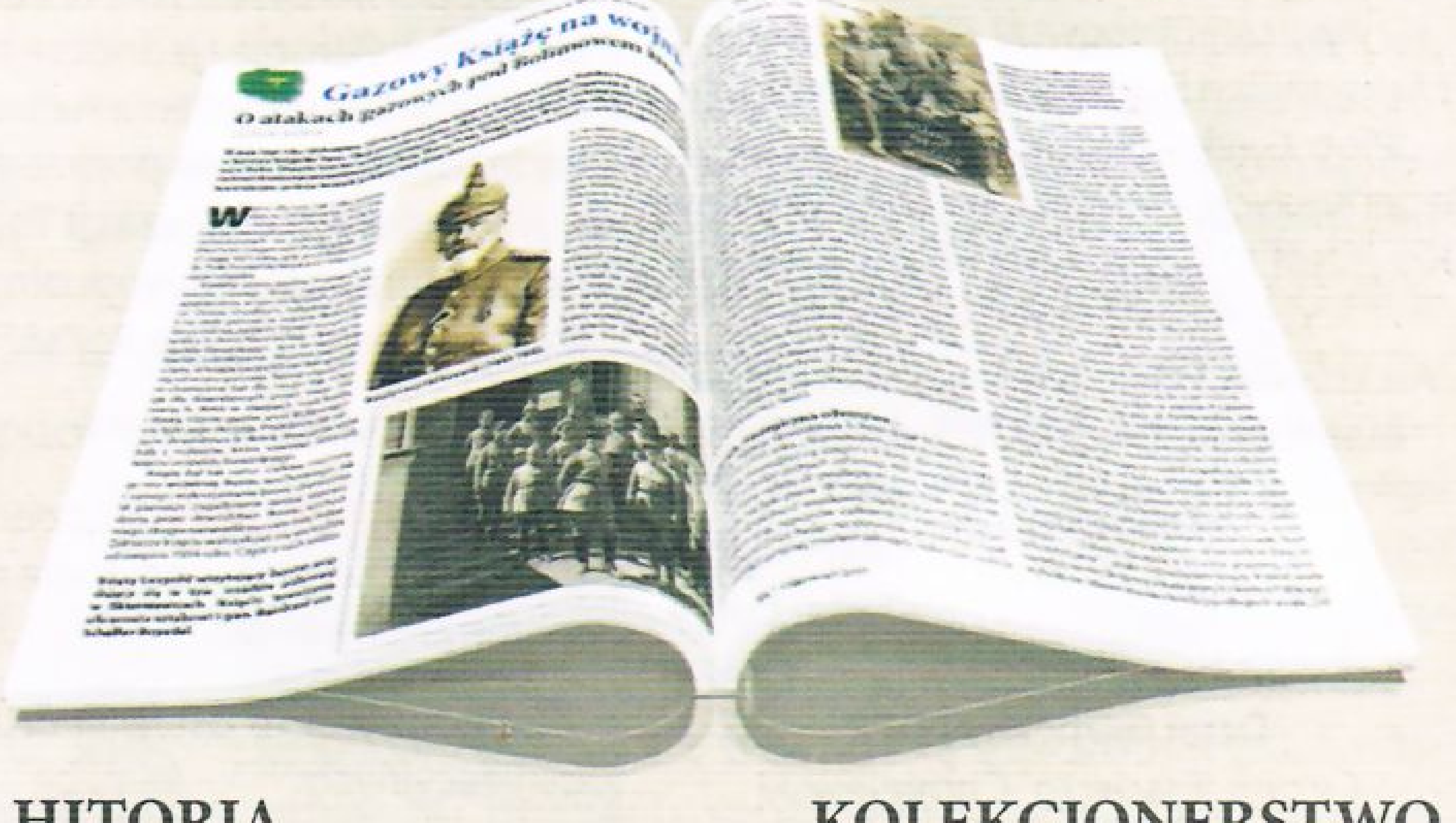

X KONFERENCJA „WROCŁAW – MIASTO NIEODKRYTYCH TAJEMNIC”

3 Lubiąż – klasztor skarbowych nadziei
Podczas poszukiwań ukrytych walorów bankowych III Rzeszy został odnaleziony skarb. Służby specjalne dyskretnie wywiozły go z miejsca odkrycia i zdeponowały w bezpiecznym miejscu. Po dokonaniu wyceny, oficerowie wywiadu wojskowego upłynnili jego część na zachodzie...
Piotr Maszkowski

8 Zejście do piekła
Leszek Adamczewski

13 Obłęd'45
Nie tylko Festung Breslau...
Piotr Galik

POSZUKIWANIA

16 Ostatni fragment mozaiki. Przełom?
Minęło 25 lat od chwili, gdy prokuratura rozpoczęła śledztwo dotyczące śmierci członków oddziału NSZ „Bartka”. Zostali oni zgładzeni podczas jednej z najbardziej utajnionych operacji MBP we wrześniu 1946 roku. Do dziś udało się ustalić tylko jedno miejsce, gdzie zostali wymordowani. Aby odnaleźć kolejne, należało rozwiązać skomplikowaną układankę. Czy udało się nam dopasować do niej klucz?
Operacja „Lawina” (cz. 4)
Łukasz Orlicki

22 Kości wydarte ziemi...
Przemysław Lewicki

27 Dużo butli, duży kłopot?
Odnalezienie butli gazowych z I wojny światowej
Stanisław Kaliński

30 Lista z Łodzi
Karolina Rendak

32 Karolewo – depozyt do dyspozycji Ahnenerbe?
Mariusz Kwiatkowski

35 Muzyka za drutami
Z historii Stalagu VIIIA (cz. 1)
Janusz Skowroński

39 Więźniowie z Bad Warmbrunn im Riesengebirge
Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 3)
Szymon Wrzesiński

KULISY HISTORII

44 Klisze Hitlerjugend
Maciej Bartków

HITORIA W ROCZNICACH

47 Gazowy Książę na wojnie. O atakach gazowych pod Bolimowem inaczej
Butle pozostawały w okopach. Księcia dręczyły dwie myśli. Pierwsza dotyczyła bezpieczeństwa własnych żołnierzy przebywających w okopach razem z butlami wypełnionymi śmiercionośnym gazem. Druga dotyczyła meldunków o ewakuacji wojsk rosyjskich z linii Rawki i Bzury. Ostatniego ataku gazowego w rejonie Bolimowa dokonano tylko dlatego, by gaz się nie zmarnował...
Stanisław Kaliński

TAJEMNICE HISTORII

52 Wieża spadochronowa w Katowicach
Dariusz Pietrucha

KOLEKCJONERSTWO

58 Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 1)
Wojna od kuchni (cz. 3)
Tomasz Bienek

62 Nóż bojowy Fairbairn–Sykes
Legendarna broń biała (cz. 2)
Piotr Galik

FORTYFIKACJA

65 Fort Bielany Twierdzy Kraków
Marcin „Kuba” Mikulski

69 Tam, gdzie umierają Kochbunkry
Tomasz Bienek

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Majowe nowości w Księgarni Odkrywcy

Okładka: Przedmioty wyposażenia wojskowego oraz ludzkie szczątki wydobyte podczas prac ekshumacyjnych przy ul. Rudnowskiej w Głogowie. Zdjęcie: Przemysław Lewicki.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMÓ)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

WROCŁAW, 15–17 MAJA 2015

X KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA „WROCŁAW – MIASTO NIEODKRYTYCH TAJEMNIC"

Przygotowania do tegorocznej Konferencji dobiegają końca. Program został zamknięty praktycznie w całości, jak również tematyka piątkowych prelekcji, które wygłoszą znamienici prelegenci:

» **Piotr Galik** – zapozna nas z 1000-letnią historią Wrocławia i militarnymi dziejami miasta.
» **Paweł Kukurowski** – przybliży tematykę Festung Breslau w świetle dotychczasowych źródeł historycznych.
» **Stanisław Kolouszek** – opowie o zanikającym dziedzictwie czyli wrocławskich fortyfikacjach.
» **Tomasz Bonek** – odtworzy dzieje „przeklętego skarbu" i spróbuje rozjaśnić mroczne tajemnice opactwa cystersów w Lubiążu.
» **Bogusław Wróbel** – przedstawi kulisy utajnionej produkcji przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy.
» **Piotr Maszkowski** i **Łukasz Orlicki** – staną pomiędzy mitem a rzeczywistością, czyli skarbami i podziemiami Wrocławia.

Prelekcje zakończy film dokumentalny o historii Wrocławia.

Na wszystkich Państwa oczekujemy **w piątek 15 maja od godziny 13:00** w biurze konferencyjnym obok Sali Konferencyjnej Hotelu Campanile Wrocław Centrum. Konferencja rozpocznie się punktualnie o godzinie 16:00 . Spóźnialscy, aby się zarejestrować, będę musieli poczekać na przerwy między prelekcjami.

Na **sobotę 16 maja** – przygotowaliśmy bardzo zróżnicowany i niesłychanie napięty czasowo program wyprawy. Cztery kolorowe grupy wyruszą spod hotelu już o 8:00. Na naszej trasie:

» **Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych** – zwiedzimy Salę Tradycji oraz skansen sprzętu inżynieryjno-saperskiego. Poznamy także współczesne pole walki.
» **Zamek w Urazie** – XIII-wieczny zamek zbudowany z rudy bagiennej i cegły na planie trójkąta równobocznego. Budowle tego typu wznoszono sporadycznie. Znanych jest 5 takich konstrukcji, z których pozostała jedna, we Francji.
» **Opactwo cystersów w Lubiążu** – cysterski zespół klasztorny, jeden z największych zabytków tej klasy w Europie i jednocześnie największe opactwo cysterskie na świecie. Arcydzieło śląskiego baroku. Niegdyś jeden z najbogatszych klasztorów cysterskich na Śląsku, skarbnica dzieł sztuki. Podupadał przez dwa poprzednie stulecia. Dzisiaj z wielkim wysiłkiem dąży do dawnej świetności.
» **Muzeum Motoryzacji Topacz** – tu odbędziemy wyjątkową podróż do czasów, kiedy każdy pojazd posiadał indywidualny i niepowtarzalny charakter oraz zobaczymy największą polską kolekcję samochodów Rolls&Royce i Bentley.

Sobotę zakończymy wspólną kolacją w Sali Kolumnowej.

Niedziela 17 maja – II dzień zwiedzania w całości przeznaczony na wycieczkę pieszą i autobusową po Wrocławiu. Na naszej trasie m. in.: dworzec, Wzgórze Polskie, Wzgórze Partyzantów, Hala Stulecia, schrony Konwiarza.

Ponieważ jest to ostatnia drukowana informacja o Konferencji, przypominamy kilka spraw organizacyjnych:

» Wszyscy uczestnicy muszą zgłosić się do biura konferencji, gdzie, po zarejestrowaniu, otrzymają materiały konferencyjne oraz niezbędne dodatki organizacyjne, a także poznają kolor swojej grupy.
» Uwaga! Nie przewidujemy podróżowania własnymi samochodami w sobotę za autokarami. W szczególnych jednak przypadkach, prosimy o wcześniejsze zgłoszenie takie faktu opiekunowi grupy.
» Wszystkich uczestników prosimy o zastosowanie się do wszelkich uwag opiekunów oraz przewodników, którzy mają za zadanie czuwać nad sprawnym i zgodnym z harmonogramem przebiegiem Konferencji. Prosimy o zabranie wygodnego obuwia, wody, a także czapeczek, które uchronią Was przed kurzem i pyłem na strychu klasztoru w Lubiążu i podziemiach zamku w Urazie.

Dla przypomnienia ważne kontakty do Organizatora:
» telefon 71 329 71 71
» telefon komórkowy 501 675 126
» e-mail: konferencja@odkrywca.pl

Do hotelu Campanile i Premiere:
» telefon 71 783 03 50
» e-mail: reservations.wroclaw.centrum@campanile.com

Campanile HOTEL RESTAURANT
PREMIERE CLASSE HOTELS

Aktualne informacje zawsze na stronie: www.odkrywca.pl i naszym profilu na facebooku: facebook.com/Odkrywca

Do zobaczenia we Wrocławiu!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

LUBIĄŻ – klasztor skarbowych nadziei

PIOTR MASZKOWSKI

Podczas poszukiwań ukrytych walorów bankowych III Rzeszy został odnaleziony skarb. Służby specjalne dyskretnie wywiozły go z miejsca odkrycia i zdeponowały w bezpiecznym miejscu. Po dokonaniu wyceny, przy pomocy oficerów wywiadu wojskowego, upłynniono jego część na zachodzie. Uzyskane w ten sposób środki zasiliły konta operacyjne resortu obrony. Czy wydarzenia te miały rzeczywiście miejsce?

O poszukiwaniach tych trudno dziś mówić w oderwaniu od szerszego kontekstu, w jakim zostały zainicjowane. Tło, trwających ponad 7 lat działań, jest wyjątkowo złożone, podobnie, jak sam ich przebieg. Na szczęście cele pozostają jednoznacznie określone: odnalezienie podziemnej fabryki zbrojeniowej, wydrążonej przez Niemców w czasie II wojny światowej, oraz znajdujących się w jej wnętrzu, ukrytych pod jej koniec, kosztowności, dzieł sztuki, walorów bankowych III Rzeszy, a nawet przemysłowej platyny.

Temat Lubiąża wielokrotnie pojawiał się na naszych łamach, dlatego też w skrócie przypomnimy jego główne założenia. Na przestrzeni lat 70. wrocławska służba kontrwywiadu cywilnego zaczęła odnotowywać niepokojąco wzrastające zainteresowanie turystów zza zachodniej granicy, zlokalizowaną ok. 50 km na północ od Wrocławia wsią i znajdującym się na jej terenie pocysterskim kompleksem klasztornym. Unikatowym w swej skali i jednym z największych zabytków tego typu w Europie. Jednak w świetle raportów SB owo zainteresowanie mniej dotyczyło unikatowości obiektu, a skupiało się głównie na istniejącej pod ziemią fabryce zbrojeniowej z czasów II wojny światowej oraz ukrytymi w niej skarbami. W toku działań operacyjnych udało się ustalić konkretne osoby zarówno wywodzące się z miejscowej ludności autochtonicznej, jak i odwiedzających ją gości z RFN, obejmując wszystkich podejrzanych nadzorem agenturalnym. Przyczyniło się to do zgromadzenia sporej ilości informacji, dotyczących również prób nielegalnej penetracji tego bezcennego zabytku oraz wszelkiego rodzaju historii związanych z jego wojenną przeszłością. Na początku kolejnej dekady większość z nich została zweryfikowana w trakcie zakrojonych na szeroką skalę badań terenowych i geofizycznych, przeprowadzonych na zlecenie wojskowych i cywilnych służb specjalnych. Okazało się bowiem, że spośród kilkunastu wytypowanych lokalizacji potencjalnego miejsca ukrycia słynnego „Złota Wrocławia", klasztor w Lubiążu rokował największe nadzieje na sukces. Oto historia jak dwie, pozornie niezwiązane ze sobą sprawy, połączyła wspólna akcja Ministerstw Spraw Wewnętrznych i Obrony Narodowej.

Wiedeń, luty 1985 rok

Dwóch szykownie ubranych mężczyzn, idąc eleganckim pasażem Graben, idealnie wtapiało się w tłum sobie podobnych przechodniów. Czuli się swobodnie, chociaż właśnie realizowali zleconą im z warszawskiej centrali misję. Misję delikatnej materii, jakich wiele do tej pory przeprowadzili. Ta nie wiązała się ze specjalnym ryzykiem, jednak gdyby ktoś zdemaskował ich, wybuchłby zapewne niemały skandal. Oto bowiem attaché wojskowy i lotniczy ambasady PRL i jego zastępca zamierzają sprzedać w jednym z antykwariatów srebrne i złote monety pochodzące z XVII i XVIII wieku. Ppłk Zbigniew Worożbit (ps. „Rakoczy", późniejszy szef agenturalnego wywiadu strategicznego w latach1986-87) i mjr Maciej Bekier, nie musieli się jednak obawiać wpadki. Mieli w zanadrzu odpowiednią legendę, a w razie czego paszporty dyplomatyczne w kieszeni. Poza tym działali w stolicy Austrii – ze względu na tutejsze, niezwykle liberalne prawo – bezpiecznej przystani dla wszelkiej maści szpiegów, z obu stron żelaznej kurtyny, międzynarodowych handlarzy bronią, terrorystów i pośredniczących pomiędzy nimi w ciemnych interesach gangsterów. Jako rezydenci polskiego wywiadu wojskowego doskonale się w tym układzie odnajdywali. Bieżące zadanie, w świetle dotychczas realizowanych operacji, było banalne, lecz z pewnością absorbujące. Co najmniej od pół roku sondowali na zlecenie z-cy Szefa Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego możliwości korzystnego zbycia przysłanego z Polski zbioru. Czy wiedzieli skąd pochodził? Zapewne ich to niewiele obchodziło, o wiele bardziej istotne były handel bronią z Monzerem al-Kassarem i wspólnie z nim prowadzone interesy w spółce Alkastronic, pozyskiwanie zachodnich technologii wojskowych, danych wywiadowczych i klientów chętnych na zakup polskiego uzbrojenia z każdego możliwe-

Klasztor z pewnością był niemym świadkiem poszukiwań podziemnej fabryki zbrojeniowej. Jednak czy w rzeczywistości została ona kiedykolwiek wydrążona?

Graben, jeden z najbardziej eleganckich zaułków stolicy Austrii. W położonym tam antykwariacie Raucha, oficerowie wywiadu wojskowego sprzedali część pochodzących z Lubiąża monet.

go zakątka globu. To był ich świat. Wiedzieli, że nikt po drugiej stronie lady antykwariatu Raucha nie będzie zbyt dociekliwy, pytając o pochodzenie numizmatów. Było to o tyle ważne, iż podjęte kilka miesięcy wcześniej próby sprzedaży monet w Berlinie Zachodnim omal nie zakończyły się dekonspiracją – podejrzliwy klient domyślił się, że stanowią one część odkrytego skarbu (w ujęciu archeologicznym), żądając nazwiska właściciela kolekcji.

Wchodząc do wąskiego pomieszczenia sklepiku mieszczącego się pod nr. 15, przywitali się uprzejmie z właścicielem. Ten od razu poznał swoich klientów, gdyż już wcześniej dokonał dla nich wyceny oferowanych 7 złotych i 21 srebrnych monet. Zgodnie więc z dotychczasowymi ustaleniami, zastrzegł od razu, że proponowana przez niego do tej pory kwota, 30 tys. szylingów (ówcześnie ok. 1500 dol.), nie podlega dalszym negocjacjom. Było to spore rozczarowanie, zwłaszcza że zgodnie z ekspertyzą przeprowadzoną w Polsce, jeden tylko złoty dukat niderlandzki z XVII w. miał być wart ok 20 tys. szylingów. Tymczasem Austriak oferował 4-krotnie mniej, wytykając zły stan zachowania, za całość zaś był gotowy zapłacić 1/3 szacowanej w kraju kwoty. Była to jednak kolejna już próba sprzedaży monet, tym samym całość operacji nieznośnie się przedłużała. Agenci wojskowych służb specjalnych musieli podjąć błyskawicznie decyzję…

Początki – od „Złota Wrocławia" do Lubiąża

W latach 1953-1977, z krótkimi przerwami, prowadzone było dochodzenie w sprawie niejakiego Herberta Klose, autochtona zamieszkującego w podzłotoryjskiej wsi Sędziszowa na Dolnym Śląsku. Głównym motywem podejmowanych przeciwko niemu działań operacyjnych przez wrocławską i jeleniogórską UB, a następnie SB, były podejrzenia o szeroko pojętą działalność rewizjonistyczną i antypolską (uaktywniała się zwykle po alkoholu) oraz wykonywanie zawodu weterynarza, bez wymaganych uprawnień (chronicznie). Przedmiotem agenturalnego rozpracowania stała się również jego wojenna przeszłość.

W świetle ustaleń Służby Bezpieczeństwa Herbert Klose, kapitan weterynarii wrocławskiej policji/Wehrmachtu/SS, współuczestniczył na przełomie 1944-45 r. w tajnej akcji ukrywaniu zdeponowanych kosztowności mieszkańców Breslau oraz zasobów wrocławskich banków na terenie Sudetów. Przez szereg lat bezpieka, otaczając go siecią tajnych współpracowników i informatorów, starała się bezskutecznie tę wiedzę pogłębić, czego kulminacyjnym punktem były zrealizowane w 1973 r., z inspiracji SB, radiowe i telewizyjne reportaże z jego udziałem. Po emisji trzech odcinków audycji na falach Polskiego Radia sprawa „wrocławskiego złota" zaistniała po raz pierwszy w przestrzeni publicznej, co zaowocowało spopularyzowaniem tej historii nie tylko w wymiarze lokalnym. Odzew społeczny, mimo iż stosunkowo liczny, nie przyniósł jednak spodziewanych przez bezpiekę efektów w postaci nowych tropów czy świadków. W rezultacie sprawę (krypt. „Wartownik") SB zamknęła ostatecznie w 1977 roku.

Nie był to jednak koniec sprawy „Złota Wrocławia", która dla dolnośląskiej bezpieki stała się swoistym drogowskazem i inspiracją do podejmowania podobnych wątków, w głównej mierze pobocznych, dotyczących informacji o ukrytych przez nazistów depozytach, ujawnianych w toku różnych dochodzeń prowadzonych w regionie.

Należy podkreślić, że podobne zagadnienia podejmowane były w okresie PRL-u na terenie całego kraju. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zarówno centrala, jak i podległe jej struktury wojewódzkie, nadzorowały od zakończenia wojny liczne sprawy tego typu. Resort był bowiem jedynym obok Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (z którą zresztą w omawianej tematyce ściśle współpracował) organem, posiadającym w świetle prawa możliwość weryfikacji licznych w tym okresie zgłoszeń wskazicieli (bezpośrednio do instytucji państwowych, jak i za pośrednictwem prasy), deklarujących wiedzę na temat poniemieckich skarbów. Dotyczyło to zarówno sprawy Bursztynowej Komnaty (dochodzenie prowadzone w latach 1964-1977), jak i dziesiątków innych, związanych z poszukiwaniem ukrytych na terenie kraju dzieł sztuki, kosztowności oraz archiwaliów. Świadczą o tym, niegdyś tajne, a obecnie dostępne w Instytucie Pamięci Narodowej dokumenty MSW, które wbrew obiegowym opiniom przetrwały w większości okres transformacji ustrojowej i związanej z nią reorganizacji służb specjalnych – zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Pozwalają one obecnie odtworzyć wiele z prowadzonych wówczas działań, a także uzupełnić dotychczasową wiedzę na temat ich mechanizmów i wcześniej nieznanych szczegółów.

Grupa operacyjna MON

Koncepcja zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań „Złota Wrocławia" nie powstała, jak zwykło się sądzić, w resorcie

bezpieczeństwa. Nie opracowali jej też funkcjonariusze wrocławskiej i jeleniogórskiej bezpieki, prowadzący przez 27 lat sprawę Herberta Klose, którzy mieli na ten temat najpełniejszą wiedzę i doświadczenie w prowadzeniu tego typu spraw.

Z nieznanych bliżej przyczyn inicjatywa podjęcia tropów „ukrytych rezerw bankowych III Rzeszy Niemieckiej" została zainicjowana w 1980 roku w Ministerstwie Obrony Narodowej. W związku z tym, że do realizacji tego zadania zostali wytypowani oficerowie Głównego Zarządu Wyszkolenia Bojowego (płk Sochal, ppłk Chrobot, mjr Czubin) oraz Wojskowej Służby Wewnętrznej (mjr Liwski), uznaje się, że pomysłodawcami akcji byli generałowie: Wojciech Barański (szef GZWB 1978-1986) i Czesław Kiszczak (szef WSW 1979-1981). Co ciekawe, w świetle zachowanych materiałów w początkowym okresie jej trwania, operacja była prowadzona wyłącznie w oparciu o źródła i wiedzę zgromadzoną przez wojsko. Z dzisiejszej perspektywy przyznać trzeba, że nie były to jakieś szczególnie wartościowe dane pozyskane ze źródeł operacyjnych. Informacje oparte były raczej na ogólnodostępnej wiedzy na temat „Złota Wrocławia" (m.in. audycji radiowej z udziałem Klosego z 1973 r.) i znanych wówczas, z prasy i literatury, historiach ukrywania depozytów przez nazistów.

Początkowo inspiratorem tych działań był niejaki ppłk Marian Grochowski z Przedstawicielstwa Wojskowego nr 132 (przy Karkonoskich Zakładach Maszyn Elektrycznych „Karelma" w Piechowicach), który ze względu na swoje zainteresowania tematyką, osobiste doświadczenia z okresu powojennego oraz niewątpliwie jakiegoś rodzaju wpływy w kierownictwie MON, skierował uwagę swoich wysoko postawionych przełożonych na okolice Borowic w Karkonoszach. Tam też udała się w październiku 1980 r. grupa rekonesansowa złożona z oficerów GZSB i WSW, by wytypować odpowiednie miejsca do przeprowadzenia badań geodezyjnych, które zostały przeprowadzone w kolejnym miesiącu. W oparciu o uzyskane wówczas wyniki, w styczniu oraz maju 1981 r., wojsko dokonało zakrojonych na stosunkowo szeroką skalę prac inwazyjnych we wspomnianych Borowicach, rejonie Kozackiej Doliny i tzw. Drogi Sudeckiej. Mimo, że nie przyniosły one spodziewanych efektów, w czerwcu 1981 r. generałowie: Kiszczak i Barański wydali zarządzenie o kontynuowaniu akcji i uzupełnieniu jej o kolejne lokalizacje. Grupa operacyjna, zgodnie z wcześniejszym zaleceniem, realizowała jednak swoje działania praktycznie do stanu wojennego w grudniu 1981 roku. Sytuacja nadzwyczajna, wprowadzona w kraju przy pomocy resortów siłowych, najwyraźniej nie wpłynęła szczególnie na harmonogram zaplanowanych dużo wcześniej prac.

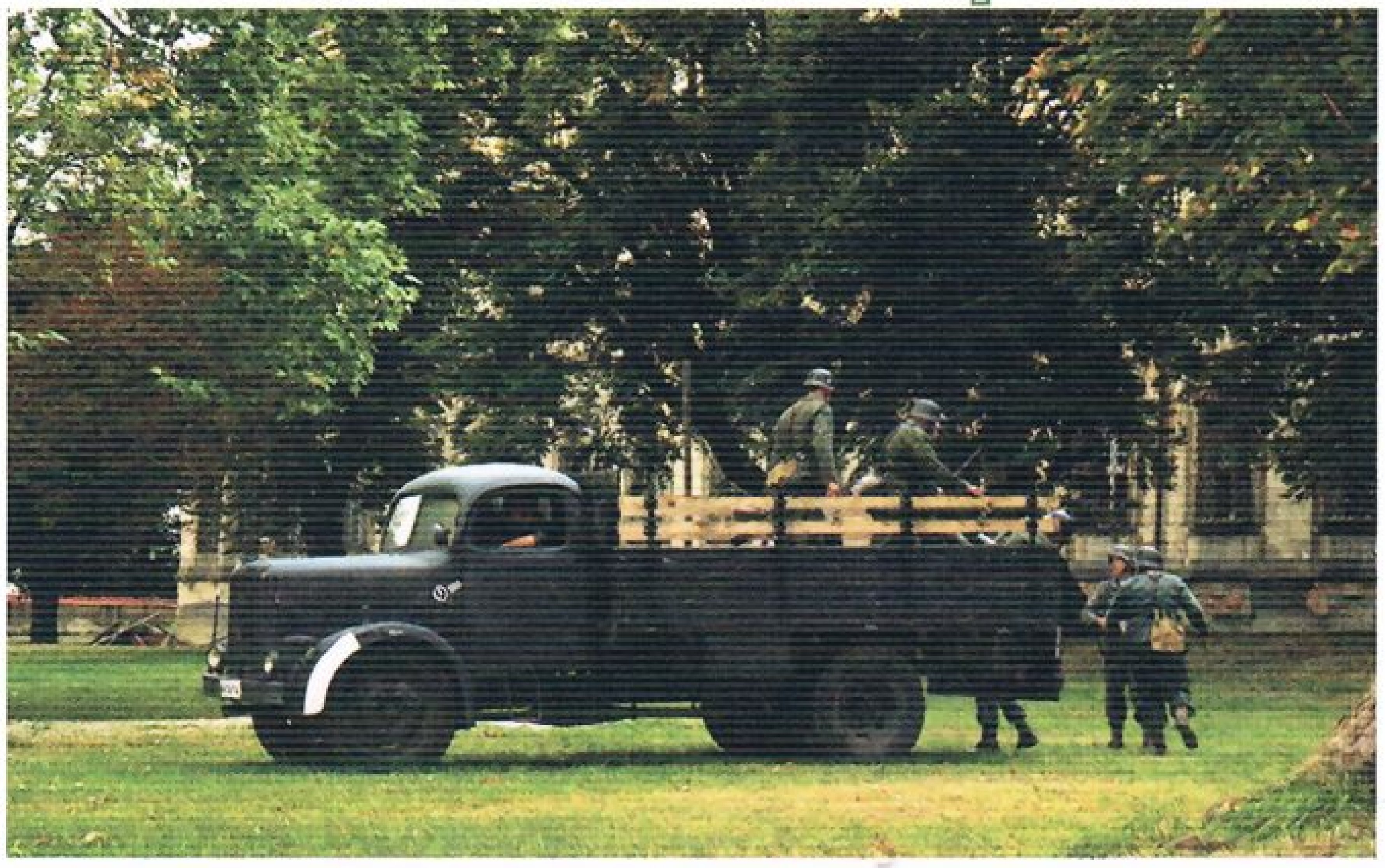

Pod koniec wojny niemieckie ciężarówki uczestniczyły w wielu akcjach specjalnych. Czy również na terenie klasztoru w Lubiążu?

MSW wchodzi do akcji

W styczniu 1982 r. mjr Liwski, jeden z członków grupy operacyjnej, po raz pierwszy zapoznał się z dokumentacją spraw dotyczących tropów poniemieckich depozytów, prowadzonych przez jeleniogórską, a niedługo później wrocławską SB. Wydaje się zaskakujące, że wcześniej żaden z oficerów tego nie uczynił. Świadczy to o tym, że wojskowi, typując do tej pory poszczególne miejsca dla swych badań, działali na ślepo, podczas gdy SB od dawna na Dolnym Śląsku rozpracowywała, w szerokim zakresie, liczne sprawy związane z potencjalnymi miejscami ukrycia poniemieckich depozytów. Wystarczyło jedynie zwrócić się z odpowiednim zapytaniem. Obie służby, tj. WSW i SB, dotychczas ze sobą ściśle współdziałały na wielu płaszczyznach, dlaczego więc tak późno została nawiązana współpraca w kwestii tropów „Złota Wrocławia"? Wydaje się, że miało to związek ze ściśle tajnym charakterem działań wojskowej grupy operacyjnej. Sytuacja uległa zmianie w momencie, gdy w lipcu 1981 r. Ministrem Spraw Wewnętrznych został szef WSW Czesław Kiszczak. Jego dotychczasowe (współ)zwierzchnictwo nad akcją i zmiana resortu, w naturalny sposób umożliwiły pośrednie włączenie do działań Służby Bezpieczeństwa. Miało to kluczowe znaczenie, ponieważ pozwoliło wojsku rozszerzyć zasięg poszukiwań oraz wytypować do badań szereg nowych, wcześniej niebranych pod uwagę, obiektów. Niewątpliwie ważną rolę w tym procesie odegrał zastępca naczelnika Wydziału II ds. SB KW MO we Wrocławiu, mjr Stanisław Siorek, z którym mjr Liwski spotkał się po raz pierwszy w lutym 1982 roku. Jego bogate archiwum oraz znaczna wiedza na temat dolnośląskich tropów poniemieckich skarbów zrobiły na

Poszukiwania „Złota Wrocławia" i podziemnej fabryki w Lubiążu wbrew pozorom mają wiele ze sobą wspólnego. 26 XI 1982 r. na terenie opactwa został odnaleziony skarb...

oficerze WSW ogromne wrażenie. Jednak, jak pisał w jednej ze swych notatek służbowych: *„Materiały zgromadzone przez mjr. Siorka, owoc jego kilkunastoletniej pracy, są przez niego zazdrośnie chronione. Częściowo udostępnił mi je dopiero po interwencji płk. Torebko i z-cy komendanta woj. MO ds. bezpieczeństwa"*. Mjr Liwski uznał, że najwłaściwszym posunięciem będzie włączenie go do grupy operacyjnej. W związku z tym, w marcu 1982 r., gen. Czesław Kiszczak w piśmie skierowanym do komendanta wojewódzkiego MO ds. SB zwrócił się z prośbą o wsparcie wojskowej akcji i bezpośrednie oddelegowanie na jej potrzeby mjr. Siorka. Jednym z efektów tego posunięcia było podjęcie tematu, na którym przez kilka kolejnych lat skupiły się wojskowe i cywilne służby specjalne. Oto jak ten moment zapamiętał oficer WSW:

„Podziemna fabryka zbrojeniowa znajdowała się w rozbudowanych piwnicach klasztoru cystersów. W miarę wzrostu zapotrzebowania na amunicję drążono nowe tunele, m.in. w kierunku pobliskiego lasu zwanego laskiem św. Jadwigi i wzgórza z trzema krzyżami, gdzie prawdopodobnie znajdowało się jedno z wejść. Fabryka ta pracowała prawie do końca wojny. Później wykorzystując tunele i korytarze schowano tam przywiezione samochodami walory, a wejście zamurowano i zawalono ziemią. Ponieważ klasztor Cystersów jest w tej chwili w znacznej części wykorzystywany przez przedsiębiorstwo archeologiczne (Wojewódzki Urząd Archeologiczno-Konserwatorski – przyp. P. M.) *z Wrocławia, skontaktowaliśmy się z dyr. tego przedsiębiorstwa dr. Kaletynem. W wyniku przeprowadzonej z nim rozmowy, podjęto następujące decyzje:*

– przedsiębiorstwo archeologiczne przeprowadzi własnymi siłami i środkami badania anomalii gruntu zarówno metodą magnetyczną, jak i elektrooporową w rejonie lasku św. Jadwigi i wzgórza trzech krzyży w terminie do końca maja 1982 roku.

– dr Kaletyn wyszuka i przedstawi wszystkie znajdujące się w archiwach materiały dotyczące klasztoru Cystersów – chodzi głównie o plany części podziemnej, a także zorganizuje w miesiącu lipcu obóz archeologiczny celem dokładnej penetracji podziemi klasztoru i odszukania wejścia do byłej fabryki zbrojeniowej. Wymienione prace będą prowadzone pod nadzorem funkcjonariusza SB z KW MO z Wrocławia".

29 maja 1982 r. generał Barański zaaprobował przedstawiony przez podwładnego plan prac, które wkrótce miały zaowocować jedynym w historii poszukiwań „Złota Wrocławia", odkryciem skarbu…

Ku przełomowi

Trzeba przyznać, że przyjęta formuła poszukiwań na terenie klasztoru była dla przedstawicieli MON bardzo wygodna, gdyż właściwie nic nie kosztowała, nie absorbowała też sił i środków. Zapewniała także dyskrecję, gdyż akcja realizowana była w ramach autentycznych prac archeologicznych, uzupełnionych przez zaawansowane badania geofizyczne miejsc, najbardziej rokujących na odkrycie wejścia do podziemnej fabryki. Wydaje się też, że forma ta była równie korzystna dla samego dyrektora WOAK dr. Tadeusza Kaletyna, który w ramach prac mógł przeprowadzić własne badania kompleksu klasztornego, co z perspektywy czasu i efektów było chyba najbardziej wartościowym społecznie i naukowo działaniem. I faktycznie zaowocowało wkrótce odkryciem na terenie klasztoru przebiegu murów starszego założenia, jakim była wznosząca się tu w czasach średniowiecza świątynia.

Major Siorek z kolei, nadzorujący na miejscu akcję, czuł zapewne olbrzymią satysfakcję, gdyż jego osobista wizja odkrycia podziemnej fabryki w Lubiążu zdawała się nabierać coraz bardziej realnych kształtów. Wszyscy więc musieli być zadowoleni. Jednak idylla nie trwała długo. Wkrótce pojawiły się pierwsze zgrzyty i konflikty kompetencyjne.

„W początkach listopada 1982 r. płk Torebko, z-ca Szefa WSW Śląskiego Okręgu Wojskowego, uzyskał informację od byłego tw. ps. »Rolnik«, z której wynika, że dyr. Kaletyn lekceważy wskazania oficerów WSW i Służby Bezpieczeństwa stwierdzając, że nie mają wyczucia terenowego, a skarby to on sam znajdzie rozkopując piwnice klasztoru, szczególnie w tych miejscach, gdzie istnieje podejrzenie, że są komory zamurowane (…)".

Donos ten negatywnie wpłynął na pogarszające się relacje archeologa z wojskiem, którego przedstawiciele zaczęli darzyć ograniczonym zaufaniem. Tym bardziej, że ten rzekomo ujawniać miał szczegóły akcji osobom postronnym. Z odsieczą nadszedł wówczas mjr Siorek, który po wnikliwej analizie oczyścił Kaletyna z wszelkich zarzutów, co spowodowało poprawę sytuacji, a donos uznano za wynik *„wewnętrznych rozgrywek personalnych w łonie WOAK"*.

Zbliżał się kulminacyjny moment akcji – przeprowadzenie prac ziemnych w miejscach dotychczas przebadanych metodami bezinwazyjnymi. 24 listopada 1982 r. do Lubiąża przybyła wojskowa grupa operacyjna złożona z oficerów WSW, GKWB oraz saperów z jednostki w Brzegu. Dwa dni później doszło do przełomowego odkrycia. Nie było to jednak wejście do podziemnej fabryki…

„W ramach akcji poszukiwawczych, grupa operacyjna przeprowadziła prace saperskie na terenie byłego klasztoru Cystersów w Lubiążu k. Wrocławia. Efektem ubocznym tych prac był wydobyty pojemnik zawierający zbiór monet. Składa się on z 1290 monet srebrnych o wadze 5,82 kg oraz 64 monet złotych o wadze 0,227 kg. Monety te posiadają znaczną wartość numizmatyczną i handlową, natomiast ich wartość muzealna jest niewielka. Wartość w/w monet, ustalona w oparciu o rozeznanie krajowego rynku numizmatycznego, wynosi około 3.820.000 zł. Przy korzystnych warunkach sprzedaży, można uzyskać kwotę ok. 20% większą.

Cena w dolarach, ustalona wg katalogów aukcyjnych z ubiegłych lat, zamyka się wielkością około 61.393 $ USA. Cena ta ze względu na wahania giełdowe oraz znaczny procent zużycia niektórych monet, może ulec obniżeniu" (notatka z 27 I 1983 r., skierowana do gen. W. Jaruzelskiego przez szefa WSW gen. E. Poradko).

Losy skarbu

W normalnych okolicznościach odkrycie tego typu stanowi swoistą sensację archeologiczną. Skarb taki przeważnie wzbogaca zbiory muzealnych gabinetów numizmatycznych. W tym przypadku było jednak nieco inaczej. Już lektura zamieszczonej powyżej notatki sugeruje, że zagospodarowanie odnalezionych monet będzie odbiegało od przyjętych standardów. Po konsultacjach szefa WSW z gen. Jaruzelskim ustalono szczegółowy plan postępowania z odnalezionym zbiorem. Zwierzchnik sił zbrojnych, po przedstawieniu mu kilku wariantów, uznał za najwłaściwsze, aby większość monet upłynnić na rynku krajowym i zagranicznym, a za uzyskane w ten sposób fundusze, zakupić sprzęt medyczny dla Centralnego Szpitala Klinicznego Wojskowej Akademii Medycznej.

Reszta, a było tego zaledwie 89 monet srebrnych, trafiła do Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Przekazanie ich nastąpiło pod koniec czerwca 1983 r. i miało charakter propagandowy. Specjalnie wyselekcjonowany, pochodzący z XVII i XVIII w. zbiór numizmatów śląskich, miał świadczyć *„po wsze czasy potomnym (...) o rdzennej polskości Ziem położonych nad Odrą i Nysą Łużycką"*. Na ręce szefostwa WSW i MON skierowane zostały w zamian podziękowania za ofiarny gest m.in. od wicewojewody wrocławskiego i dyrektora Muzeum Narodowego.

Jednak była to zaledwie niewielka cząstka skarbu. Reszta stała się przedmiotem tajnej operacji wojskowych służb specjalnych.

W jej ramach sprzedano na rynku krajowym 760 monet srebrnych za 669 tys. złotych. Kwota ta, zgodnie z decyzją Ministra Obrony Narodowej, została faktycznie przeznaczona na zakup sprzętu medycznego dla CSK WAM. Jednak już pochodzące z tego samego źródła 60 bonów towarowych zostało zagospodarowanych na cele operacyjne szefostwa WSW (zakup w PEWEX-ie błon do polaroidów, kaset, baterii i dyktafonów). Sprzedażą najbardziej wartościowych monet na rynku zachodnim zajął się Zarząd II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a więc wywiad wojskowy. W Wiedniu udało się sprzedać w 1985 r. 7 złotych i 21 srebrnych monet za 30 tys. szylingów (około 1500 dol.). Próba upłynnienia tam kolejnych 8 złotych i 15 srebrnych monet zakończyła się niepowodzeniem, ze względu na trudności w uzyskaniu korzystnej ceny. W związku z tym sprowadzono je z powrotem do Polski, gdzie udało się je sprzedać na krajowym rynku numizmatycznym za kwotę ponad 1 mln zł i 95 dolarów. Pozyskane fundusze nie zostały jednak rozdysponowane zgodnie z decyzją gen. Jaruzelskiego. Szylingi zasiliły rachunek dewizowy Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej, gdzie gromadzone były środki pochodzące ze źródeł pozabudżetowych, złotówki trafiły na konto funduszu operacyjnego WSW, zaś dolary zostały przeznaczone na zabezpieczenie kontrwywiadowcze „Operacji Żagiel-90". Pozostałe 49 monet złotych i 405 srebrnych WSW nigdy nie sprzedało. Dzięki temu, już po transformacji ustrojowej, Departament Finansów MON w październiku 1990 r. przekazał je do Gabinetu Numizmatycznego Zamku Królewskiego w Warszawie.

Odnaleziony w 1982 r. skarb z pewnością nie został ukryty przez nazistów w podziemnej fabryce, lecz zapewne przez Cystersów w obliczu sekularyzacji zakonu na początku XIX wieku. Zasadniczy cel akcji nie został więc osiągnięty, a odkrycie było dziełem wyłącznie przypadku. Mimo to uznano je za sukces, który mógł legitymizować na swój sposób sens dalszego kontynuowania akcji poszukiwań. Tak też zresztą się stało. Działania w Lubiążu trwały spośród wszystkich podejmowanych przez grupę operacyjną MON i MSW najdłużej. Zakończyły się w 1987 roku bez specjalnych sukcesów. Zaangażowane w tym czasie siły i środki sprawiają, że rejon klasztoru jest jednym z najlepiej przebadanych pod kątem geofizycznym obiektów. Mimo tego nie natrafiono na jakikolwiek ślad podziemnej fabryki zbrojeniowej. Trzeba przyznać, że o niczym to jeszcze nie świadczy. Major Siorek do końca życia był głęboko przekonany o jej istnieniu, wielu eksploratorów nadal uważa podobnie. Jakkolwiek by nie było, coś zapewne w tej historii jest na rzeczy. Pozostaje więc liczyć, że pokładane w tym miejscu nadzieje, kiedyś się spełnią.

ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI, WIKIPEDIA

REKLAMA

ORGANIZATORZY

PATRONI HONOROWI

SPONSORZY

PATRONI MEDIALNI

Zejście do piekła

LESZEK ADAMCZEWSKI

Austriak Walter Genewein był jednym z najbliższych współpracowników administratora Litzmannstadt-Ghetto, Hansa Biebowa. Ani w pracy, ani po pracy nie rozstawał się on ze swoją Leicą załadowaną kolorowym filmem odwracalnym Agfa. To jemu zawdzięczamy setki barwnych przeźroczy z łódzkiego getta i z ulic tego największego miasta Kraju Warty. Podczas pobytu w Breslau, w któryś słoneczny dzień ostatniego wojennego lata, Genewein wykonał również serię kolorowych zdjęć. To zapewne ostatnie, wielobarwne fotografie z ulic, które wkrótce z woli Adolfa Hitlera staną się piekłem na ziemi.

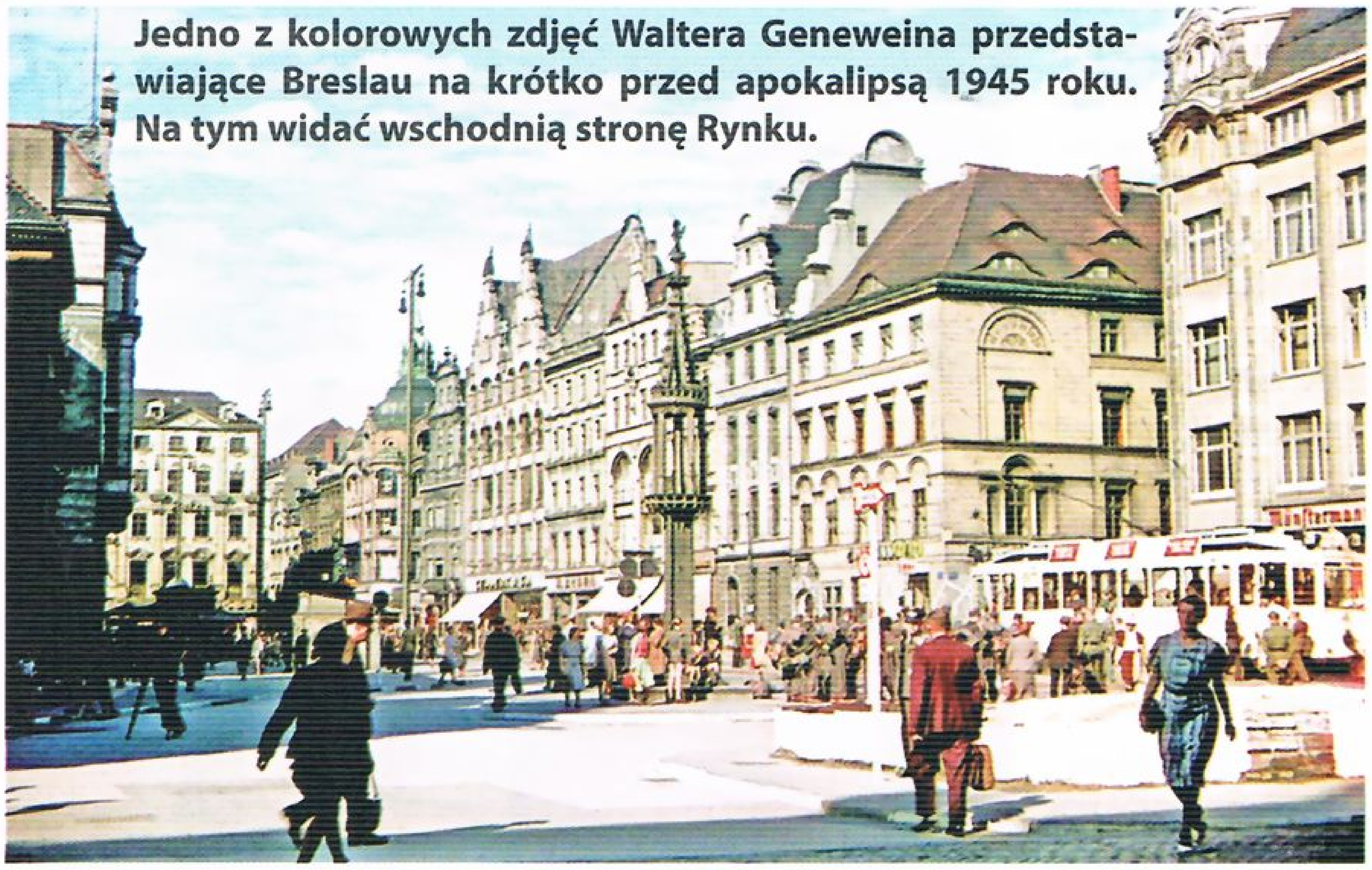

Jedno z kolorowych zdjęć Waltera Geneweina przedstawiające Breslau na krótko przed apokalipsą 1945 roku. Na tym widać wschodnią stronę Rynku.

Nad potwornie zniszczonym miastem tu i ówdzie snują się chmury dymu. To dowód, że gdy ok. połowy maja 1945 r. w zajętym przez czerwonoarmistów Wrocławiu przebywał operator Polskiej Kroniki Filmowej, ruiny dawnego Breslau jeszcze płonęły. *„Po wiekach niemieckiego panowania, Wrocław – prastara stolica Piastów śląskich – wraca na łono Ojczyzny. Tu Niemcy bronili się przez długie tygodnie, niszcząc zawzięcie miasto, o którym wiedzieli, że zostanie im na zawsze odjęte”* – słychać słowa komentarza podczas projekcji kroniki numer 12/45 ze zdjęciami filmowymi ze zniszczonej stolicy Dolnego Śląska. *„Zmieciemy ślady niemieckiego panowania na Śląsku! Odbudujemy polski Wrocław!”* – zapewnia lektor Polskiej Kroniki Filmowej. I dodaje: *„Zgodnie z umową polsko-radziecką, władzę na terenach odzyskanych obejmuje polska administracja państwowa. Prezydentem miasta mianowany został znany działacz socjalistyczny Bolesław Drobner”.* I ani słowa o tym, że przez kilka powojennych tygodni Rosjanie tolerowali we Wrocławiu również niemiecką administrację miasta. Gdy tę kronikę wyświetlano w polskich kinach, Drobner nie był już prezydentem Wrocławia. Nie spodobał się działaczom Polskiej Partii Robotniczej i 9 czerwca zmuszono go do złożenia rezygnacji.

Wśród gruzów Wrocławia, w smrodzie spalenizny i trupim odorze, zaczynało się nowe życie miasta. Wielu z tych, którzy wiosną i latem 1945 r. przyjechali nad Odrę, wierzyło, że w te ruiny uda się tchnąć życie. Że za kilkadziesiąt lat Wrocław będzie jednym z najpiękniejszych miast polskich. Polskich właśnie.

Zakopywane pomniki

W pierwszych dniach stycznia 1945 r. w Breslau wyczuwało się oczekiwanie na coś strasznego, chociaż optymiści pocieszali siebie i innych, że bolszewicy są jeszcze daleko od granic Dolnego Śląska. I że nie odważą się wkroczyć do Rzeszy, a jeśli to zrobią, zostaną przegonieni tak, jak jesienią zeszłego roku zostali przegonieni z Prus Wschodnich. Inni błagali Opatrzność, by dobry Bóg oszczędził im takiego losu, jaki wówczas czerwonoarmiści zgotowali mieszkańcom Nemmersdorfu (obecnie Majakowskoje w Federacji Rosyjskiej) i innym wschodniopruskim miejscowościom. Pokazywane w kinach i utrwalone w pamięci obrazy zamordowanych w Nemmerdorfie nie dawały spokoju. Lepiej umrzeć, niż wpaść w łapy Sowietów – mówiono w Breslau.

W relacjach jego ówczesnych mieszkańców, w tym Polaków przebywających w stolicy Dolnego Śląska na robotach przymusowych, pojawiają się wypełnione po brzegi ciężarówki, które na przełomie lat 1944/1945 kierowały się zwłaszcza w stronę południowych granic miasta, gdzie znajdowały się drogi wylotowe w kierunku: Glatzu, Waldenburga i Hirschbergu, oraz wjazd na autostradę. *„Pod koniec 1944 roku wszystko płynęło niby nurtem uregulowanym, a jednak wkradło się coś obcego do znanego nam obrazu ulicy, do naszego życia domowego. Widzieliśmy w takim Wrocławiu rzecz niebywałą – całe stada bydła pędzonego ulicami do rzeźni miejskiej, spotykaliśmy kolumny pojazdów ciężarowych z tajemniczym ładunkiem, szczelnie przykrytym brezentem, to znów inne zespoły samochodów przewożących worki i skrzynie z żywnością, które lokowano w piwnicach – magazynach w pobliżu Placu Czerwonego. Nocami wywożono z gmachów urzędów i banków akta, z większych sklepów cenniejsze towary, z muzeów, domów prywatnych, kościołów dzieła sztuki, kosztowności. Usuwano pomniki: Bismarcka z placu 1 Maja, Blüchera z placu Solnego, Fryderyka II i III z Rynku. Wywożono je z miasta i zakopywano w ziemi”* – wspominał wrocławski lekarz i członek miejscowej Polonii, Stefan Kuczyński, używając nazw, które obowiązywały w czasach, gdy pisał swe wspomnienia. Dawny Plac Czerwony to dzisiejszy Plac Solidarności, do końca wojny nazywał się Wachplatz.

Uzupełniając relację Kuczyńskiego trzeba dodać jedno. Zabytkowe i bardzo cenne, a nierzadko bezcenne dobra kultury z wrocławskich muzeów, archi-

Pomnik króla Fryderyka II Wielkiego na Kaiserbrücke (Moście Grunwaldzkim) w drodze do miejsca ukrycia. Reprodukcja zdjęcia prasowego.

Zastępca nadburmistrza Breslau (wg niemieckiej nomenklatury Bürgermeister, czyli burmistrz) dr Wolfgang Spielhagen na zdjęciu w „Schlesische Tegeszeitung" w 1941 roku.

wów, kościołów i bibliotek wywożono z Breslau już od lata 1942 r., gdy zarządzenie Adolfa Hitlera z połowy maja wysłane do gauleiterów NSDAP i ministrów jego rządu, stworzyło możliwości takiej ewakuacji, bez narażania się na zarzut szerzenia defetyzmu. W prowincji dolnośląskiej ewakuacją skarbów kultury do urządzonych w małych miejscowościach składnic, zajmował się okręgowy konserwator zabytków dr Günther Grundmann.

Drogi usiane trupami

Niby wszyscy spodziewali się tej wiadomości, a kiedy nadeszła, nikt nie mógł w nią początkowo uwierzyć. A jednak stało się. Wielka ofensywa zimowa Armii Czerwonej 12 I 1945 r. ruszyła na zachód. Już po 4 dniach czołowe oddziały wojsk 1. Frontu Ukraińskiego dowodzonego przez marszałka Iwana Koniewa, w okolicach Częstochowy przekroczyły ówczesną granicę Rzeszy. Gdy jedne dywizje Koniewa skierowano na miasta górnośląskiego zagłębia przemysłowego, inne pędziły w kierunku Breslau, wkrótce docierając na przedpola stolicy Dolnego Śląska. Próba zdobycia Festung Breslau z marszu nie powiodła się i Rosjanie rozpoczęli okrążać miasto.

W tych trudnych, decydujących o przyszłości Breslau i niemieckiego Śląska dniach, naczelny prezes prowincji i gauleiter NSDAP Karl Hanke nie zawiódł Adolfa Hitlera. Podobnie jak w latach 1941-1944, gdy był perfekcyjnym i bezwzględnym wykonawcą poleceń płynących z Kwatery Głównej Führera, tak teraz postanowił – jako komisarz obrony Rzeszy – stanąć na czele obrony miasta, wojskowym rezerwując drugorzędną rolę. Dwaj pierwsi komendanci Festung Breslau, generałowie Johannes Krause i Hans von Ahlfen, niezbyt gorliwie wykonywali polecenia Hankego. Wykorzystując swe znajomości w Berlinie, gauleiter pozbył się ich pod różnymi pretekstami. 3 II 1945 r. zwolniono ze stanowiska Krausego z powodu zapalenia płuc, a miesiąc później Ahlfena przeniesiono na front zachodni. Ostatni komendant twierdzy, gen. Hermann Niehoff, urodzony żołnierz, znany z twardej ręki i umiejętności utrzymania dyscypliny, nie pozwolił sobą kierować. I Hanke musiał przyjąć to do wiadomości.

Trzy kadry z kroniki filmowej Die Deutsche Wochenschau przedstawiające przygotowania do obrony Breslau.

Przygotowania miasta do obrony obserwował młody podchorąży Wehrmachtu i wojskowy rekonwalescent Ulrich Frodien. *„W tych dniach* – wspominał – *najlepiej widać było, z jak niesamowitą szybkością zmieniało się miasto. Nikt już nie odśnieżał ulic, nie wywoził śmieci, a tramwaje jeździły coraz rzadziej, aż w końcu i ich zabrakło. Z ulic zniknęli policjanci, a brązowe mundury członków partii pochłonęła ziemia, jakby nigdy nie było żadnej NSDAP. W sklepie dawano na kartki żywnościowe (wprowadzone przed sześcioma laty) podwójne lub potrójne porcje: »Proszę brać, zanim Iwan weźmie!«. Następnego dnia sklep był już nieczynny, a właściciel zniknął. Zamykano też kina i restauracje. W ciągu zaledwie kilku dni życie zupełnie się zmieniło – Breslau ogarnął gorączkowy niepokój. Miasto pachniało już frontem, pachniało ogniem i śmiercią"*.

Hanke wiedział, że nie da się bronić miasta pełnego ludności cywilnej. Że trzeba natychmiast ewakuować kobiety, dzieci, starców, po prostu wszystkich, którzy nie są zdolni do noszenia broni.

19 I 1945 r., w warunkach srogiej zimy, gauleiter nakazał ewakuację. Miejsc w pociągach i autobusach starczyło dla nielicznych, a ponadto w tamtych dniach przez Wrocław przejeżdżały przepełnio-

Kadr z radzieckiej kroniki filmowej. Czerwonoarmista strzela do obrońców Festung Breslau z okna wagonu tramwajowego.

ne do granic możliwości pociągi ewakuacyjne ze wschodnich powiatów prowincji. Większość wrocławian do Kanth (Kątów Wrocławskich) szła więc piechotą w prawie 20-stopniowym mrozie, zmagając się ze śnieżną zadymką i pokonując liczne zaspy. Dla około 90 tys. osób była to droga śmierci… *„Najwięcej leżało dzieci. Oddziały usuwające zwłoki miały pełne ręce roboty. Co parę metrów widać było zatrzymującą się ciężarówkę, często bez osłony, a mężczyźni z niej wyskakujący usuwają zwłoki leżące na chodnikach"* – wspominała polska robotnica przymusowa Danuta Orłowska. Tak działo się w samym Breslau; poza miastem zwłok nikt nie usuwał. Tylko zrozpaczone matki próbowały czasami zakopywać małe trupy w śniegu, bo wykopanie dziury w zmarzniętej ziemi, było zadaniem niewykonalnym. Wiele matek oszalało po śmierci swych pociech.

Widząc co się dzieje, wielu ewakuowanych wróciło do swych domów, a inni w ogóle nie wyruszyli na niemal pewną – dla starych, słabych lub chorych – śmierć. Hanke szalał, zmuszając, dopiero co powołanego na komendanta, płk. von Ahlfena (jeszcze przed jego nominacją generalską), do wydania rozkazu, by patrole żandarmerii cofały wszystkich wracających do Breslau mieszkańców. A sam 7 lutego podpisał kolejne zarządzenie o ewakuacji. 9 dni później, w nocy z 15 na 16 lutego, oddziały Armii Czerwonej pod dowództwem gen. Władimira Głuzdowskiego zamkną pierścień blokady wokół Festung Breslau. W bombardowanym i ostrzeliwanym przez artylerię radziecką mieście zostanie około 200 tys. cywilów.

Sfilmował własną śmierć

Trzy tygodnie wcześniej, a ściślej 22 stycznia, a więc w dniu, gdy tysiące wrocławian brnęło przez zaspy do Kanth, Karl Hanke gościł w Breslau ostatniego podczas swych rządów dygnitarza hitlerowskiego najwyższego szczebla. Ministra amunicji i uzbrojenia Rzeszy, Alberta Speera, do stolicy Dolnego Śląska przywieziono… sanitarką. Dawny architekt Hitlera na początku trzeciej dekady stycznia wybrał się na Górny Śląsk, by osobiście zapoznać się z sytuacją militarną i gospodarczą tego niezmiernie ważnego dla Niemiec regionu. W opolskim hotelu 21 stycznia konferował on z ministrem komunikacji Rzeszy, Juliusem Dorpmüllerem, i dowódcą Grupy Armii „Środek", gen. Ferdinandem Schörnerem, a następnego dnia, prowadzonym przez siebie samochodem, wyjechał w kierunku Kattowitz. Pierwszym etapem podróży miały być Blechhammer i Heydebreck, ale w rejon obecnego Kędzierzyna-Koźla nie dotarł. Wskutek gołoledzi samochód Speera na zakręcie drogi wpadł w poślizg i zderzył się z ciężarówką. *„Samochód nie był zdatny do jazdy, zabrano mnie z powrotem sanitarką; trzeba było zrezygnować z dalszej podróży"* – napisał we „Wspomnieniach". W Breslau po badaniach okazało się, że minister nie odniósł żadnych obrażeń. *„Gauleiter Hanke* – pisał dalej Speer – *oprowadzał mnie po starym ratuszu, zbudowanym kiedyś przez Schinkla, a ostatnio odrestaurowanym. Mówił z patosem: »Rosjanie nie zdobędą go nigdy. Raczej spalę go«. Wysuwałem zastrzeżenia, ale Hanke upierał się przy swoim. Było mu wszystko jedno, co stanie się z Breslau, gdyby dostał się w ręce wroga"*.

W końcu stycznia doszło do wydarzenia, o którym wspominają niemal wszyscy autorzy opracowań o Festung Breslau. 28 stycznia na Rynku rozstrzelano zastępcę burmistrza miasta, Wolfganga Spielhagena, niesłusznie oskarżonego o tchórzostwo w obliczu wroga. Tymczasem 54-letni Spielhagen bezskutecznie starał się o posadę w Berlinie, dokąd wcześniej wysłał żonę i córki. Gdy jej nie dostał, wrócił do Breslau i podjął dotychczasową pracę. W opinii Hankego sam zamiar opuszczenia miasta, był już zbrodnią, a posłuszny sąd błyskawicznie wydał wyrok ustalony we wrocławskim Gauleitungu NSDAP. Egzekucji Spielhagena przyglądał się Hanke z grupą „złotych bażantów", jak ze względu na kolor munduru nazywano aparatczyków NSDAP. Zresztą jeden z nich strzałami z pistoletu w głowę dobił skazańca, a gauleiter z okazji egzekucji wydał krótką proklamację, zakończoną słowami: *„Ten, kto obawia się honorowej śmierci, umiera w hańbie"*. To był mord sądowy! Tak egzekucję zastępcy burmistrza oceniają historycy. Hanke nie miał litości dla nikogo. Rozstrzeliwano nie tylko dezerterów, ale także wszystkich spotkanych w opuszczonych mieszkaniach, żołnierzy bez przepustek, maruderów oraz cudzoziemskich robotników przymusowych, którzy choćby na chwilę opuścili miejsce zakwaterowania. Los Spielhagena podzieliło też kilku innych dygnitarzy hitlerowskich.

Na krótko przed zamknięciem pierścienia blokady Breslau, w mieście przebywał operator kroniki filmowej Die Deutsche Wochenschau. W jej wydaniu numer 752 pokazano sceny

Breslau Freiburger Bahnhof (Dworzec Świebodzki) w lepszych dla wrocławian czasach. Podczas ewakuacji cywilów na widocznym na zdjęciu peronie rozgrywały się dantejskie sceny.

Maj 1945.
Krajobraz po bitwie.

z przygotowującego się do obrony miasta: migawki z ulic, budowę barykad z wagonów tramwajowych, zakładanie ładunków wybuchowych pod wrocławskie mosty i nadzorującego to wszystko Karla Hankego. Zdjęciom towarzyszy następujący komentarz: *„Z twierdzy Breslau. Stolica okręgu śląskiego stanowi jedną z zapór przeciwko atakowi bolszewickiemu. Ludność Breslau została wezwana przez swojego gauleitera do obrony miasta aż do samego końca. Odwaga ludzka i pancerfausty zatrzymają każdy samochód pancerny. Jednostki Volkssturmu przy budowie barykad na obrzeżu miasta. Gauleiter i komisarz obrony Rzeszy, Hanke, podczas zwiedzania urządzeń obronnych. Obrońcy twierdzy patrzą w przyszłość z pełnym zaufaniem. Stolica Śląska jest zabezpieczona ze wszystkich stron przed atakami bolszewickimi. Jednostki saperów przygotowują się do wysadzenia w powietrze* [różnych obiektów]. *Jeśli wymaga tego sytuacja, ofiarą wyburzeń padają domy i odcinki ulic"*.

22 II 1945 r. w południowej części miasta, na nasypie przebiegającej tam linii kolejowej, zginął 33-letni kpt. Władimir Suszczynski. Zginął on śmiercią żołnierza, chociaż nie miał w ręce karabinu, lecz działającą na sprężynę 35-milimetrową kamerę filmową. Ten korespondent wojenny i operator 1. Frontu Ukraińskiego filmował właśnie potyczkę czerwonoarmistów, próbujących przedrzeć się przez torowisko kolejowe, gdy dostał śmiertelny postrzał. Obok niego upadła kamera i zarejestrowała jego godzinę śmierci.

Świadek agonii miasta

Ksiądz Paul Peikert, proboszcz katolickiej parafii pod wezwaniem św. Maurycego w Breslau, był świadkiem zagłady tego jednego z najpiękniejszych miast Rzeszy. Jego „Kronika o oblężeniu Breslau w 1945 roku", doprowadzona do Wielkiego Piątku 30 marca tegoż roku, oraz „Relacja o Breslau – twierdzy od stycznia do czerwca 1945 roku" (faktycznie obrońcy twierdzy wrocławskiej skapitulowali w niedzielę, 6 maja), są ważnym źródłem informacji o dniach, gdy pod ciosami Armii Czerwonej konał niemiecki Wrocław. Radzieckie bomby i pociski artyleryjskie nie wybierały celów. Raziły również wiekowe zabytki na czele z kolebką Wrocławia – Ostrowem Tumskim. *„Katedra została kilkakrotnie trafiona, a szyby silnie uszkodzone, choć (...) nabożeństwa odprawia się nadal"* – napisał ksiądz Peikert pod datą 8 III 1945 roku. Cztery dni później zanotował: *„Późnym wieczorem otrzymuję jeszcze dalsze wiadomości o wielkich spustoszeniach, które poczynił wczorajszy nalot na Breslau. W szczególności ucierpiał też Ostrów Tumski. (...) Bombardowanie tej najcenniejszej, zabytkowej dzielnicy Breslau zostało sprowokowane bezmyślnym ulokowaniem ciężkich dział w ogrodzie rezydencji arcybiskupiej. Przy zwalczaniu tych dział zrzucone bomby padają, niestety, na okoliczne budynki i kościoły"*. Ale najgorsze miało dopiero nadejść...

Serie niszczycielskich nalotów na miasto Rosjanie przeprowadzili w Wielkanoc, 1 i 2 kwietnia. *„Niesamowity i ponury był obraz płonącego Breslau wieczorem w Poniedziałek Wielkanocny i w nocy, obraz zagłady najpiękniejszej części tego ładnego miasta. Ciemne, zachmurzone niebo płonęło czerwienią. Gigantyczne kłęby zwisły nad całym miastem. Ciągle odwracaliśmy się, aby spojrzeć na ten makabryczny obraz"* – napisał ksiądz Peikert, kilka zdań wcześniej precyzując: *„Płomienie buchały z wież kościoła katedralnego; dach katedry był jednym morzem płomieni"*.

Wrocławski gauleiter NSDAP dysponował radiostacją dużej mocy, przez którą utrzymywał codzienny kontakt radiowy głównie z prawą ręką Hitlera, Reichsleiterem NSDAP Martinem Bormannem, któremu składał szczegółowe meldunki o sytuacji w mieście. Obronę Festung Breslau pokazano też w ostatniej kronice filmowej

Walki w rejonie Wölflstrasse (ulicy Pocztowej).

Sekundę po sfilmowaniu tej sceny radziecki operator kapitan Władimir Suszczynski zginął.

Die Deutsche Wochenschau. Kilkudziesięciosekundową sekwencję wrocławską zmontowano z taśm, które z twierdzy wywieziono samolotem. I prawdopodobnie tą samą drogą, wśród listów poczty polowej, dostarczono do Breslau również gotową kronikę. Na ów wrocławski temat złożyło się kilka migawek z objętych walkami lub ostrzałem ulic, w tym fragment Rynku z ratuszem oraz postać Hankego w... pozie stratega.

Obrońcom miasta nie brakowało żywności, a nawet piwa i wódki, bo ciągle pracował browar i gorzelnia. Spore były też zapasy mundurów i butów. Brakowało natomiast broni i amunicji, które dostarczano samolotami lub produkowano na miejscu. Drogą lotniczą przywożono części zamienne np. do czołgów, których kilka uszkodzonych egzemplarzy stało w jednej z wrocławskich fabryk. W twierdzy wyprodukowano nawet pociąg pancerny, który brał udział w walkach. Samolotami wywożono też ciężko rannych. W sumie ponad 6500 kontuzjowanych żołnierzy drogą powietrzną wyrwało się z tego piekła, które stolicy Dolnego Śląska zgotowali Hitler i Hanke.

Licząc się z utratą lotniska, Hanke polecił w centrum miasta zbudować pas startowy. Pod radzieckim ostrzałem tysiące ludzi – cywilów niemieckich i cudzoziemskich robotników przymusowych – budowało to jedyne w swoim rodzaju lotnisko. Najpierw saperzy w ciągu Kaiserstrasse (obecnego placu Grunwaldzkiego) i przyległych ulic wysadzili w powietrze kamienice, hotele, kina i tym podobne budynki użyteczności publicznej, później uprzątnięto ruiny, usunięto słupy latarni i elektrycznej sieci tramwajowej, wyrównano teren. Z tego zbudowanego kosztem tysięcy ofiar lotniska, nigdy nie wystartował żaden samolot, ani żaden nie wylądował. Jego pas startowy systematycznie bowiem niszczyli czerwonoarmiści, zrzucając nań bomby. Liczne leje po nich uniemożliwiały jakikolwiek ruch samolotów.

Zanim 30 kwietnia 1945 r. Hitler popełnił w Berlinie samobójstwo, w swym testamencie politycznym ze wszystkich stanowisk państwowych i partyjnych zwolnił Heinricha Himmlera za próbę, nieudaną zresztą, podjęcia rokowań pokojowych z aliantami. Jednocześnie nowym Reichsführerem SS Hitler mianował Karla Hankego. Była to nagroda za wierną służbę oraz za skuteczność i fanatyzm wykazany podczas obrony Festung Breslau. Tymczasem nowy Reichsführer był „uwięziony" w swej twierdzy, z czego zadowolony był wielki admirał Karl Dönitz, który na mocy wspomnianego testamentu został prezydentem Rzeszy. W jego rządzie i szeroko pojętych władzach nie byli potrzebni fanatyczni naziści.

Koniec Karla Hankego

Padł Berlin, a Breslau się nadal bronił. 4 maja gen. Niehoff postanowił wysłać parlamentariuszy do dowództwa wojsk radzieckich z propozycją poddania Festung Breslau. Na wieść o tym w znajdującej się w podziemiach Biblioteki Uniwersyteckiej na Piasku kwaterze Niehoffa zjawił się Hanke. Treść dramatycznej rozmowy gauleitera z generałem znamy tylko z relacji Niehoffa i prawdopodobnie jest nieprawdziwa, a przynajmniej w części nieprawdziwa. Hanke miał najpierw grozić, a później skamleć o pomoc w ucieczce, by ratować własną skórę. Miał argumentować, że jest młody i musi żyć, by wychować dwie córki. Niehoff chętnie pozbywał się z twierdzy natrętnego gauleitera. Udostępnił mu nawet swój własny samolot łącznikowy Fieseler Storch (Fi 156). Tyle wiemy na pewno. Za pewnik należy przyjąć także i to, że Hanke opuścił Breslau w niedzielę 6 maja, we wczesnych godzinach rannych. Pilotowana przez 31-letniego Horsta Jägera maszyna, wystartowała z placu koło Hali Stulecia, i gdy na niskiej wysokości przelatywała nad pozycjami radzieckimi, została ostrzelana przez piechotę. Jeden z pocisków karabinowych przebił bak i uszkodzony samolot wylądował między Zobten a Schweidnitz (Sobótką a Świdnicą), a więc już po niemieckiej stronie frontu, gdzie usunięto usterki. Fi 156 wystartował ponownie, by po kilkudziesięciu minutach wylądować na lotnisku w Hirschbergu (Jeleniej Górze). Wkrótce radiostacja komendanta Festung Breslau odebrała zaszyfrowany meldunek, że Karl Hanke bezpiecznie wylądował w mieście u podnóża Karkonoszy.

Generał Niehoff nie zaprzątał już sobie myśli gauleiterem, tym bardziej, że czekał go przykry obowiązek. Tej niedzieli w piwnicy willi Colonia przy Kaiser-Friedrich Strasse (obecnej ulicy Rapackiego) podpisał akt kapitulacji twierdzy. Dokument, na którym złożył swój podpis, przewidywał dla jego żołnierzy lekką i krótką niewolę.

Karl Hanke rozpłynął się gdzieś na ulicach Hirschbergu. Można się tylko domyślać, że w mundurze kaprala dotarł do pobliskiej wioski Hain (Przesieka), gdzie przebywała jego prywatna sekretarka. Nie wiemy, jak długo trwał jego pobyt w wiosce pod Śnieżką. Pewnie krótko, bo za kilka dni i tu dotrą czerwonoarmiści. Z Przesieki prawdopodobnie próbował przedostać się do zachodnich stref okupacyjnych Niemiec. Droga prowadziła przez przełęcze sudeckie i dalej przez Czechosłowację. I tam miał zostać ujęty przez Czechów, którzy z gorliwością neofity polowali na Niemców. Historia jego śmierci w okolicach miasta Most podczas próby ucieczki z kolumny jeńców nigdy w pełni nie została potwierdzona, zatem można traktować ją jako hipotezę. Najbardziej prawdopodobną, ale tylko hipotezę. Karl Hanke oficjalnie uważany jest więc za zaginionego tak, jak tysiące mieszkańców Breslau, którzy bez śladu zaginęli w dniach wrocławskiej apokalipsy.

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCH. AUTORA, ARCH. REDAKCJI.

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor prawie 20 cieszących się sporym zainteresowaniem czytelników książek o tajemniczych zdarzeniach z czasów II wojny światowej. Najnowszą książką tego Autora jest, wydana nakładem Repliki, pozycja pt. „Ucieczka pod bombami".

Nie tylko „Festung Breslau”…

OBŁĘD ’45

PIOTR GALIK

W dziejach wielu państw i narodów pojawiają się od czasu do czasu epizody, które – opisywane i interpretowane po latach – zaskakują autorów pisanych *ex post* publikacji irracjonalnym przebiegiem, nierozumną motywacją czy trudnym do wytłumaczenia zaślepieniem… Jednak przykładanie własnej miarki i ocena zdarzeń z przeszłości z perspektywy własnej wiedzy i własnych przekonań, jest złym doradcą. Łatwo o pochopne wnioski, jednostronne oceny i przeoczenie lub niedocenienie trudnej do zmierzenia, ale bardzo istotnej, niematerialnej strony procesów historycznych – płaszczyzny duchowej, sfery świadomości i ideologii. Jednocześnie takie opracowania – zwłaszcza, gdy pisze się je pod pewną wybraną tezę – potrafią wywołać szeroką dyskusję. Spróbujmy zatem, korzystając z tej publicystycznej raczej niż z naukowej optyki, spojrzeć na nowo – bez patosu – na obronę Niemiec, w tym Wrocławia w roku 1945 i jej katastrofalne skutki.

Obłęd’45? Nie, raczej decyzje totalitarnej władzy, która już wie, że happy endu nie będzie…

„Hitler jest największym dowódcą wszech czasów”… (feldmarszałek Wilhelm Keitel)

Ostatni rok II wojny światowej, liczony od przełamania oporu Monte Cassino do upadku Berlina, mijał pod znakiem ciężkich klęsk III Rzeszy. W ciągu niewielu miesięcy terytorium kontrolowane przez niemieckie siły zbrojne uległo gwałtownemu zmniejszeniu. Hitler utracił większość podbitych krajów Europy, byli sojusznicy (Bułgarzy, Rumuni, Finowie) zwrócili się przeciw niemu, a większość miast rdzennych Niemiec legła w gruzach w wyniku strategicznych nalotów alianckich. Nieudany zamach na życie wodza III Rzeszy w lipcu 1944 r. zaowocował okrutnymi represjami, które dotknęły nie tylko spiskowców, ale także podejrzewanych o sprzyjanie im generałów. Fronty – zarówno Wschodni, Południowy, jak i nowo powstały po desancie w Normandii Zachodni, pękały pod naciskiem armii alianckich. U schyłku lata 1944 Sowieci dotarli nad Wisłę, a ich zachodni sprzymierzeńcy osiągnęli Ren, stając u progu przedwojennych granic Niemiec. Tragizm sytuacji nie przeszkadzał Hitlerowi w uporczywym trwaniu przy „ręcznym sterowaniu” siłami zbrojnymi. Generał Zeiztler, szef niemieckiego sztabu generalnego, wspominał po latach:

„Wojna prowadzona przez Niemcy stała się spektaklem jednego aktora, intuicja zastąpiła racjonalne myślenie, a megalomania wyparła zdrowy rozsądek. Hitler

wtrącał się do najdrobniejszych szczegółów dotyczących rozgrywanych bitew. Skutki takiej postawy były łatwe do przewidzenia".

Wśród najbardziej znaczących, taktycznych obsesji Hitlera niszczycielskie skutki przynosił zwłaszcza dogmat obrony zajmowanych pozycji za wszelką cenę, wiara wyniesiona zapewne z okopów Wielkiej Wojny, anachroniczna już w warunkach „wojny błyskawicznej", którą przecież właśnie Niemcy praktykowali w okresie swoich wielkich triumfów. Przekonanie Hitlera (i jego sztabowych pochlebców), że pod naciskiem przeciwnika nie wolno odstępować, lecz należy trwać w obronie do ostatniego żołnierza, wzmocniły dodatkowo frontowe epizody kotła demiańskiego („Festung Demiansk") i chołmskiego („Kessel von Cholm"). Na początku 1942 r. niesiona falą sukcesu po odparciu wroga od bram Moskwy Armia Czerwona, skutecznie przełamała północny sektor frontu, okrążając znaczne siły niemieckie, które zdołały utrzymać pozycje i – zaopatrywane drogą lotniczą – przetrwały do nadejścia odsieczy i rozerwania oblężenia. Ten taktyczny, lokalny sukces stał się w wielkiej mierze powodem strategicznej porażki pod Stalingradem. Pewność Hitlera co do niezłomności obrońców i nieograniczonych możliwości Luftwaffe, której komendant bez pokrycia obiecywał „most powietrzny", pozwalający zaopatrywać oblężone oddziały, przyniosły w efekcie apokaliptyczną klęskę, która zachwiała bałwochwalczą wiarą Niemców w nieomylność i militarny geniusz „największego wodza w dziejach". Bolesne doświadczenie stalingradzkie nie zmieniło jednak koncepcji GröFaZa („Größter Feldherr aller Zeiten" – „największy wódz wszech czasów", czyli Adolf Hitler), który mimo sukcesów feldmarszałka Ericha von Mannsteina w walkach manewrowych, m.in. w trzeciej bitwie o Charków, obstawał przy swojej koncepcji. Zgodnie z totalitarną zasadą, że jeśli fakty przeczą teorii – tym gorzej dla faktów, wiosną 1944 r. feldmarszałek Mannstein został odsunięty od dowodzenia na froncie i do końca wojny pozostał bez bojowego przydziału. Wodzowski plan obrony uporczywej i zakaz odwrotu spowodował pozostawienie znacznych sił niemieckich w Kurlandii. Zablokowane od jesieni 1944 r. dwie armie, liczące ok. 400 tys. żołnierzy w ponad 30 dywizjach, bezproduktywnie krwawiły w sześciu wielkich bitwach obronnych, by skapitulować i trafić do sowieckiej niewoli dopiero z końcem działań wojennych w Europie. Jedynie niewielka część oddziałów została przewieziona drogą morską na zachód i dołączyła do obrońców Pomorza i Berlina. Pozostawienie „kotła kurlandzkiego" głęboko na tyłach frontu miałoby może sens, gdyby wiązało odpowiednio wielkie siły sowieckie, by odciążyć linię głównego oporu. Jednak Armia Czerwona pozostawiła do blokady Kurlandii niewiele ponad 420 tys. żołnierzy, a zatem przy swojej przewadze liczebnej relatywnie znacznie mniejszą część rozporządzalnych sił niż Niemcy. W ówczesnych realiach wojny oczekiwania na ewentualny zwrot zaczepny, podczas którego miałby nastąpić pomocniczy atak z Kurlandii na Leningrad, należało włożyć między bajki. Podobnie, na jeszcze większą skalę, militarny „geniusz" Hitlera zmarnował możliwości wojsk obsadzających Norwegię, gdzie do końca wojny pozostawało ponad 350 tys. niemieckich żołnierzy. Strategicznym nieporozumieniem okazało się także utrzymywanie izolowanych garnizonów na Bałkanach oraz frontu włoskiego, który wprawdzie skutecznie zastopował Aliantów w drodze na północ Italii, lecz działo się to kosztem pozostawienia na newralgicznym uboczu formacji liczących niemal 400 tys. ludzi, których udział w walkach przeciwko Sowietom mógł zasadniczo spowolnić prący na zachód „walec parowy" Stalina. Propozycje strategicznego skrócenia frontu i koncentracji jak największych sił do obrony terytorium przedwojennych Niemiec, nieodmiennie spotykały się z negatywną reakcją dyktatora, żyjącego coraz bardziej w świecie iluzji. Hitler najwyraźniej nie potrafił rozpoznać „mniejszego zła", jakim z punktu widzenia III Rzeszy mogło być bardziej zdecydowane zwycięstwo mocarstw Zachodu, których armie – przy skuteczniejszym oporze frontu wschodniego – byłyby w stanie opanować nie tylko same Niemcy, lecz także wyzwolić Europę Środkową i Bałkany. Milionom cywilnych mieszkańców tych ziem los oszczędziłby sowieckiego „wyzwolenia", w porównaniu z którym anglo-brytyjska okupacja wydawać się mogła łagodnym „wymiarem kary". Jednak z woli „największego wodza wszech czasów" konająca III Rzesza pozostawiła swoim byłym sojusznikom z Kremla hojny dar – Europę wschodnią i niemal połowę Niemiec.

Pozostawienie silnie obsadzonego garnizonu Wrocławia, który „twierdzą" był jedynie z nazwy, w pełni wpisuje się w tę obłędną strategię Hitlera. Około 80 tys. obrońców stolicy Śląska obleganych było przez niespełna 90 tys. krasnoarmiejców. Podobnie jak w przypadku Kurlandii, pozostawienie za frontem odciętej „twierdzy wrocławskiej" miałoby sens, gdyby spowodowało „zamrożenie" odpowiednio wielkich sił nieprzyjaciela – przy ówczesnej przewadze Sowietów musiałoby oblegać miasto co najmniej trzykrotnie tylu.

Wrocław jako węzeł komunikacyjny z pewnością miał znaczenie militarne, jednak brak kontroli nad nim nie uniemożliwiał – najwyżej utrudniał – obsługę logistyczną zagrażających Berlinowi sowieckich Frontów: 1. Ukraińskiego i 1. Białoruskiego. Walki o Breslau, zakończone w tydzień po śmierci Hitlera, pozbawione zatem były – wbrew legendzie tworzonej już po wojnie przez byłych komendantów twierdzy, generałów Hansa von Ahlfena i Hermanna Niehoffa – istotnego militarnego sensu. Zresztą w innym przypadku Sowieci z pewnością byliby w stanie przeprowadzić zdecydowany szturm i szybko opanować miasto, jak stało się w przypadku Królewca (Königsbergu), który padł po czterodniowym szturmie (6-9 IV 1945 r.). Jeśli zatem nie zasady sztuki wojennej były najważniejsze dla Hitlera i jego popleczników, to o co właściwie chodziło? Gra szła wówczas już o coś innego…

„Jeśli niemiecki naród nie potrafi zwyciężyć, to powinien zginąć" (Adolf Hitler)

Rozgoryczony wódz III Rzeszy z rosnącym rozdrażnieniem obserwował, jak rzeczywistość uporczywie odmawia podporządkowania się jego wizjom i planom. Ponieważ już wcześniej wyczerpał on zasób „kozłów ofiarnych", rzucając na pożarcie totalitarnej machinie zagłady najpierw Żydów, Romów, Polaków, Rosjan, Serbów i inne nacje, które „nie zasłużyły na egzystencję", a później własnych generałów, z początkiem roku 1945 pozostało mu już tylko ukarać własny „Herrenvolk", naród, który w swojej masie demokratycznie wybrał go na swego przywódcę, a później czerpał wielorakie korzyści z podboju innych państw, ich grabieży i niewolniczej pracy ich obywateli. Mieszkańcy Związku Sowieckiego od dawna świetnie wiedzieli, jak niewiele dzieli „zaufanych towarzyszy" od „wrogów klasowych" i jak łatwo tę magiczną linię przekroczyć. Niemcy mieli dopiero się tego nauczyć. Pogrom „karmazynowego klanu" oficerów sztabowych, podejrzewanych (słusznie lub nie) o spisek przeciw Hitlerowi,

otworzył oczy wielu ich kolegom, którzy zresztą już po klęsce stalingradzkiej i tunezyjskiej zaczęli powątpiewać w pomyślne zakończenie wojny. Była to jednak – w skali narodu – garstka. Miliony zwykłych zjadaczy kartkowego chleba, a zwłaszcza mieszkańcy większych miast, na co dzień (i co noc...) odczuwali skutki alianckiej ofensywy bombowej, która wymierzona była nie tylko w zakłady przemysłowe, lecz także dzielnice mieszkalne. W nalotach ginęli cywile, kobiety, dzieci, płonął dorobek ich życia i przejęte za bezcen mienie pożydowskie, skrzętnie nabywane przez „aryjskich" sąsiadów ich pierwotnych posiadaczy. To jednak można było wytłumaczyć brutalną strategią wrogów. Ale prawdziwy dysonans poznawczy dotknąć musiał setki tysięcy niedawnych jeszcze zwolenników nazizmu, którzy z polecenia własnych władz zmuszeni byli do porzucenia dobytku i pieszej ewakuacji, która w warunkach zimowych oznaczała najczęściej „marsz śmierci", szczególnie dla najsłabszych. Rozkazy ewakuacyjne, wspierane propagandowo przez przekazy o zbrodniach wojennych, jakich dopuszczali się Sowieci wobec cywilnych mieszkańców „wyzwalanych" terenów, rzuciły na niełaskę mrozu i głodu także około 700 tys. cywilnych mieszkańców Wrocławia. Ci, którym pozwolono pozostać, szybko przekonali się, że w totalitarnym państwie obywatel jest jedynie elementem rozporządzalnych zasobów. Objęci nakazem pracy (pod karą śmierci w razie odmowy) musieli wspierać przygotowania do obrony miasta, patrząc, jak żołnierze ICH armii niszczą ICH domy, wyburzając całe dzielnice dla „poprawy warunków taktycznych". Inni, ramię w ramię z pogardzanymi „podludźmi" – cudzoziemskimi robotnikami przymusowymi – ginęli setkami i tysiącami podczas realizacji najbardziej obłędnego projektu Festung Breslau – lotniska w sercu Śródmieścia. Lotniska, którego powstanie – okupione śmiercią ponad 10 tys. osób – nie przyniosło żadnej korzyści obrońcom, może jedynie poza efektem ściągania ognia artylerii i nalotów na gęsto zabudowane dzielnice mieszkalne, zamiast na linię frontu...

Powojenne publikacje niemieckie, jak „Walka o Śląsk" Hansa von Ahlfena, podkreślają często dziejowy czy wręcz cywilizacyjny wymiar walk na Wschodzie, przeciwstawiając bohaterstwo niemieckich „obrońców cywilizacji" sowieckim „hordom azjatyckiej dziczy". Warto jednak pamiętać, że wydany 19 III 1945 r. osobiście przez Hitlera tzw. „rozkaz Nerona" (Nerobefehl) zobowiązywał niemieckie siły zbrojne do pustoszenia własnego kraju, niszczenia „wszystkiego, co przeciwnik mógłby wykorzystać do kontynuowania walki". Wielu dowódców nie mogło, bądź nie chciało, realizować tej dyrektywy, jednak inni posłusznie dewastowali infrastrukturę swojego Heimatu, co przyczyniało się nie tyle do utrudniania wrogom walki, co raczej do zamiany w koszmar życia rodaków.

Zmierzch „nazistowskich bogów" z NSDAP przypominał raczej zemstę na własnym narodzie, który nie okazał się godny, by żyć, skoro zawiódł oczekiwania Wodza i Partii...

Zapewne kryło się za tym coś jeszcze – lęk przed karą, jaka nieuchronnie musiałaby spotkać (i spotkała w procesie norymberskim, choć bez głównych sprawców) winowajców zbrodni o nieznanej wcześniej w dziejach skali. Trudno zatem dziwić się, że nawet teraz, po wielu dziesięcioleciach, dla sporej części Niemców obalenie dyktatury hitlerowskiej to – jeśli wierzyć sondażom opinii publicznej – wyzwolenie. Często zapomina się jednak, że to, co dla narodu niemieckiego było jedynie kilkumiesięcznym epizodem, złowrogim paroksyzmem historii, dla Polaków trwało 6 lat. Jakże chętnie rozdziela się obecnie nieco abstrakcyjne pojęcie „naziści" od ich narodowości... Chciałoby się napisać, że teraz już tylko krok od przypisania owym tajemniczym „nazistom" innego niż niemieckie pochodzenia, ale krok ten właściwe został już zrobiony. Używane w mediach światowych określenie „polskie obozy zagłady" w połączeniu z wiedzą, że tworzyli je „naziści", skutkują szybkim i prostym skojarzeniem: naziści = Polacy. Ta antywiedza nie omija, niestety, nie tylko dziennikarzy, ale i przedstawicieli elity władzy USA, państwa, które utrzymywało stosunki dyplomatyczne i handlowe z III Rzeszą niemal do końca 1941 roku, odmawiając wiz wjazdowych niemieckim Żydom, co oznaczało skazanie ich na śmierć...

zdarzyło się...

4 V 1945 r.

70 lat temu zostało aresztowany w Bawarii Hans Frank, zbrodniczy gubernator generalny okupowanych ziem polskich. Dokonał tego oficer amerykańskiego wywiadu Walter Stein, który jednocześnie zabezpieczył odnalezione w domu nazistowskiego dygnitarza dzienniki, liczące 38 tomów! Wkrótce stały się one niezwykle ważnym materiałem dowodowym podczas procesu w Norymberdze. W willi Franka w Neuhaus am Schliersee, gdzie po ucieczce z Krakowa w styczniu 1945 r. urządził filię GG, odzyskano również wiele bezcennych dzieł sztuki zrabowanych przez niego z Wawelu, m.in. obrazy Leonarda da Vinci, Rembrandta, Rubensa i Dürera. Hans Frank został stracony wyrokiem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego 16 X 1946 roku.

„Po fakcie człowiek żałuje tylko, że był za dobry" (Adolf Hitler)

Wódz III Rzeszy nie dożył końca wojny, którą rozpętał i przegrał. Zdołał jednak, poprzez swój obłęd, przyczynić się do oddania na pastwę innego z ludobójczych totalitaryzmów, stalinowskiego bolszewizmu, całej Europy Wschodniej (połowę Polski, ćwierć Rumunii, Litwę, Łotwę i Estonię poświęcił na ołtarzu sojuszu ze Stalinem już w latach 1939-1940) i niemal połowy Niemiec. Prezent, jaki uczynił swojemu arcywrogowi, a do „Operacji Barbarossa" najwierniejszemu sprzymierzeńcowi, na pół wieku zaburzył równowagę polityczną świata i przyczynił się do różnic społeczno-ekonomicznych, których wyrównanie zajmie jeszcze wiele lat. A my możemy na koniec zadać sobie pytanie: czy gdyby losy wojny potoczyły się inaczej, niemiecka strategia byłaby bardziej racjonalna i Polskę wyzwoliliby nasi zachodni sojusznicy, to Wrocław nadal nosiłby nazwę Breslau? Przecież znaczne reparacje wojenne ze strony pokonanego agresora byłyby czymś zarówno sprawiedliwym, jak i realnym...

ZDJĘCIA: DMITRIJ BALTERMANC – ARCH. REDAKCJI

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

Operacja „Lawina" cz. 4

Ostatni fragment mozaiki. Przełom?

ŁUKASZ ORLICKI

W styczniu br. minęło 25 lat od chwili, gdy polska prokuratura rozpoczęła śledztwo dotyczące śmierci członków oddziału NSZ „Bartka". Zostali oni zgładzeni podczas jednej z najbardziej utajnionych operacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego we wrześniu 1946 roku. Do dziś udało się ustalić tylko jedno miejsce, gdzie została wymordowana część partyzantów – polanę nieopodal zameczku Hubertus i miejscowości Barut (gm. Wielowieś). Aby odnaleźć kolejne, należało rozwiązać skomplikowaną układankę. Czy udało się nam dopasować do niej klucz?

Temat tajemniczej śmierci żołnierzy NSZ z Podbeskidzia wielokrotnie gościł na łamach „Odkrywcy". W 2009 r. publikowaliśmy relacje z poszukiwań prowadzonych przez IPN, w których braliśmy również udział. W międzyczasie zmienił się charakter naszego zaangażowania i wiedza. Ostatecznie, w 2012 i 2013 r. zamieściliśmy na naszych łamach trzy obszerne artykuły dotyczące przebiegu Operacji „Lawina", szczegółów związanych z transportami i osobami głównych sprawców („Odkrywca" nr 11/2012, 2 i 3/2013). Kolejny, czwarty artykuł dotyczący naszych ustaleń i wyników poszukiwań został wstrzymany z uwagi na przygotowania, jakie podjęliśmy w celu weryfikacji hipotez. W efekcie ukazuje się dopiero dzisiaj, stanowiąc wypadkową wielu miesięcy wnikliwej analizy i pracy zespołu badawczego, powołanego do tej sprawy, złożonego z członków Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca", prokuratora w stanie spoczynku Wiesława Nawrockiego, badacza regionalnej historii Romana Piećko, oraz przedstawicieli Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Nysie z z-cą dyr. Instytutu Bezpieczeństwa Wewnętrznego PWSZ dr. G. Kwaśniakiem na czele. Wsparcia udzielili: arch. dr Paweł Konczewski oraz burmistrz Grodkowa p. Marek Antoniewicz. Rezultaty naszych ustaleń przekazywaliśmy na bieżąco prof. Krzysztofowi Szwagrzykowi, naczelnikowi Samodzielnego Wydziału Poszukiwań IPN. Przez półtora roku oczekiwaliśmy na wynik kwerendy, związanej z poszukiwanymi przez nas zdjęciami lotniczymi oraz zaginionymi planami, obrazującymi układ budynków jednego z poniemieckich majątków. W końcu, w marcu 2015 r. przeprowadziliśmy w rejonie miejscowości Stary Grodków badania georadarowe. Zostały one poprzedzone analizą dodatkowych, nieznanych dotychczas, bądź niebranych pod uwagę, materiałów: zdjęć, podkładów geodezyjnych, efektów skaningu laserowego oraz relacji świadków. Efekty przeprowadzonych w marcu br. badań okazały się dla nas zaskakujące, a rozwiązanie nadeszło z najmniej spodziewanego kierunku i miejsca.

Poszukiwania odpowiedzi

26 stycznia 1990 r. Prokuratora Rejonowa w Gliwicach rozpoczęła śledztwo w sprawie: *„Gwałtownej śmierci nieustalonych osób z formacji wojskowych i osób cywilnych prawdopodobnie zamordowanych we wrześniu 1946 roku w okolicy zamku Hubertus w gminie Wielowieś".* Śledztwo wszczęto na podstawie informacji zebranych od okolicznych mieszkańców wsi Barut. Początkowo nie łączono ich ze zniknięciem w 1946 r. członków oddziału „Bartka". Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy pod koniec tego samego roku pojawił się najważniejszy świadek – jedyny, ze strony wykonawców, który zaczął mówić – były funkcjonariusz UB, Jan Zieliński. Na podstawie informacji jakich udzielił listownie oraz w bezpośredniej relacji, w trakcie spotkania w chorzowskim Domu Opieki Społecznej, 5 IX 1991 r. rozpoczęto kolejne śledztwo, tym razem w Prokuraturze Wojewódzkiej w Opolu. Ostatecznie, mimo zebrania licznych materiałów dowodowych wskazujących, że obydwie sprawy dotyczą powiązanych ze sobą wydarzeń, postępowania umorzono. W Gliwicach w czerwcu 1991, w Opolu w grudniu 1993 roku.

Drugi etap śledztwa rozpoczął się w 2001 roku. Prowadziła je Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach. Połączono obydwie sprawy w jedną. Zaczęto gromadzić materiał archiwalny, odnajdować kolejnych świadków, badać różne tropy i wątki. Ponadto wspólnie

Operacja „Lawina", to umowny kryptonim określający zorganizowaną przez funkcjonariuszy MBP i przeprowadzoną we wrześniu 1946 r. akcję zlikwidowania części oddziału NSZ dowodzonego przez kpt. Henryka Flame ps. „Bartek". Dzięki wprowadzeniu do oddziału agenta UB, Henryka Wendrowskiego ps. „Wichura", który występował jako kpt. „Lawina", udało się przekonać „Bartka" i zdecydowaną większość jego sztabu do przeniesienia się na Ziemie Zachodnie, a następnie za granicę. Przerzut miał polegać na przetransportowaniu kilkudziesięcioosobowych grup NSZ-towców podstawionymi ciężarówkami. Transporty miały zaplanowany jeden nocleg w specjalnie wytypowanych miejscach na terenie Opolszczyzny. Tam, w nocy, wybrani funkcjonariusze UB, wspierani prawdopodobnie w jednej z operacji przez NKWD, mieli zaatakować śpiących partyzantów. Znane są szczegóły likwidacji I transportu. Niczego nie spodziewający się NSZ-towcy byli wcześniej „goszczeni" wódką ze środkiem nasennym lub odurzającym. Wg różnych relacji akcja rozpoczęła się od wrzucenia specjalnych granatów ogłuszających, i po krótkiej strzelaninie zakończona schwytaniem oszołomionych partyzantów, których następnie rozbierano i zabijano strzałem w tył głowy. Po egzekucji ciała wrzucano do dwóch dołów wykopanych na terenie posiadłości. Wg IPN takich transportów było kilka. Zabito w nich ok. 150-200 NSZ-towców. Jeden z całą pewnością miał znaleźć się w okolicach wsi Barut i zameczku Hubertus. Z kolei wg naszej analizy (opublikowanej w „Odkrywcy" nr 2/2013) były 3 transporty – w każdym jechało nie więcej niż 30 osób, razem ok. 90 osób. Pierwszy trafił na folwark w okolice Starego Grodkowa (prawd. 2-5 IX), gdzie został przez funkcjonariuszy NKWD zlikwidowany w opisany wyżej sposób. Egzekucję przeżył tylko jeden partyzant, Bujak, któremu udało się ukryć na strychu budynku i po paru dniach uciec. Kolejny transport, w odstępie nie więcej niż 2-3 dni, został wysadzony w baraku na terenie lotniska w pobliżu Starego Grodkowa. Trzeci, w połowie września, trafił na polanę w okolicach Barut, gdzie partyzanci zostali również wysadzeni w powietrze. Wszystkie miejsca zostały w jakiś czas po przeprowadzeniu akcji bardzo dokładnie oczyszczone. Być może ciała zostały wykopane i przewiezione w inne nieznane miejsce.

z archeologami, m.in. Jarosławem i Bogdanem Święcickimi, rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę badania terenowe. Wykorzystywano różne zdobycze techniki: detektory metali, georadar, magnetometr, a nawet „różdżkarzy". Głównym celem śledztwa było ustalenie miejsca, gdzie został zlikwidowany transport, opisany przez naocznego świadka – Jana Zielińskiego. Mimo wielu tygodni spędzanych na poszukiwaniach, efekty były niewielkie. W 2010 r. OKŚZpNP z Katowic umorzyła śledztwo (na krótko wznowione jeszcze w 2013 r. na wieść o znaleziskach z Dworzyska, ostatecznie zamkniętej 28.10.2013).

Sprawą zainteresował się z kolei Wrocław i prof. Krzysztof Szwagrzyk, wówczas z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN, obecnie naczelnik Samodzielnego Wydziału Poszukiwań IPN. Przez kolejne lata prowadził poszukiwania we współpracy m.in. z archeologami: Pawłem Konczewskim i Pawłem Zawadzkim w okolicach Barut, w pobliżu miejscowości Wierzbie oraz w m. Dworzysko, gdzie znajdował się pałacyk Scharfenberg. W efekcie osiągnięto najważniejszy dotychczas sukces badań terenowych, udało się potwierdzić miejsce zbrodni na polanie w pobliżu Barut! Odnaleziono tam ryngraf, guziki z orłem w koronie, fragmenty oporządzenia produkcji brytyjskiej używanego przez partyzantów „Bartka", i szereg przedmiotów osobistych ofiar. Niestety, nigdzie nie udało się odnaleźć szczątków pomordowanych partyzantów. Odkryte przez IPN w 2013 r. w Dworzysku ciała 25 osób pochodziły z różnych lat, i były związane z innymi zbrodniami komunistycznymi. Nigdy też nie udało się odnaleźć, ani potwierdzić, miejsca, gdzie UB zlikwidowało inne transporty.

Śledztwo GEMO – cz. 1

W czerwcowym numerze „Odkrywcy" z 2009 r. ukazał się artykuł dot. badań prowadzonych przez OKŚZpNP w Katowicach na terenie nieistniejącej leśniczówki Kronnera. Było to jedno z miejsc, gdzie udostępnialiśmy na potrzeby prac nasz georadar. Poszukiwania nie dały większych rezultatów. Kilka tygodni później, po opublikowaniu relacji, do redakcji zadzwonił prokurator Wiesław Nawrocki. – *Panie Łukaszu, dlaczego oni szukają w tamtym miejscu? To jest zupełnie bez sensu. To wszystko wydarzyło się gdzie indziej".* Pan prokurator nie pierwszy raz dzwonił i odwiedzał redakcję „Odkrywcy". Dotychczas rozmawialiśmy jedynie o jego wspomnieniach z dzieciństwa, które spędził w Górach Sowich wśród pozostałości po sztolniach „Riese". Tymczasem z zaskoczeniem dowiedziałem się, że p. Nawrocki nie tylko zna doskonale kulisy i szczegóły zbrodni dokonanej na partyzantach NSZ „Bartka", jest wręcz jedną z osób, które wniosły poważny wkład do tego śledztwa. Rozmawiał osobiście z głównym źródłem informacji w tej sprawie – Janem Zielińskim i odnalazł drugiego, kluczowego z dzisiejszej perspektywy świadka – strażnika na poniemieckim lotnisku w okolicach Starego Grodkowa. Wiesław Nawrocki w 1996 r. pracował w prokuraturze wojewódzkiej w Opolu, prowadząc wtedy, już po umorzeniu postępowania, czynności śledcze związane z przekazywanymi przez Zielińskiego relacjami. Udało mu się stworzyć spójną teorię dotyczącą przypuszczalnego miejsca, gdzie rozegrał się tragiczny finał jednego z transportów. Miał on znaleźć się na terenie folwarku w pobliżu Starego Grodkowa – Neuhammer, dziś znanym pod nazwą osiedle Zacisze. Tam miały, wg niego, rozegrać się najbardziej dramatyczne wydarzenia związane z zabijaniem rozebranych do naga partyzantów i zakopywaniem ich ciał w dwóch dołach śmierci: obok budynku i w altanie znajdującej się w ogrodzie. Na pobliskim lotnisku miał zostać zlikwidowany kolejny transport – wysadzony w zaminowanym baraku. Wydawało się, że sprawa jest w miarę prosta. Wystarczyło dobrze przebadać obydwie lokalizacje. Okazało się, że wcale prosta nie jest.

Tak się złożyło, że rok później zarówno prok. Piotr Nalepa z OKŚZpNP w Katowicach, jak i współpracujący z nim w sprawie „Bartka" arch. Jarosław Święcicki uczestniczyli w zorganizowanych przez nas poszukiwaniach sztandaru 4. Dywizjonu Artylerii Konnej w rejonie Woli Gułowskiej. Poruszyłem wtedy kwestię badań w okolicach Starego Grodkowa opartych na wnioskach wysnutych przez Wiesława Nawrockiego. Okazało się, że zespół IPN prowadził badania w tym rejonie, w innym, nieistniejącym dziś majątku – Podlesie. Miejsce wskazywane przez prok. Nawrockiego nie zostało jednak wytypowane do przeprowadzenia jakichkolwiek czynności, oprócz wizji lokalnej. Z uwagi na trudny teren i olbrzymią ilość niezidentyfikowanych pozostałości infrastruktury, nie szukano również zbyt wnikliwie na terenie lotniska.

Ostatecznie, już po umorzeniu śledztwa przez prokuraturę IPN na początku 2012 r., rozpoczęliśmy własne poszukiwania. Oparliśmy je początkowo na informacjach i materiałach znajdujących się w posiadaniu prok. Nawrockiego, jednak dzięki życzliwości zarówno prokuratury w Katowicach i Piotra Nalepy, a przede wszystkim prof. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN, udało się uzupełnić nasz materiał źródłowy. Wkrótce też ukazała się książka Macieja Nowaka, dziennikarza Radia Opole, pt. „Operacja »Lawina« – Dzieje przemilczanej zbrodni UB", w której znalazł się spory zbiór cytowanych dokumentów. Już pierwsza wizyta w miejscu dawnego majątku Neuhammer wykazała, że poszukiwania nie będą sprawą łatwą. Na terenie folwarku przez cały okres PRL-u funkcjonowała rolnicza spółdzielnia; zmienił się układ budynków gospodarczych, część przedwojennych została wyburzona, postawiono też nowe. Zlokalizowanie w tych warunkach nieistniejącej altany oraz domniemanego grobu w pobliżu głównego budynku, nastręczało olbrzymie trudności. Również wizyta na lotnisku wydawała się początkowo wskazywać, że poszukiwania drugiego miejsca egzekucji – wysadzonego baraku – jest sprawą beznadziejną. Potrzebowaliśmy więcej informacji. Należało więc zgromadzić i zapoznać się z licznymi materiałami, odpowiedzieć na wiele dodatkowych pytań dotyczących ilości transportów czy liczby przewożonych partyzantów. Dla naszych ustaleń mogły mieć one bardzo istotne znaczenie. Jedna sprawa nurtowała mnie szczególnie.

Dlaczego brane do tej pory pod uwagę przez śledczych i osoby zajmujące się z ramienia IPN poszukiwaniami miejsca, m.in. majątek Podlesie (k. Starego Grodkowa), pałac w Kopicach, leśniczówka Kronnera (m. Wierzbie) czy, wprowadzony później przez zespół prof. Szwagrzyka, pałac Szarfenberg (m. Dworzysko), były od siebie tak bardzo oddalone, i tak… różne. Przecież wszystkie miały odpowiadać opisowi jednego i tego samego miejsca. Na jakiej więc podstawie typowano właśnie te, a nie inne lokalizacje?

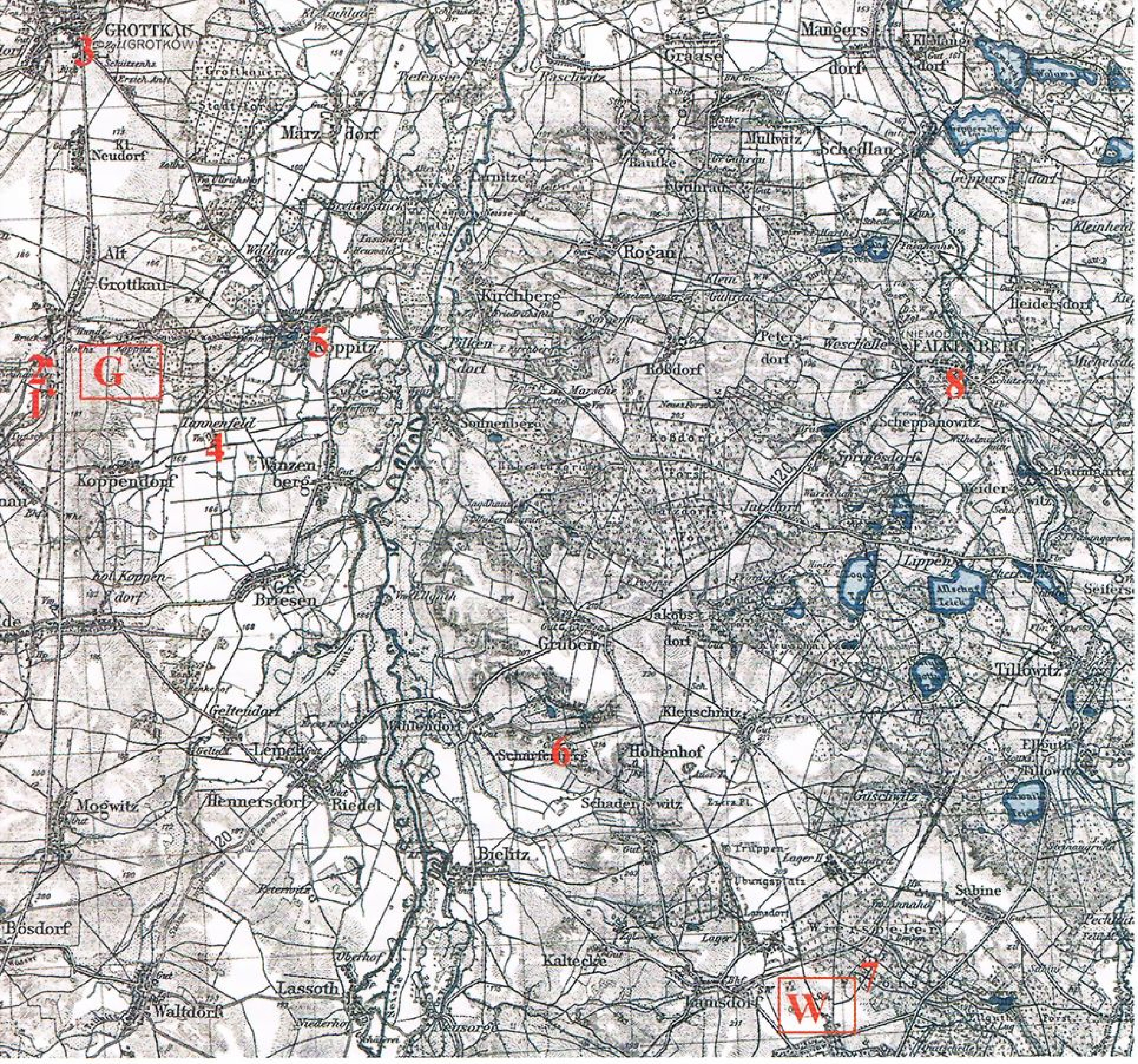

Mapa w skali 1:100 000 z 1933 roku.
G – lotnisko w pobliżu Starego Grodkowa.
W – lotnisko Wierzbie.
1 – Folwark Neuhammer, ob. osiedle Zacisze.
2 – „Dom malarza"
3 – Grodków, gdzie znajdowała się siedziba UB odległa o ok. 6 km od Zacisza (Neuhammer).
4 – Folwark Tannenfeld, ob. Podlesie, gdzie prowadzono badania IPN.
5 – Pałac w Kopicach.
6 – Majątek Scharfenberg – Dworzysko k. Malerzowic Wielkich.
7 – Leśniczówka Kronnera.
8 – Niemodlin.

Tajemnica Zielińskiego – klucz do sprawy

„Zieliński kłamał, musiał kłamać, tylko my nie wiemy, w którym miejscu" – wypowiedziane z całkowitą pewnością słowa jednego z archeologów, pracujących w ramach śledztwa IPN na terenie leśniczówki Kronnera.

Jan Fryderyk Zieliński (1925-1996) do końca lat 40. pracował jako funkcjonariusz Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa w Katowicach, Cieszynie, Gliwicach i Chorzowie. To właśnie jego 5 zeznań, składanych w: XII 1990, X 1991, VII 1992, IX 1994 i III 1995, stały się podstawowymi źródłami, na których oparto poszukiwania. Zeznania w spójny sposób opisują wydarzenia, jakie rozegrały się we wrześniu 1946 roku. I co ważne, nie różnią się od siebie, mimo sporych, rocznych odstępów między nimi. Opisują dokładnie przebieg akcji – przyjęcie niczego nie podejrzewających partyzantów, poczęstunek zatrutym alkoholem, nocny atak, scenę mordu oraz zastrzelenie przez Gęborskiego zastępcy „Bartka", Jana Przewoźnika ps. „Ryś" i Cieślara. Zawarte są w nich pewne charakterystyczne cechy topografii terenu, określające miejsce, gdzie dokonano mordu oraz kilka dotyczących lotniska, na jakim przygotowano do wysadzenia barak. To właśnie owe szczegóły były kluczowe dla poszukiwań lokalizacji miejsca egzekucji. Kłopot w tym, że miejsce, które spełniałoby wszystkie cechy wymienione przez Zielińskiego, po prostu nie istnieje! Każdy z zajmujących się tą sprawą zmuszony był brać pod uwagę jedynie część z nich, a te, które nie pasują do przyjętej hipotezy, tłumaczyć złą wolą świadka bądź niedoskonałością składanych po 50 latach zeznań. Aby zrozumieć cały ten skomplikowany problem śledczy, należy przyjrzeć się im bliżej.

Początkowo Zieliński był przekonany, że kluczowe wydarzenia rozegrały się w bezpośrednim sąsiedztwie Łambinowic, od razu jednak zastrzegał niemożliwy do spełnienia warunek, aby było to zarazem *„w pobliżu drogi Wrocław–Grodków"*. Konkretnie miał być to: *„teren posiadłości ziemskich oddalonych jakieś 800 metrów od szosy. (...) w lesie po prawej stronie szosy"*. Na teren majątku można było dotrzeć drogą gruntową przez niewielki lasek. Gdzieś pomiędzy Grodkowem a Łambinowicami, gdzie po lewej stronie znajdowało się lotnisko poniemieckie. A atak na śpiących NSZ-towców rozegrać się miał *„w budynku (...) nieotynkowanym z czerwonej cegły klinkierowej"*, gdzie *„w dwóch pomieszczeniach bez okien była przygotowana słoma"*. Obok budynku była stajnia, po prawej stronie posiadłości, i ogród. Na lotnisku z kolei miały znajdować się baraki i *„wiele dołów po wybuchach – leje bombowe"*. Mimo zapewnień Zielińskiego, że jest w stanie wskazać miejsce, które opisuje, przeprowadzona w jego obecności 9 VII 1992 r. wizja lokalna w okolicach Łambinowic okazała się kompletną klapą. Świadek, przewieziony w pobliże lotniska Wierzbie (jedynego poniemieckiego lotniska w rejonie Łambinowic), niczego właściwie nie mógł rozpoznać, jednocześnie upierał się przy swoich zeznaniach. Co ciekawe, w protokole z lipca 1992 r. sporządzonym po nieudanej wizji lokalnej, dodaje kolejną cechę miejsca egzekucji, która stanowi następny, niemożliwy do spełnienia warunek. Po wymordowaniu I grupy partyzantów, o czym wspominał już wcześniej, przygotowywano na pobliskim lotnisku podminowany barak, gdzie planowano wysadzić drugi transport. Ponieważ zabrakło wódki, Zieliński został wysłany, jak twierdził, do pobliskiego Niemodlina, gdzie w pałacyku mieściła się siedziba UB. Droga z *„gospodarstwa, gdzie zatrzymaliśmy się po przyjeździe z UB w Katowicach"* do Niemodlina zajęła mu pół godziny, a *„na pewno nie szedłem więcej jak godzinę"*. Uwagę przesłuchującego, iż z Niemodlina do Wierzbia czy Łambinowic jest ponad 15 km, których nie da się pokonać pieszo w 30 minut, Zieliński nie był w stanie skomentować. Dodajmy również, że Niemodlin dzieli od Starego Grodkowa prawie 20 kilometrów. Ponadto wniosek, iż pałacyk z siedzibą UB musiał mieścić się w innej miejscowości, nigdy nie

został przez Zielińskiego potwierdzony. Wyraźnych sprzeczności w zeznaniach było więcej, choć zapewne nie były one kwestią złej woli, należy je raczej tłumaczyć naturalnymi zniekształceniami wskutek upływu długiego, 50-letniego czasu od opisywanych wydarzeń. Jedną z nich było uporczywe opisywanie pomieszczeń wyłożonych słomą, przygotowanych do noclegu dla partyzantów, pozbawionych okien. Kilka zdań dalej, w tych samych zeznaniach, Zieliński wyraźnie mówi o wrzucaniu przez (te nieistniejące) okna granatów…

W 1994 r. po umorzeniu śledztwa Zielińskiego przesłuchał prokurator Wiesław Nawrocki. – *W chwili, gdy z nim rozmawiałem, był schorowanym człowiekiem, niedawno przeszedł operację amputacji nogi. W dodatku warunki w jakich prowadziliśmy przesłuchanie, a było to w domu opieki społecznej, nie sprzyjały wyczerpującej odpowiedzi. Zieliński krępował się i nie chciał zdradzić swojej przeszłości przed współlokatorem, który na czas przesłuchania musiał opuszczać pokój.* Mimo to w zeznaniach b. funkcjonariusza pojawiły się nowe, uzupełniające szczegóły. W pobliżu lotniska miały znajdować się tory kolejowe, choć Zieliński upierał się, że idąc drogą gruntową na teren posiadłości: *„na pewno nie przekraczałem torów kolejowych, były one wcześniej przy lotnisku"*; *„do budynku na wysoki parter prowadziły takie zakręcone schody"*. Oprócz budynku piętrowego *„były zabudowania; stajnie ze żłobami oraz magazyny. W budynku mieszkalnym na dole, w piwnicy, była kotłownia. Z przodu budynku był duży okrągły klomb. Za budynkiem mieszkalnym ogród i sad. Teren schodził trochę w dół i widać było wioskę z kościółkiem (…) do zabudowań gospodarczych przylegała drewniana altana, ściany u dołu były pełne, a górna część była z drewnianych listew. Było to zdewastowane"*. To właśnie w tej altanie miał znaleźć się drugi masowy grób. W ogrodzie, o którym wspominał, nocowała cała grupa funkcjonariuszy UB, natomiast Rosjanie, którzy mieli wykonywać egzekucje, spali w stajni *„ze żłobami"*.

Podczas tego zeznania padły też słowa, które z dzisiejszej perspektywy są kluczowe dla lokalizacji lotniska sąsiadującego z folwarkiem. *„Nie wiem jak Wańtraub* (szef PUBP w Cieszynie, bezpośredni przełożony Zielińskiego – przyp. Ł.O.) *dowiedział się, że jedna osoba z obławy uciekła i jest na pobliskim posterunku MO. Zostałem tam wysłany, ja i Gęborski, by go przyprowadzić. Tak zrobiliśmy i wtedy Wańtraub powiedział, że trzeba go zaprowadzić na lotnisko i zlikwidować. Tak się to odbyło, jak opisałem. Groby już były wtedy zasypane. Na lotnisku Gęborski pokazywał mi podminowany barak, gdzie miano zlikwidować następną grupę. Wtedy przy lesie zauważyliśmy dwóch młodych ludzi – chyba grzybiarzy. Zastanawialiśmy się, co z nimi zrobić. O ile pamiętam, to Gęborski z nimi rozmawiał i jeden z nich chyba uciekł. Wcześniej z folwarku do drogi szliśmy drogą polną, a później chyba asfaltem na lotnisko. Tam były tory kolejowe, ale idąc z folwarku do drogi ich się nie przekraczało. Drugiego z zatrzymanych grzybiarzy Gęborski wypuścił. Na lotnisku były pasy startowe betonowe, i były tam na pewno co najmniej trzy hangary. W jednym chyba leżały silniki samolotowe i dużo niklowych nitów. Były tam też warsztaty i basen. Z innych obiektów to pamiętam dużo baraków drewnianych malowanych na zielono (…)"*. Wkrótce relacja świadka zyskała niespodziewane potwierdzenie! Prokurator Nawrocki odnalazł ówczesnego cywilnego strażnika – Mieczysława Batora, który pełnił służbę na lotnisku z ramienia Dowództwa Wojsk Lotniczych z Poznania od 1945 r. do końca lat 50., i otrzymał od niego 26 IX 1994 r. bardzo ważne zeznanie. Na lotnisku *„stały w rzędzie trzy hangary naziemne żelaznej konstrukcji (…). Za hangarami stała kotłownia, a za nią stał w dalszej części czwarty hangar mniejszy i zaraz za nim były obiekty warsztatów naprawczych. Za hangarem czwartym zaczynały się baraki. Najwięcej było baraków drewnianych na podmurówkach. (…) na lotnisku były też dwa baseny i były to baseny kąpielowe"*.

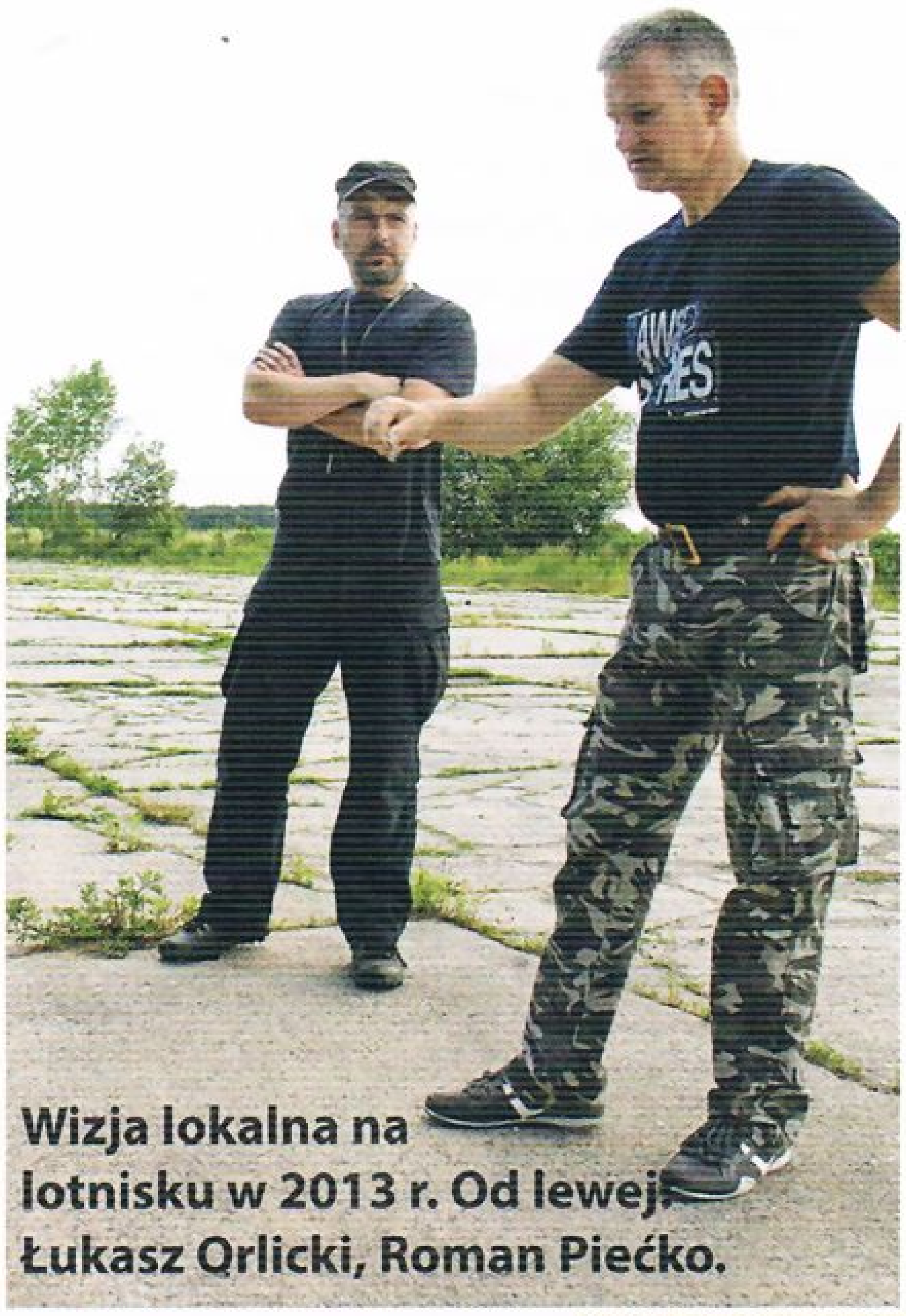

Wizja lokalna na lotnisku w 2013 r. Od lewej: Łukasz Orlicki, Roman Piećko.

Opis jednoznacznie wskazywał na podobieństwa obydwu lokalizacji, tego z relacji Zielińskiego, i tego z zeznań Batora. Jednak nie to okazało się najważniejsze. Doszło do nieprawdopodobnego i bardzo rzadkiego przypadku.

W dalszej części zeznań Bator zrelacjonował to samo, znane już z relacji Zielińskiego, wydarzenie! *„Było to na pewno jesienią 1946 roku, mógł to być wrzesień, było ciepło. Wybrałem się wraz z bratem Bronisławem na grzyby w rejon lotniska. W pewnej chwili zauważyłem mężczyznę w kapeluszu, w płaszczu – dokładnie ubioru nie pamiętam – chciałem go zapytać, co on tu robi. Mężczyzna ten szedł w naszym kierunku i po dojściu do nas, na moje pytanie, zamiast odpowiedzi, powiedział: »zaraz się pan dowie« i w tym momencie wyjął z płaszcza pistolet i kazał iść nam przed sobą. (…) W pewnej chwili prowadzący nas mężczyzna jakby zgubił się i wykorzystałem ten moment, zrzuciłem z nóg drewniane klapki i uciekłem w las i dalej na łąki przy pasie startowym (…)"*. Kilka dni póź-

Badania na terenie folwarku Zacisze. Od lewej stoją: dr Paweł Konczewski, Łukasz Orlicki. W środku, w bordowym swetrze, prok. Wiesław Nawrocki. Na dole, po prawej, dr Wiesław Nawrocki.

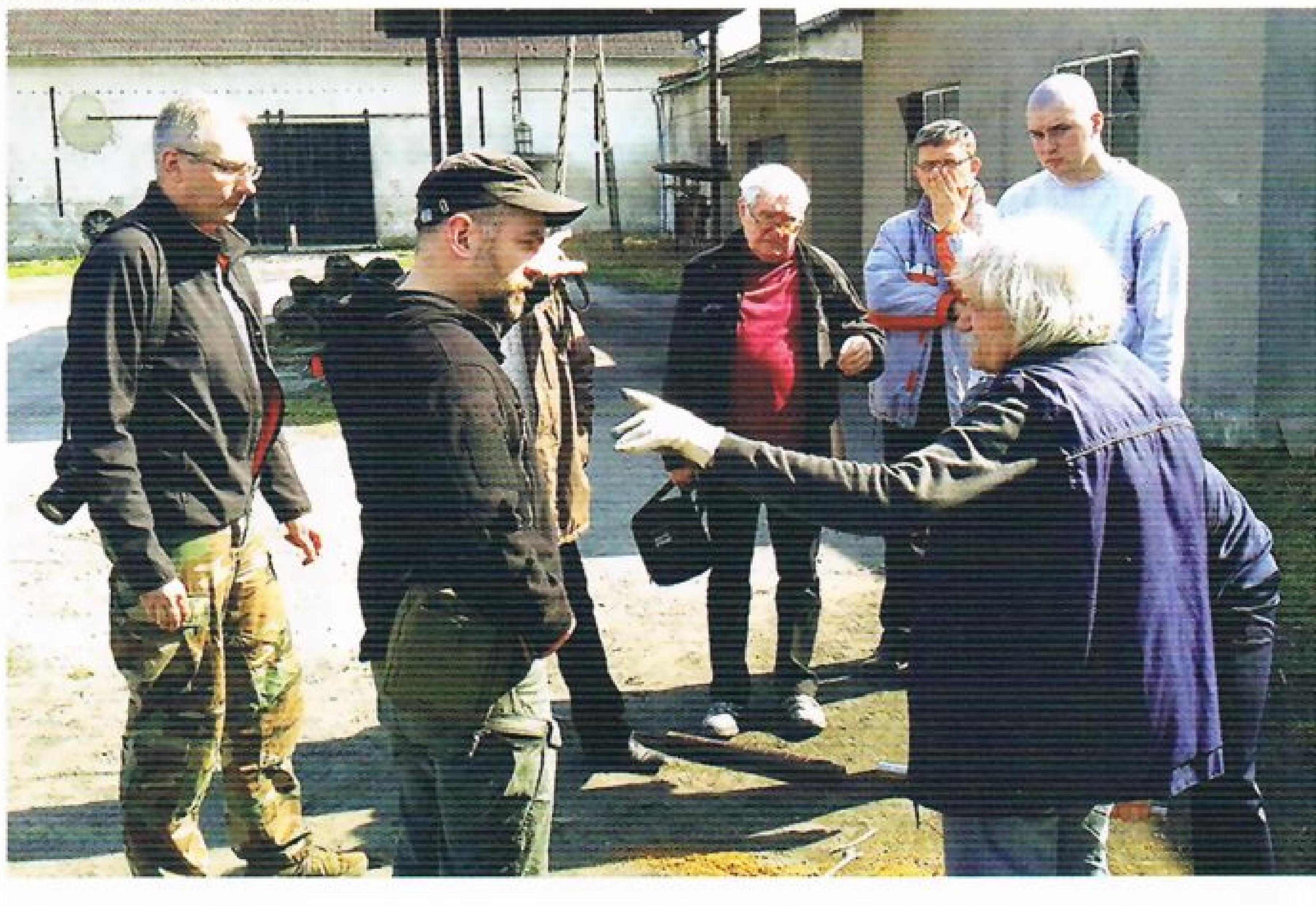

niej: *„rano skoro świt usłyszałem odgłosy strzałów karabinów maszynowych, chyba dwóch. Po strzałach nastąpił wybuch, ale czy była to mina, czy też wiązka granatów, tego nie wiem. (…) Żadnego innego miejsca, np. wzruszenia ziemi nie zauważyłem, było tylko to jedno po spalonym baraku".*

Wydawać by się mogło, że zbieżność zeznań Zielińskiego i Batora przesądza sprawę i jednoznacznie kieruje nas do lotniska w Starym Grodkowie. A jeśli na to lotnisko, to i zarazem na leżący w jego pobliżu folwark, bądź majątek ziemski. Wytypowany przez prok. Nawrockiego Neuhammer (os. Zacisze) wydawał się idealnym kandydatem spełniającym większość cech, które opisywał Zieliński. Był tu duży okazały budynek, ówcześnie nieotynkowany, z kotłownią w piwnicy, z zakręconymi schodami, stajnią ze żłobami, obok okrągły klomb, ogród i sad oraz altana. Z pobliskiego terenu widać było wieżę kościoła w Starym Grodkowie, która w 1946 r. miała być dużo wyższa niż obecnie. Do najbliższej siedziby UB w Grodkowie można było dojść w niecałą godzinę (ok. 6 km), i co najważniejsze, majątek leżał naprzeciwko lotniska, na które, aby się dostać, należało przekroczyć drogę asfaltową Nysa–Grodków. Z podanych przez Zielińskiego cech Neuhammer nie spełniał jedynie dwóch: gruntowa droga wiodąca do niego nie biegła przez las, i chcąc do niego dotrzeć, należało przejść przez tory (niemniej w 1946 r. linia była nieczynna, mogła więc być zarośnięta i nieczytelna w terenie).

Dlaczego więc przez lata nie szukano na terenie tego majątku, ani też na lotnisku w Starym Grodkowie?

Powyższe ustalenia nie znalazły do końca uznania w oczach śledczych IPN. Przesłoniły je inne relacje uzyskane od mieszkańców różnych miejscowości Opolszczyzny, m.in. mieszkańca Wierzbia, Stanisława Beera, który twierdził, że na jego posiadłości odnaleziono kiedyś „kości Polaków zabitych przez swoich", czy Walerii Gołdy opisującej pobyt 15-osobowej grupy partyzantów na terenie miejscowości. Także przekazy mieszkańców wsi Malerzowice odnoszące się do strzelaniny niezidentyfikowanego oddziału partyzanckiego z UB na terenie pałacu w Dworzysku. Zdecydowano się więc na badanie odmiennych lokalizacji. Wytypowany przez IPN teren leśniczówki Kronnera w pobliżu m. Wierzbie, miał odpowiadać wielu cechom pojawiającym się w zeznaniach Zielińskiego, m.in. znajdował się w pobliżu niemieckiego lotniska, do którego wiodła droga gruntowa przez las. Były tam: stajnia, klomb, nieotynkowany budynek z czerwonej cegły, a pobliska siedziba NKWD mieściła się w okazałym pałacyku w Wierzbie, która to miejscowość posiadała dużą, 30 m wieżę kościółka, niewidoczną jednak z terenu leśniczówki, ani z prowadzącej do niej drogi. Prowadzone na miejscu przez IPN badania przyniosły rezultat w postaci różnego rodzaju łusek produkcji sowieckiej i niemieckiej, które początkowo utożsamiano z przebiegiem operacji ataku sił UB na partyzantów.

Śledztwo GEMO – cz. 2

Niemal od samego początku, tzn. od rozmowy z Wiesławem Nawrockim, byłem przekonany, że I i II transport z partyzantami znalazł swój krwawy finał właśnie w rejonie na południe od Starego Grodkowa. Chcąc mieć jednak pewność, pozostawiłem na moment zeznania Batora i przeanalizowałem jeszcze raz wszystkie możliwości i cechy lokalizacji, oparte tylko o zeznania Jana Zielińskiego. Najważniejszą ich cechą była bezpośrednia bliskość lotniska, na którym rozegrał się drugi akt dramatu. Lotnisko w Wierzbie nie spełniało praktycznie ani jednej cechy zawartej w zeznaniach. Przede wszystkim kluczowe budynki: baraki, warsztaty, wieża kontroli lotów, hangary, były usytuowane niedaleko wsi. Niemożliwe byłoby wysadzenie baraku bez wiedzy mieszkańców. Również i odnaleziona w rejonie leśniczówki amunicja, znalazła się tam z innego zapewne powodu. W 1945 r. o samo lotnisko toczyły się ciężkie walki, a niemieckie oddziały garnizonowe z Łambinowic i Wierzbia kontratakowały właśnie z rejonu leśniczówki Kronnera. W walkach uczestniczyły też oddziały estońskie z 20. Dywizji Grenadierów SS. Z pełnej analizy lotnisk niemieckich znajdujących się w tej okolicy, pozostało jedynie lotnisko położone na południe od Starego Grodkowa, które spełniało ww. cechy w każdym calu. Można było do niego dotrzeć jadąc z Łambinowic w stronę Starego Grodkowa (w tym przypadku byłoby po lewej stronie). Na jego terenie znajdowały się 3 potężne betonowe hangary, olbrzymia infrastruktura w postaci baraków, budynków mieszkalnych wraz z warsztatami i dwoma basenami kąpielowymi. Pozostawało znaleźć pobliski folwark, który spełniałby większość cech podanych przez Zielińskiego. Wnikliwa analiza terenu doprowadziła mnie ponownie do… folwarku Neuhammer. Ze wszystkich możliwych miejsc wydawał się najbardziej prawdopodobny.

Na początku 2014 r. zwrócił się do nas z propozycją współpracy p. Roman Piećko – badacz regionalnej historii, który od kilkunastu miesięcy tropił ślady Operacji „Lawina" w rejonie Starego Grodkowa. Okazało się, że dotarł do wielu ludzi – świadków, bądź ich rodzin, którzy przekazywali mu cenne informacje. Na ich podstawie wytypował swoje miejsce, czyli „teren posiadłości ziemskich", gdzie mogły rozegrać się wydarzenia opisane przez Zielińskiego. Były to zniszczone w końcu lat 40. zabudowania, należące do zamożnego artysty – malarza o nazwisku Wysoki. Ich centralną częścią miał być duży budynek z nieotynkowanej czerwonej cegły, z kotłownią umieszczoną w piwnicy i sąsiadującą oborą oraz dużym ogrodem, w którym znajdowała się altana. Gdy spotkaliśmy się na wytypowanym przez niego miejscu okazało się, że sąsiaduje ono (ok. 400 m w linii prostej) z os. Zacisze (Neuhammer) i podobnie jak w tamtym przypadku, dotyczą go te same szczegóły topografii. Niestety, po tych zabudowaniach nie pozostał właściwie żaden ślad, a badania wymagały uporządkowania zakrzewionego i nieco zaśmieconego terenu. Ostatecznie, w ramach prowadzonych przez nas poszukiwań, wytypowaliśmy trzy lokalizacje, na których spodziewaliśmy się znaleźć ślady po Operacji „Lawina": „domek malarza", zabudowania folwarku Neuhammer–Zacisze (w obydwóch mógł znaleźć się pierwszy transport) oraz lotnisko, gdzie miał zostać wysadzony drugi transport z partyzantami. Obydwie lokalizacje odnoszące się do miejsca egzekucji I transportu odpowiadały opisowi, który przedstawił Zieliński.

Przez wiele miesięcy próbowaliśmy uzyskać dodatkowe materiały, kluczowe dla ustalenia szczegółów zabudowy wszystkich punktów. W przypadku folwarku była to mapa „PGR Stary Grodków", która została dołączona przez niego do dokumentacji śledztwa w latach 90. Zdaniem prok. Nawrockiego oznaczona na niej miała być altana oraz

nieistniejące już dziś budynki. Niestety, mimo szczegółowej kwerendy w aktach sprawy złożonych w Katowicach, nie udało się jej odnaleźć. Podobnie bezowocnie zakończyły się poszukiwania angielskiego zdjęcia lotniczego z lat 40., na którym miał znajdować się zarówno folwark, jak i „domek malarza". Pomimo figurowania zdjęcia tego rejonu w bazie danych jednego ze szkockich archiwów, samo zdjęcie pechowo zaginęło. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na przeprowadzenie badań terenowych bez wspomnianych materiałów, opierając się jedynie na dotychczas uzyskanych od świadków relacjach dotyczących nieistniejących dziś obiektów. Co ciekawe, w obydwu lokalizacjach typowanych jako główne miejsce dramatu, udało się wyselekcjonować dwa odmienne obiekty badań. Na folwarku niemożliwe jest obecnie ustalenie miejsca, gdzie znajdowała się altana. Natomiast do dziś w tym samym punkcie znajduje się nieotynkowany w 1946 r. „dom z czerwonej cegły". Z kolei na terenie posiadłości „malarza", wśród zarastających krzewów i wyrzuconych nielegalnie śmieci, prościej było poszukać miejsca po altanie i ewentualnym dole z ciałami, jaki miał zostać w niej wykopany. Trzecim punktem badań, przeznaczonym do przeprowadzenia bardziej szczegółowej wizji lokalnej, było lotnisko. Opierając się na fragmentach zeznań Batora i Zielińskiego wytypowałem rejon, gdzie mógł znajdować się wysadzony barak.

Pod koniec marca wspólnie ze studentami z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Nysie przeprowadziliśmy bezinwazyjne badania na terenie folwarku i „domku malarza". Ich wyniki nie były jednoznaczne. Udało się zlokalizować miejsce po altanie, w jej obrębie nic jednak nie wskazywało na istnienie dużego dołu, w którym mogłyby znaleźć się ludzkie szczątki. Natomiast w pobliżu budynku na terenie folwarku, udało się namierzyć anomalię, odpowiadającą rozmiarami opisywanemu przez Zielińskiego dołowi z ciałami! Dokładna analiza odczytu georadaru nie wyklucza jednak, że może chodzić o naturalny układ geologiczny. Z pewnością dalsze postępowanie i weryfikacja wymagałaby przeprowadzenia szeroko zakrojonych prac inwazyjnych, co do których zasadności można byłoby mieć wątpliwości, gdyby nie wyniki wizji lokalnej przeprowadzonej na lotnisku. Zawężony dzięki dokładniejszej analizie zeznań rejon poszukiwań został jeszcze bardziej doprecyzowany przez Romana Piećko, który uzyskał kilka ciekawych relacji starszych osób zamieszkujących okolicę. Ostatecznie w miejscu, gdzie spodziewaliśmy się trafić na ślady po spalonym i wysadzonym baraku, niemalże z marszu takie pozostałości udało się odnaleźć! Praktycznie na powierzchni widniały fragmenty spalonych desek, pozostałości zdetonowanej amunicji sowieckiej produkcji, stopione aluminium oraz elementy wyposażenia brytyjskiego. Wyglądało, że znaleźliśmy miejsce zbrodni. Efekty naszych ustaleń zostały natychmiast przekazane przedstawicielom IPN – katowickiej prokuraturze i prof. Szwagrzykowi. W chwili pisania tego artykułu na terenie lotniska trwają prace IPN, przy których jesteśmy obecni. Już wkrótce zrelacjonujemy w pełni efekty poszukiwań i potwierdzimy, czy udało się nam odnaleźć miejsce, gdzie został wysadzony w powietrze II transport żołnierzy NSZ zgrupowania dowodzonego przez „Bartka".

W naszych badaniach nad śladami Operacji „Lawina" brali udział: Łukasz Orlicki, Wiesław Nawrocki (prok.), Roman Piećko, Paweł Piątkiewicz, dr Wiesław Nawrocki (georadar), Paweł Marcinkowski, Grzegorz Góra, Jarosław Stróżniak, dr Paweł Konczewski, dr Grzegorz Kwaśniak, dr Grzegorz Mazur, Paweł Sznajder, Dominik Socha, Grzegorz Brabański, Nazarii Shyba, Krzysztof Krzyżanowski.

ZDJĘCIA: GRZEGORZ GÓRA, KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI

REKLAMA

Kości wydarte ziemi…

PRZEMYSŁAW LEWICKI

Historia Głogowa dotycząca II wojny światowej, a zwłaszcza tragicznego okresu walk o „Festung Glogau" na początku 1945 r., kryje w sobie wiele zagadnień, z których część do dziś budzi kontrowersje. Jednym z nich, być może najbardziej znanym, ale i pomijanym w większości publikacji, jest kwestia grobów niemieckich, najczęściej zbiorowych, w których pochowani są zarówno żołnierze Wehrmachtu, jak i ludność cywilna. Lokalizacja kilkunastu takich właśnie mogił jest ustalona ponad wszelką wątpliwość, głównie w oparciu o dokumenty, wspomnienia naocznych świadków lub spisywane w późniejszych latach relacje. Jednak przez cały czas pojawiają się nowe miejsca, o których próżno szukać informacji we wspomnianych źródłach. O odkryciu najczęściej decyduje zwykły przypadek i takiemu właśnie wydarzeniu jest poświęcony niniejszy artykuł. Sprawa, o której chcę napisać, rozpoczęła się jeszcze na początku 2014 r. i nikt wówczas nie przypuszczał, że na jej zakończenie trzeba będzie czekać tak długo. Ale może po kolei…

Koszary wojskowe Lüttich-Kaserne, główna brama od strony ówczesnej Raudtenerstrasse. Prawie naprzeciw tego wjazdu, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się zbiorowa mogiła żołnierzy niemieckich. Pocztówka ze zb. P. Lewickiego.

W lutym ubiegłego roku rozpoczęła się inwestycja związana z przygotowaniem terenu pod budowę drogi wewnętrznej dla mieszkańców fragmentu ul. Rudnowskiej w Głogowie. Jej zakres obejmował prace ziemne oraz położenie rur wodno-kanalizacyjnych. Realizację przedsięwzięcia utrudniały znajdowane podczas kopania pozostałości z czasów ostatniej wojny, zwłaszcza te, które stanowiły zagrożenie dla zdrowia i życia robotników. Sam fakt ich występowania nikogo nie dziwił, lokalne media praktycznie każdego tygodnia donoszą o podobnych odkryciach na obszarze całego miasta. Także i w tym wypadku, do tkwiącej w ziemi amunicji oraz niewypałów, za każdym razem przyjeżdżała policja oraz wojskowy patrol rozminowania.

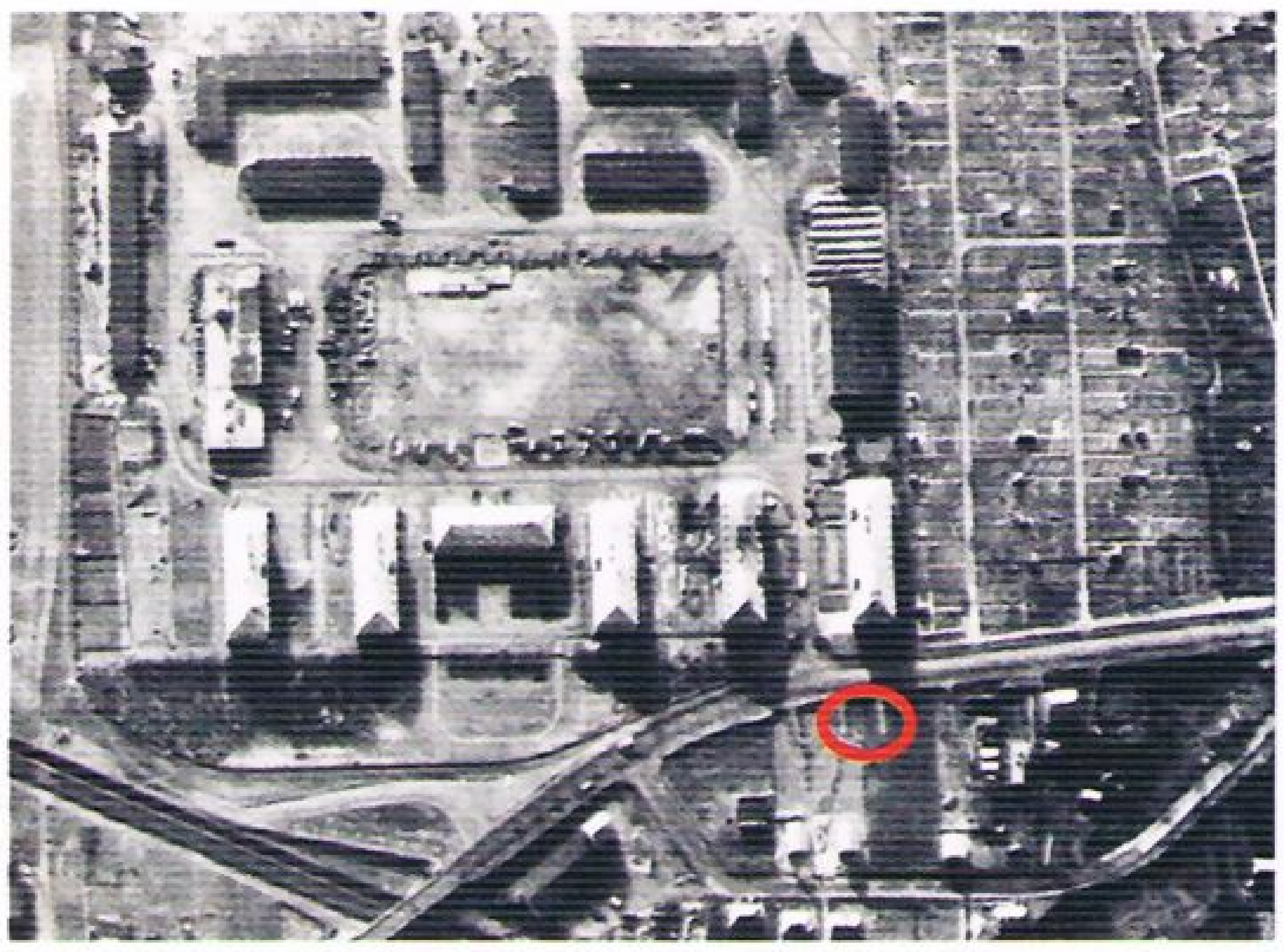

Fragment zdjęcia lotniczego wykonanego przez samolot rozpoznawczy Luftwaffe 7 II 1945 r. Z lewej strony, na planie ogromnego kwadratu, to koszary wojskowe Lüttich-Kaserne (dziś os. Złota Podkowa). Na czerwono zaznaczony teren, na którym przeprowadzono ekshumację. Arch. Herder-Institut w Marburgu.

4 marca zadzwonił do mnie Marek Dyk, kolega zainteresowany przeszłością Głogowa, z sensacyjną informacją, że pracownicy jednej z firm, wykonującej wspomniane zlecenie, podobno natknęli się w jednym z wykopów na szczątki ludzkie oraz elementy wyposażenia wojskowego. Natychmiast pojechaliśmy na ul. Rudnowską i od zastanych tam osób otrzymaliśmy potwierdzenie wcześniejszych doniesień, jednak nie mogliśmy wejść na teren budowy. Wieczorem ponownie udaliśmy się w to samo miejsce, gdzie na powierzchni ziemi, bez większego trudu, udało nam się odnaleźć fragmenty kostne, buty żołnierskie, pokrywę menażki oraz pojedyncze sztuki amunicji karabinowej. Następnego dnia poinformowałem o zaistniałej sytuacji dyrektora głogowskiego muzeum, p. Leszka Lenarczyka, który natychmiast skontaktował się z policją oraz wojewódzkim konserwatorem zabytków. W tym samym czasie zawiadomiłem ekipę lokalnej telewizji oraz dziennikarzy pozostałych mediów.

Prace w zasypanym już wykopie zostały wznowione i od razu przyniosły kolejne rezultaty. Wkrótce wydobyto dużą ilość obuwia oraz ekwipunku wojskowego, przedmioty osobiste, ale przede wszystkim kości ludzkie, których przybywało z każdą chwilą. W związku z tym podjąłem decyzję o powiadomieniu p. Tomasza Czabańskiego z Poznania, prezesa tamtejszej Pracowni Badań Historycznych i Archeologicznych „Pomost", która zajmuje się ekshumacjami żołnierzy na terenie zachodniej Polski. Od tego momentu temat nabrał znacznie szerszego wymiaru, gdyż wiadomości o odkryciu otrzymała także Fundacja „Pamięć" z Warszawy, niemiecki „Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge" z Kassel oraz „Glogauer Heimatbund" z Hannoweru, który skupia byłych mieszkańców Głogowa i ich rodziny. Wezwano również patrol saperski 4. Batalionu Inżynieryjnego, ponieważ w miejscu poszukiwań zaczęła się pojawiać amunicja oraz granaty ręczne. Przybył także głogowski prokurator rejonowy, p. Zbigniew Sokalski, który zajął się wyjaśnianiem okoliczności odnalezienia grobu. Teren robót budowlanych został ogrodzony, wszystkich pracowników, dziennikarzy oraz osoby postronne poproszono o oddalenie się na wymaganą odległość. Prace wznowiono dopiero po in-

terwencji saperów, którzy wywieźli niebezpieczne znaleziska. Od tej pory były prowadzone przy udziale, ale także pod nadzorem, policji oraz wojskowych.

Jeszcze tego samego dnia Stowarzyszenie „Pomost" podjęło kroki mające na celu wstrzymanie wszelkich prac budowlanych w miejscu odkrycia mogiły oraz przeprowadzenie natychmiastowej ekshumacji. Starania te bardzo mocno skomplikowała zaskakująca decyzja obecnego na miejscu prokuratora rejonowego, który po opróżnieniu wykopu z widocznych w nim szczątków, postanowił zakończyć wszelkie poszukiwania, nie widząc konieczności ich kontynuacji. Mogiła, mimo naszych protestów, została zasypana, wszystkie znaleziska zapakowano w plastikowe worki i przewieziono do kostnicy szpitalnej, gdzie miały zaczekać na dalsze przekazanie.

11 marca, dzięki uprzejmości p. Jarosza, z firmy pogrzebowej „Arka", do prosektorium została wpuszczona ekipa lokalnej telewizji „Master", która realizowała materiał poświęcony odkryciu z ul. Rudnowskiej. Zostałem wówczas poproszony o udział w reportażu, w związku z czym miałem też możliwość przyjrzenia się z bliska wszystkiemu, co zostało znalezione we wspomnianej mogile oraz wykonania zdjęć. Widok był porażający. Na podłodze leżał stos skórzanych butów wojskowych, także oficerskich, we wnętrzu wszystkich znajdowały się jeszcze fragmenty kości. Dwa stoły operacyjne pełne były różnych części szkieletów ludzkich, gęsto ułożonych koło siebie. Obok zgromadzono kilka czaszek, hełmy wojskowe, bagnet, elementy ekwipunku wojskowego (ładownice, pasy, część panzerfausta i lornetki, odkażacze do wody, pojedyncze sztuki amunicji karabinowej) oraz inne przedmioty (sztuczna szczęka, nóż kuchenny, kłódki, szklane buteleczki, itd.). Całość sprawiała tak niesamowite wrażenie, że przez pewien czas rozmawialiśmy szeptem…

Stos niemieckich butów wojskowych, także oficerskich, na podłodze prosektorium szpitalnego w Głogowie, 11 III 2014 r. Fot. P. Lewicki.

Sala głogowskiego prosektorium, wykopane kości ludzkie na jednym ze stołów operacyjnych, w lewym górnym rogu widać inne wydobyte przedmioty, 11 III 2014 r. Fot. P. Lewicki.

Do kogo należały szczątki, którym się przyglądaliśmy? Bez wątpienia byli to żołnierze Wehrmachtu, którzy zginęli podczas oblężenia Festung Glogau w 1945 roku.

Praktycznie tuż obok miejsca ich pochówku znajdowały się ogromne koszary wojskowe Lüttich-Kaserne, które, jako jeden z newralgicznych punktów obrony na tym terenie, były przez długi czas zaciekle atakowane z ziemi i z powietrza. Rosjanie zajęli je dopiero 15 marca, zaledwie 2 tygodnie później skapitulowała cała twierdza. Pozycje w tej okolicy zajmowała Kampfgruppe „Biehl" (od nazwiska dowódcy, którym był hauptmann Eberhard Biehl). Jej trzon stanowiła „Kraftfahrzeug Ersatz und Ausbildungs Abteilung 8" (8. kompania zapasowo-szkolnego oddziału transportu ciężkiego) oraz m.in. kompania „Groth", utworzona już podczas walk z żołnierzy różnych jednostek. Należy niemal z pewnością przyjąć, że niektórzy z nich spoczęli właśnie w częściowo przeszukanej mogile na ul. Rudnowskiej.

Już pobieżna analiza zebranych szczątków wykazała dwie zastanawiające kwestie.

Pierwszą był brak jakichkolwiek nieśmiertelników, które umożliwiłyby identyfikację poległych, drugą zaś fakt, że odnalezione szkielety były w zdecydowanej większości tak samo niekompletne. Z wykopu wydobyto bowiem, poza nielicznymi przypadkami, jedynie kości kończyn dolnych. Pozostałych brakowało i to w bardzo widoczny sposób. Zwracały także uwagę ogromne dysproporcje pomiędzy ilościami szczątków, a różnymi przedmiotami. Do kilkudziesięciu sztuk obuwia było zaledwie kilka hełmów i jeden bagnet, do sterty kości nóg jedynie parę czaszek. Wytłumaczenie takiego stanu rzeczy było bardzo proste i nie wymagało długiego namysłu. Należało przyjąć, że podczas prac budowlanych łyżka koparki natrafiła jedynie na fragment zbiorowej mogiły, przecinając ją lub odkrywając którąś z krawędzi. Reszta, może nawet większość, nadal spoczywała w ziemi. Poglądu tego nie podzielali jednak urzędnicy; postanowienie prokuratora o wstrzymaniu dalszych poszukiwań zostało wydane i praktycznie na tym sprawa się zamknęła. Przekazałem swoje ustalenia oraz zdobyte informacje Tomaszowi Czabańskiemu, który w międzyczasie na wszelkie sposoby próbował doprowadzić do rozpoczęcia ekshumacji. Jednak brak właściwego zainteresowania ze strony różnych ośrodków decyzyjnych sprawił, że temat utkwił gdzieś w gąszczu procedur, zezwoleń i innych biurokracyjnych pomysłów.

18 marca 2014 r. spotkaliśmy się jeszcze w Głogowie z ekipą „Pomostu", by pogadać o całej sprawie i zastanowić się, co robić dalej. Na miejscu niedawnych prac przy ul. Rudnowskiej, mimo zasypanych wykopów, bez problemu znaleźliśmy drobne fragmenty kości ludzkich oraz guziki od mundurów żołnierskich. Udało nam się również porozmawiać z p. Sokołem, do którego posesji przylega teren, na którym natrafiono na zbiorową mogiłę niemiecką. 25 marca 2014 r. członkowie „Po-

mostu" zabrali wydobyte dotąd szczątki z prosektorium głogowskiego szpitala. W trakcie ich dokładnego przeszukiwania, już w Poznaniu, natrafiono na jeden nieśmiertelnik, który zachował się w bardzo dobrym stanie. Zapisane na nim dane: „6861, STAMM. KP. KF. E.U.A. ABT. 8.", co w pełnej wersji daje: „Stamm-Kompanie Kraftfahrzeug Ersatz und Ausbildungs Abteilung 8" (kompania kadrowa 8. kompanii zapasowo–szkolnego oddziału transportu ciężkiego) potwierdziły moje przypuszczenia, iż właśnie ta jednostka walczyła w rejonie ul. Rudnowskiej w 1945 r. To był bodziec do dalszego działania. Miasto huczało od plotek, także w internecie można było natrafić na informacje, że jakaś część znalezisk uległa rozproszeniu jeszcze przed przybyciem policji i wojska. Miało się to odnosić głównie do nieśmiertelników, ale pojawiały się doniesienia dotyczące również hełmów, bagnetów oraz innych drobnych przedmiotów. Mimo usilnych starań i rozmów z wieloma osobami, nie udało mi się jednak w żaden sposób ich potwierdzić. Mijały kolejne dni i wydawało się, że sprawa opisywanej mogiły powoli odchodzi w zapomnienie. Dopiero pod koniec marca 2015 r. dostałem tak długo oczekiwaną wiadomość. „Pomost", po zebraniu wszelkich potrzebnych dokumentów i zezwoleń, otrzymał wreszcie zgodę na przeprowadzenie prac ekshumacyjnych w Głogowie. Ich termin wyznaczono na początek kwietnia. Rozdzwoniły się telefony, odżyły ubiegłoroczne plany i emocje…

Początek prac ekshumacyjnych przy ul. Rudnowskiej w Głogowie, moment odnalezienia pierwszego nieśmiertelnika, 9 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

9 kwietnia 2015 r., dokładnie o 10:00 rano, spotkaliśmy się na ul. Rudnowskiej, po przeszło 13 miesiącach, które minęły od rozpoczęcia całej sprawy. Po krótkiej wizji lokalnej i uprzątnięciu terenu rozpoczęły się poszukiwania.

Obcas buta wojskowego tkwiący w ziemi, obok niego niemiecka „Odznaka za Rany", fragment grzebienia i drobne monety, 9 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

Znaleziska z dna wykopu: czeski pistolet „Duo", guziki wojskowe, zatyczka do karabinu Mauser, klucz oraz scyzoryk, 9 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

Mogiła znajdowała się na głębokości ok. 2 m, więc najpierw trzeba się było przekopać przez jej górną część, poruszoną jeszcze w ubiegłym roku. Sprowadzona z Poznania koparka powoli, ale sprawnie powiększała wykop. Już na samym początku, w hałdzie wysypywanej obok ziemi, pojawił się but wojskowy, jakieś metalowe elementy, kość udowa oraz pierwszy nieśmiertelnik ukryty w skórzanym etui. Były to przedmioty „przeoczone" w trakcie prac w 2014 r., co tylko potwierdzało, z jakim pośpiechem zostały wówczas przeprowadzone. Około południa dokopaliśmy się do rur kanalizacyjnych, co świadczyło, że osiągnięta została właściwa głębokość. Na dnie, w części bliżej ulicy, zrobiło się nagle czarno od obuwia, skórzanych pasów i zbutwiałych resztek mundurów. Pośród wszystkiego tkwiły różne przedmioty oraz duże ilości amunicji karabinowej. Najwięcej było jednak kości, bez wątpienia ludzkich. Znaleźliśmy dalszą część zbiorowego grobu żołnierzy niemieckich…

Jeden z odnalezionych nieśmiertelników niemieckich, najlepiej zachowany. Na górze nr 1435, niżej nazwa jednostki „Stamm-Kompanie Panzer-Grenadier-Ersatz-Bataillon 5", 9 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

Koparka została zatrzymana, rozpoczęły się żmudne prace ręczne, którymi kierował archeolog, Maksymilian Frąckowiak. W ruch poszły łopatki, szpachelki i pędzle. Spod warstwy ziemi wyłaniały się kolejne fragmenty szkieletów, ekwipunku wojskowego oraz rzeczy osobiste. Akcję relacjonowałem praktycznie na „żywo" na swoim profilu „Festung Glogau" na facebooku, gdzie pojawiały się kolejne „breaking news" z bieżą-

cymi wydarzeniami. Wywołało to ogromne zainteresowanie wśród czytelników z Głogowa i okolic, ale także w całym kraju, a nawet za granicą. Na miejscu pojawiła się również zaprzyjaźniona ekipa lokalnej telewizji, niedługo potem dziennikarze prasowi i radiowi. Na wszystkie pytania odpowiadał Adam Białas ze Stowarzyszenia „Pomost", kierownik prowadzonych robót.

Odkrycie dobrze zachowanego pistoletu ręcznego, granatów nasadkowych, a także licznej amunicji różnego rodzaju, spowodowało wstrzymanie prac oraz wezwanie policji i patrolu rozminowania. Przybyli funkcjonariusze przeprowadzili stosowne czynności służbowe, działania żołnierzy wymagały nawet zablokowania na jakiś czas fragmentu ul. Rudnowskiej, co tylko świadczyło o powadze sytuacji, a następnie przetransportowania niebezpiecznych przedmiotów. Na koniec interwencji doszło do ciekawej dyskusji na temat dalszych losów odnalezionych artefaktów, zwłaszcza broni. Dowódca saperów, st. sierżant Jacek Hajduk, zaproponował, że jeżeli w ciągu 24 h otrzyma stosowne pismo z głogowskiego muzeum, jest w stanie przekazać ją do konserwacji, w przeciwnym wypadku pistolet zostanie zniszczony, zgodnie z procedurami. Zobowiązałem się, że osobiście dopilnuję tej sprawy. Po odjeździe służb mundurowych zaczęło się delikatne wyciąganie wszystkich pozostałości z dna wykopu. Na powierzchni dokonywana była wstępna segregacja. Osobno gromadzono elementy szkieletów, osobno wyposażenie wojskowe i rzeczy osobiste. To, co bardziej wartościowe, było ostrożnie pakowane do pojedynczych woreczków foliowych, tak, aby nie uległo dalszym uszkodzeniom. Zgromadzona obok ziemia została jeszcze dokładnie przeszukana za pomocą wykrywacza metalu.

Już wstępne wyniki poszukiwań były imponujące i pokazywały skalę wykonanej ekshumacji. Znaleziono przede wszystkim kości ludzkie, które zajęły blisko 20 dużych worków (w większości kończyny dolne, tylko 1 czaszka). Oprócz tego: 12 nieśmiertelników (2 przełamane, reszta cała), kilkanaście skórzanych butów żołnierskich (1 wysoki, nietypowy), czeski pistolet marki „Duo", 1 hełm, 4 bagnety, 6 klamer do pasów z napisem „Gott mit Uns", 2 „Odznaki za Rany", scyzoryki, niezbędniki, latarki, lekarstwa, szklane ampułki z tabletkami, skórzane pasy, guziki, odkażacze do wody, zatyczki na lufę do karabinów Mauser. Przedmiotów osobistych było jeszcze więcej i złożyły się na nie: złote obrączki (5 sztuk, w tym 4 z wygrawerowanymi inicjałami i datami), zegarki kieszonkowe, zegarki na rękę, grzebienie, lusterka, maszynki i pędzle do golenia, klucze, fajki, lufki do papierosów, zapałki, prezerwatywy, buteleczki po kosmetykach, portfele, ołówki, wieczne pióra, łyżki, widelce, noże, dużo drobnych monet, sztuczne szczęki, szczoteczki do zębów, dokumenty, etui wraz z okularami, maselniczka oraz kalendarzyk z 1945 r. Wspomnieć należy także kilkaset sztuk amunicji karabinowej i pojedyncze sztuki naboi pistoletowych.

Około godziny 19:00 wykop został zasypany i zabezpieczony, a my rozjechaliśmy się do domów.

Następnego dnia prace zostały wznowione, nie przyniosły jednak znaczących rezultatów. Małą „sensacją" było znalezienie bardzo ładnie zachowanego niemieckiego pistoletu „Walther", wraz ze skórzaną kaburą i dodatkowym magazynkiem. Z ostatniego narożnika jamy ziemnej wydobyto jeszcze resztki oporządzenia, guziki oraz ładownice wypełnione amunicją. Tak jak dnia poprzedniego, zawiadomiliśmy policję i patrol rozminowania, który wszystko zabezpieczył. Rozkopany teren został doprowadzony do stanu pierwotnego i to był praktycznie koniec ekshumacji. Obiecane rozmowy z głogowskim muzeum miały bardzo pomyślny przebieg. W sprawę obu pistoletów osobiście zaangażował się dyrektor, Leszek Lenarczyk, w związku z czym już w południe nawiązano kontakt z saperami oraz wystosowano odpowiednie dokumenty. Pozostałe „wykopaliska" pojechały do Poznania.

13 kwietnia przejęta wcześniej przez wojsko broń: czeski pistolet „Duo" i niemiecki „Walther", została przekazana do muzeum, co traktuję jako swój osobisty sukces. Doszło przy okazji do zawarcia nieformalnego porozumienia, dowódca patrolu saperskiego zobowiązał się, że w przypadku tego typu odkryć będzie przekazywał informacje o nich, co daje szanse na dal-

Akcesoria do higieny osobistej wydobyte w komplecie podczas poszukiwań: maszynka i pędzel do golenia, dodatkowy uchwyt maszynki, szczoteczka do zębów, szklana buteleczka oraz resztki opakowania z widocznymi reklamami, 9 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

Niemiecki pistolet marki „Walther", odkryty razem ze skórzaną kaburą i zapasowym magazynkiem, 10 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

Drugi dzień prac ekshumacyjnych, pojemnik na szczątki wypełniony amunicją karabinową, na pierwszym planie pistolet „Walther" oraz skórzane ładownice, 10 IV 2015 r. Fot. P. Lewicki.

Złote obrączki i nieśmiertelniki niemieckie po wstępnym oczyszczeniu. Obiekty w lewym górnym rogu znaleziono razem w skórzanym etui, 11 IV 2015 r. Fot. M. Frąckowiak.

sze wzbogacenie zbiorów. Prawie natychmiast rozpocząłem także starania o powrót do Głogowa innych znalezisk. Dyrektor muzeum, po otrzymaniu wykonanej przeze mnie dokumentacji fotograficznej, wyraził chęć współpracy w tym temacie, także prezes „Pomostu", Tomasz Czabański, zaoferował swoją daleko idącą pomoc. Teraz to już kwestia czasu i wymaganej korespondencji. Sprawa nie dotyczy oczywiście nieśmiertelników ani złotych obrączek, te zostaną wysłane do Niemiec w celu dalszej identyfikacji, co być może zakończy się dotarciem do rodzin poległych. Czy to jest w ogóle konieczne? Czy po upływie dokładnie 70 lat ktoś jeszcze kogoś szuka i czeka na jakiekolwiek wieści o jego losie? Odpowiedź jest nad wyraz twierdząca, posłużę się nawet dobrym przykładem. Od pewnego czasu jestem w kontakcie z p. Norbertem Schmidtem z Monachium, którego ojciec zginął być może właśnie w Głogowie. Ostatnią pamiątką po nim jest czarnobiała fotografia oraz list z 10 lutego 1945 r., czyli na 2 dni przed okrążeniem twierdzy przez Rosjan. Pan Schmidt na bieżąco śledzi doniesienia z Głogowa związane przede wszystkim z ekshumacjami, także tą na ul. Rudnowskiej. Na razie nie mamy jednak dla niego żadnych wiadomości…

Pożegnalna fotografia wszystkich uczestników prac przy ul. Rudnowskiej w Głogowie, od lewej: Maksymilian Frąckowiak, Przemysław Lewicki, Adam Białas, Maciej Erdmann i Krystian Czajkowski, 10 IV 2015 r.

Już w trakcie pisania tego artykułu, Maksymilian Frąckowiak, archeolog biorący udział w naszych pracach, przekazał więcej oficjalnych danych z wstępnych oględzin wykopanych przedmiotów. Zgodnie z jego relacją znaleziono fragmenty szkieletów łącznie 48 żołnierzy niemieckich. Trwa w tej chwili odczytywanie nieśmiertelników oraz identyfikacja innych rzeczy. Pewną ciekawostką jest to, że w jednym z portfeli znajdowało się polskie przedwojenne 50 gr oraz dwie monety słowackie. Niestety, na pełne sprawozdanie trzeba będzie jeszcze jakiś czas poczekać. Wiadomo już jednak, że szczątki ludzkie zostaną pochowane w listopadzie tego roku na cmentarzu wojennym w Nadolicach koło Wrocławia.

Ekshumacja na ul. Rudnowskiej w Głogowie dobiegła końca, przynajmniej na razie. Jedną z jej konsekwencji jest pojawienie się kilku ciekawych kontaktów i śladów, które być może doprowadzą nas do kolejnych grobów. Za największe osiągnięcie traktuję jednak fakt, że mimo tylu trudności i niezrozumiałych decyzji, udało się doprowadzić do jej szczęśliwego finału. Takiego przedsięwzięcia nie było tutaj przez prawie 20 lat, nigdy wcześniej nie odbyło się przy udziale tak wielu osób, których pomoc będzie jeszcze procentować przez długi czas.

Chciałbym w tym miejscu podziękować p. Tomaszowi Czabańskiemu oraz wszystkim jego współpracownikom ze Stowarzyszenia „Pomost", p. Leszkowi Lenarczykowi, dyrektorowi Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Głogowie, p. Jackowi Hajdukowi, dowódcy patrolu rozminowania, funkcjonariuszom głogowskiej policji, Dariuszowi Paterkowi z telewizji „Master" oraz redaktor Marcie Dytwińskiej-Gawrońskiej (dziś rzecznik prezydenta Głogowa), dziennikarzom lokalnych gazet, p. Władysławowi i Karolinie Sokół, mieszkańcom ul. Rudnowskiej i najbardziej Markowi Dykowi, od którego zaczęła się ta cała niesamowita historia…

Przemysław Lewicki

Historyk-amator, regionalista, badacz dziejów miasta, autor i wydawca książki „Festung Glogau 1944-1945", autor licznych artykułów prasowych, członek zarządu Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum i Historii Miasta Głogowa, prowadzi bardzo popularny profil „facebook.com/festungglogau" poświęcony głogowskim zagadkom i tajemnicom… Kontakt z autorem: festungglogau@wp.pl

PRACOWNIA BADAŃ HISTORYCZNYCH I ARCHEOLOGICZNYCH POMOST

Pracownia Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost przeprowadza ekshumacje szczątków niemieckich ofiar II wojny światowej na terenie zachodniej Polski. Prace odbywają się na zlecenie polsko-niemieckiej Fundacji Pamięć oraz Niemieckiego Ludowego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi. Działalność tych instytucji na terenie kraju podlega Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wszystkie osoby, które posiadają informacje na temat lokalizacji niemieckich grobów wojennych, proszone są o kontakt z Pracownią.

Tomasz Czabański (prezes) tel.: 601 469 494,
e-mail: pomost@plusnet.pl
www.pomost.net.pl

Część butli umieszczono w wykopie w nieładzie. Butle zabezpieczone ochronnymi kołpakami. Fort Chrzanów, Warszawa.

Z lewej krótka butla najprawdopodobniej rosyjskiego wzoru. Fort Chrzanów, Warszawa. Stan zachowania wielu butli jest zły.

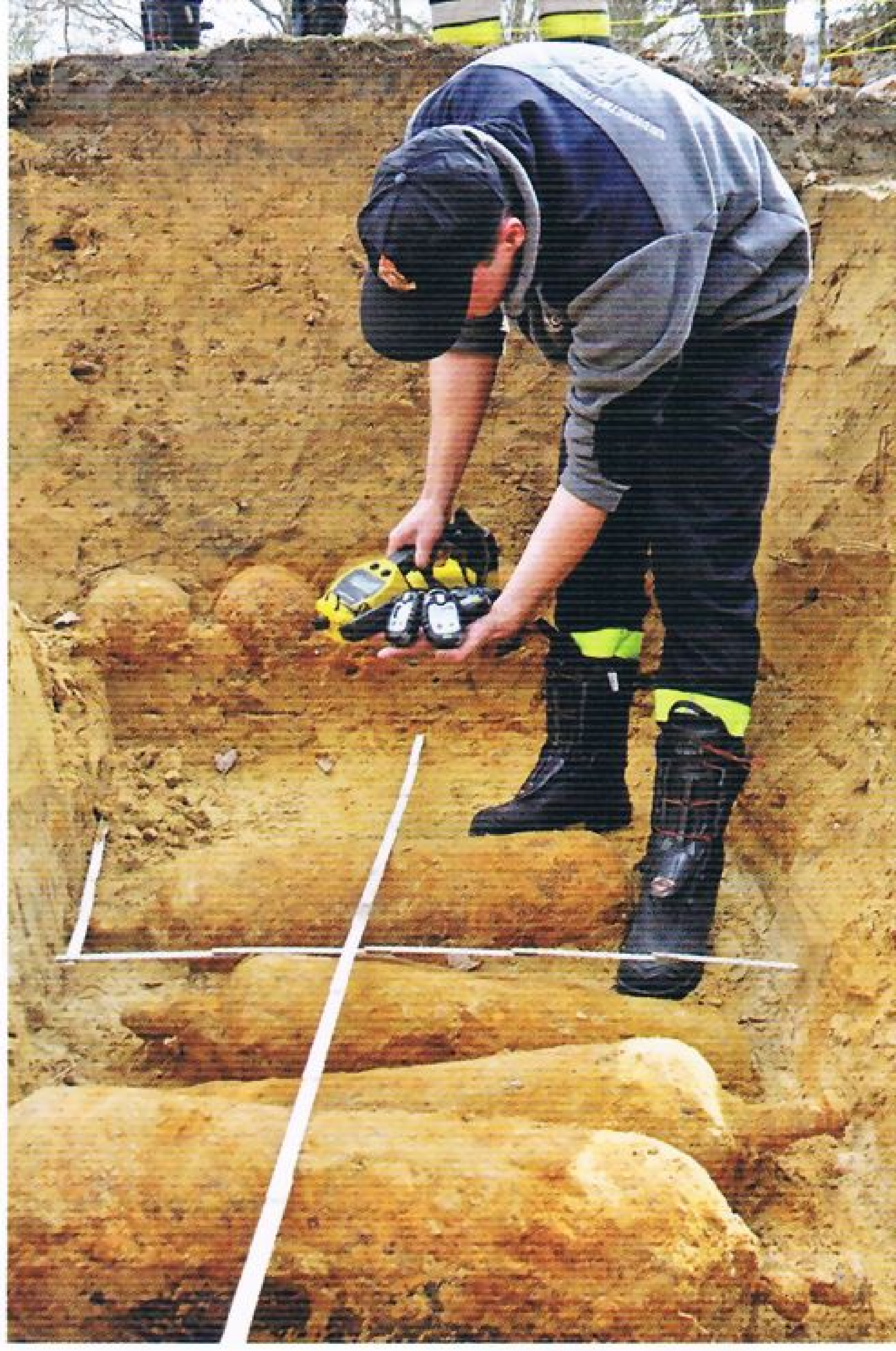

Badanie na możliwość obecności substancji trujących w powietrzu. Fort Chrzanów, Warszawa.

Odkrycie butli gazowych z I wojny światowej

Dużo butli, duży kłopot?

STANISŁAW KALIŃSKI

Większość osób, które interesują się I wojną światową, wie, iż gazów bojowych użyto po raz pierwszy pod Ypres 24 kwietnia 1915 roku. Gazy te, a konkretnie chlor, był przechowywany i transportowany, a następnie wypuszczany w kierunku niczego nie spodziewających się Kanadyjczyków i Francuzów, ze stalowych butli. Jeśli będziemy chcieli taką butlę obejrzeć osobiście, mamy do wyboru: pojechać do rodzimego Osowca, do bardziej odległego Muzeum Bitwy pod Ypres lub do Rygi do Muzeum Wojny. Mówimy tu o zaledwie kilku egzemplarzach lepiej lub gorzej zachowanych butli. Tak proszę Państwa. Do dzisiaj z tysięcy wykorzystywanych na frontach butli przetrwało w oficjalnych, muzealnych zbiorach zaledwie 5 sztuk, o których wiemy.

Gdy więc pod koniec marca br. pojawiła się informacja o przypadkowym znalezisku dużej liczby butli po gazach bojowych na warszawskim Forcie Chrzanów, poczułem, że na chwilę stanęło mi serce.

Szczęśliwie w lipcu 2014 r. rozpoczął się projekt naukowy pt. „Archeologiczne Przywracanie Pamięci o Wielkiej Wojnie. Materialne pozostałości życia i śmierci w okopach na froncie wschodnim oraz stan przemian krajobrazu pobitewnego w rejonie Rawki i Bzury (1914-2014)". Jeden z celów projektu został zdefiniowany jako: „przywrócenie pamięci o froncie wschodnim pierwszej wojny światowej; wzbogacenie wiedzy o życiu i śmierci żołnierzy w okopach; zaktualizowanie wyobrażeń o specyfice, znaczeniach i następstwach działań zbrojnych, jakie miały miejsce w rejonie Rawki i Bzury przed stu laty". Pomysłodawczynią i kierownikiem projektu jest dr Anna Zalewska z Instytutu Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk. Dzięki środkom z Narodowego Centrum Nauki do badań są wykorzystywane zarówno najnowsze metody nieinwazyjne (Lidar, badania geofizyczne), jak i tradycyjne – inwazyjne. Szczegóły na temat projektu i powołanego do jego realizacji Zespołu Badawczego można poznać na stronie www.archeomemory.pl

Projekt ten jest o tyle unikalny, iż do tej pory archeologia polska nie postrzegała pierwszowojennych pobojowisk jako potencjalnych stanowisk archeologicznych. Tym razem sytuacja jednak uległa zmianie. W ramach projektu „Archeologiczne Przywracanie Pamięci o Wielkiej Wojnie" (APP) badane jest m.in. pole bitwy (a dokładnie jeden z odcinków frontu) nad Rawką i Bzurą. Badania są prowadzone kompleksowo i na wielu płaszczyznach odnoszących się do życia i śmierci żołnierzy obu walczących stron. Bardzo ważny jest tu też wątek użycia gazów bojowych w 1915 roku, bo akurat na badanym odcinku frontu po raz pierwszy na froncie wschodnim Niemcy użyli najpierw gazów bojowych (31 stycznia 1915), a potem, w maju tego samego roku, bojowych środków trujących.

Gdy więc lotem błyskawicy w środowisku archeologów, a następnie w mediach, rozeszła się informacja o nadzwyczajnym i nietypowym znalezisku w Warszawie, wielu z nas zmroziło – butle są! Ale w Warszawie!? Skąd? W jaki sposób? Kto? Dlaczego? Pytaniom nie ma końca.

Do odkrycia doszło w sposób przypadkowy. Osoba spacerująca po forcie zauważyła ślady prowadzenia nielegalnych

Niemiecka butla z chlorem, rejon wsi Ludwików nad Bzurą – czerwiec 1915.

Niemiecka bateria butli z chlorem gotowa do działania. Sektor Suchej n. Bzurą – czerwiec 1915.

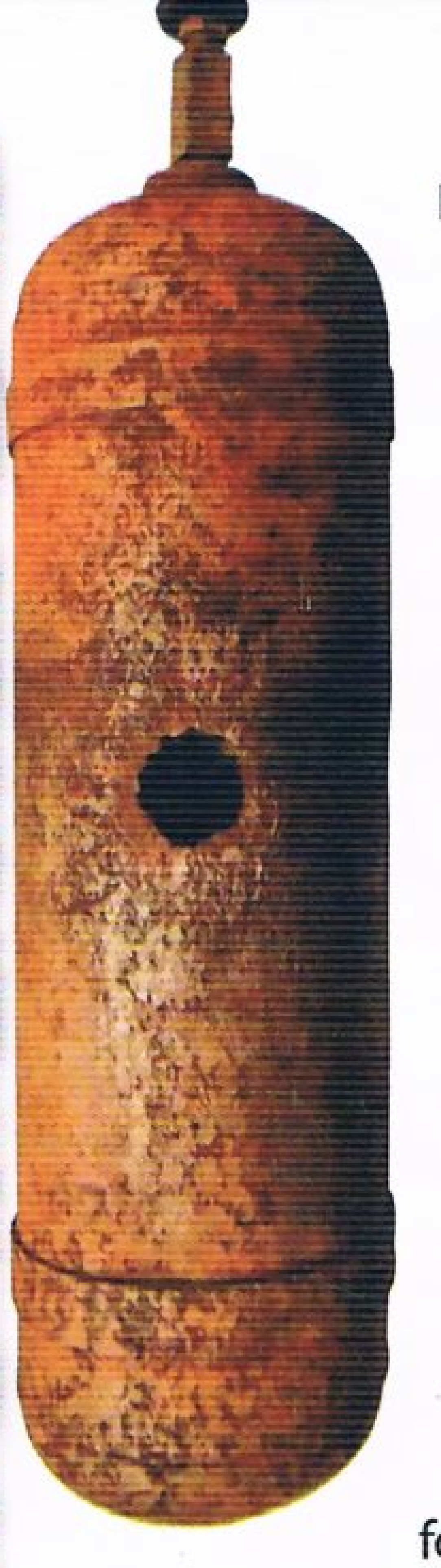

Butla rosyjska w zbiorach łotewskiego Muzeum Wojny. Zdjęcie z wystawy w siedzibie OPCW w Hadze – Stanisław Kaliński.

poszukiwań. Wokół głębokiego wykopu zalegały porozrzucane, pogruchotane skorupy kilku pojemników po gazach. Spacerowiczka powiadomiła Stowarzyszenie Naukowe Archeologów Polskich, które przekazało informację do Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy". Na prośbę SNAP wstępnej identyfikacji znaleziska dokonał p. Jarosław Jakubowski z MSHE. Następnie prezes Stowarzyszenia, p. Robert Wit Wyrostkiewicz, przekazał informację dr Annie Zalewskiej z prośbą o interwencję. Archeolodzy z Zespołu Badawczego APP podjęli decyzję o konieczności zabezpieczenia odnalezionych obiektów i wykonaniu koniecznej przy takich odkryciach dokumentacji szczegółowej. Czas naglił, bowiem już po wstępnym rozpoznaniu sytuacji, stwierdzono m.in., że część butli (kilka lub kilkanaście) została już rozkradziona z fortu, a kolejne były przygotowane do wywiezienia.

Zgłoszenie na policję wkopu rabunkowego przez dr Zalewską, niemal natychmiast po uzyskaniu informacji o lokalizacji znaleziska z MSHE i SNAP, nie przyniosło rezultatu w postaci zabezpieczenia tego miejsca przed powrotem złodziei. Decyzję Zespołu Badawczego APP o pilnej potrzebie podjęcia interwencyjnych prac archeologicznych i zabezpieczających poparło SNAP, które powiadomiło Stołecznego Konserwatora Zabytków (SKZ) i właściciela terenu. Już następnego dnia po otrzymaniu informacji z MSHE, za wiedzą i zgodą oraz w obecności reprezentantów SKZ i właściciela terenu, część zespołu badawczego APP przystąpiła do dokumentacji i badania znaleziska metodami archeologicznymi. Po szczegółowym rozpoznaniu sytuacji, gdy okazało się, że w ziemi leżą nie tylko przerdzewiałe destrukty butli ale też butla potencjalnie szczelna, archeolodzy wezwali straż pożarną i wojsko.

O pracach archeologów można było już po dwóch dniach przeczytać niemal na wszystkich portalach informacyjnych, forach internetowych, a w telewizji obejrzeć efektowne ujęcia z drona, unoszącego się nad miejscem badań. Z dyskusji, która samoistnie powstała i z tytułów kolejnych newsów przebijały nagłówki: „przełomowe odkrycie", „skarb sprzed 100 lat", „unikatowe znalezisko", „Święty Graal Wielkiej Wojny". Jak zwykle w przypadku wyjątkowego znaleziska nie brakuje rozbieżności i odmiennych opinii, dla jednych jest to epokowe odkrycie, dla innych potencjalnie groźny złom do utylizacji. Warto jednak nieco obniżyć temperaturę emocji, które zrodziło niewątpliwie ważne dla historii broni chemicznej znalezisko. To cenne odkrycie, niezwykle istotne z naukowego punktu widzenia, stanowi jednocześnie problem w świetle choćby wojskowych procedur i przepisów związanych z bezpieczeństwem publicznym.

Nie ma wątpliwości, iż znalezisko jest wyjątkowe w skali europejskiej. Nigdzie do tej pory nie odnaleziono tak dużej liczby butli po gazach bojowych, ale z ostateczną odpowiedzią, czy rzeczywiście przechowywane w nich były gazy bojowe, trzeba będzie poczekać na wynik analiz wojskowych chemików.

Na pierwszy rzut oka duża część znalezionych butli przypomina ro-

zdarzyło się…

7 V 1945 r.

70 lat temu 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka zdobyła niemiecki port i bazę morską Kriegsmarine w Wilhelmshaven, kończąc swój szlak bojowy, który rozpoczęła po przerzuceniu pod koniec VII 1944 r. do Normandii. Wzięła tam udział w bitwie pod Falaise. Uczestniczyła też w walkach na terenie Belgii, Holandii oraz na północy Niemiec. W wyniku kapitulacji broniącego się miasta-garnizonu, Polacy zdobyli stacjonującą w bazie flotyllę, m.in. krążownik „Köln" oraz 18 okrętów podwodnych. Po zakończeniu działań wojennych jednostka przez kolejne 2 lata wypełniała zadania w brytyjskiej strefie okupacyjnej, do momentu jej rozformowania i demobilizacji w 1947 roku.

Rosyjskie przygotowania do ataku gazowego 1916 rok. Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Wictora.

syjskie pojemniki na chlor. Niektóre mogły być używane jeszcze w 1915, inne dopiero w 1916 r. W wykopie znalazły się nieduże butle znane niestety jedynie z archiwalnych fotografii – przenoszone na plecach żołnierzy i służące do „mobilnej" emisji gazów w wybranym miejscu. Była to technika eksperymentalna, więc znalezisko jest tym bardziej zastanawiające. Większe butle są podobne do cylindra znajdującego się w zbiorach łotewskiego Muzeum Wojny. Chodzi tu o większe butle – podobne do „bolimowskich", mające około metra wysokości. Za rosyjskim pochodzeniem butli przemawia konstrukcja zaworu oraz wygląd samych butli. Pewność, co do typu butli, pojawi się dopiero po odczyszczeniu i konserwacji zaworów. Rosyjskie butle były znakowane właśnie na zaworach. Chcąc mieć pewność, trzeba cechy poszczególnych butli porównać z ikonografią i zachowanymi instrukcjami wojskowymi. Aby to jednak było możliwe, butle muszą przejść prace konserwatorskie. Tutaj jednak pojawia się trudność. Na butlach ponakręcane są kołpaki osłaniające zawory. Ich zdjęcie będzie możliwe jedynie po zapewnieniu bezpieczeństwa wykonawcom takiej operacji. Butle same w sobie nie są w najlepszym stanie; niektóre pojemniki stały się bardzo kruche.

Apel dr Anny Zalewskiej

Prosimy w powyższym kontekście o:

– rezygnację z samodzielnej eksploracji, wydobywania destruktów obiektów militarnych;

– o nieepatowanie cenami rynkowymi destruktów z I wojny światowej na forum publicznym;

– o niezbliżanie się do miejsca zalegania destruktów butli po gazach bojowych.

Butle zarejestrowane przez archeologów są teraz przedmiotem analiz w Centralnym Ośrodku Analizy Skażeń. Teren prac jest zabezpieczony przez służby i nie jest możliwe jego zwiedzanie. Można mieć nadzieję, że dzięki interwencji i argumentom archeologów butle nie zostaną zutylizowane jako niebezpieczne.

Co dalej? Ponieważ mamy do czynienia z materią z wielu powodów delikatną i unikalną historycznie, ale zarazem trudną technicznie, musimy się uzbroić w cierpliwość. Czas i decyzje urzędów oraz służb publicznych pokażą, czy jako społeczeństwo dorośliśmy do dokonywania odkryć niełatwych i nietypowych, a jednocześnie niesłychanie ważnych z punktu widzenia historycznego. Chciałbym móc kiedyś pójść np. do Muzeum Wojska Polskiego lub do innych placówek muzealnych na wystawę poświęconą Wielkiej Wojnie i obejrzeć kilkanaście unikalnych butli. Chciałbym również wiedzieć, iż znalezione w Polsce butle podróżują po Europie w ramach muzealnej wymiany. Czy tak się stanie, pokaże kilka najbliższych tygodni, podczas których zapadną ważne dla dalszego losu butli decyzje m.in. ta, czy archeolodzy będą mogli zadokumentować szczegóły dotyczące układu pozostałych butli, czy wiadomości te zostaną zaprzepaszczone na zawsze decyzją Wojewody i Konserwatora.

Jeśli decyzje te będą pomyślne, pozostaną pytania związane z samymi butlami.

W jaki sposób znalazły się w Polsce? Czy to jeszcze wojska niemieckiego Ober-Ostu w trakcie I wojny zgromadziły je tutaj? A może oddział Szkoły Gazowej zdeponował pojemniki w okresie międzywojennym w celu utylizacji kłopotliwego środka walki. Miałoby to sens, z uwagi na złożenie depozytu na terenie wojskowym. Jakie jest pochodzenie butli? Które są rosyjskie, a które niemieckie? Skąd wzięły się tutaj butle różnych typów łącznie ze znanymi jedynie z fotografii krótkimi butlami rosyjskiego wzoru? Ile butli jeszcze pozostaje w wykopie? W końcu, gdzie znajdą swoje miejsce po szczęśliwej konserwacji…

Miejmy nadzieję, że na te pytania niebawem będzie można odpowiedzieć. Będzie to możliwe jedynie przy dobrej woli, zrozumieniu i docenieniu wyjątkowości znaleziska przez władze i służby konserwatorskie. W moim odczuciu, niezależnie od sytuacji, w jakiej butle ujrzały światło dzienne, dobrze się stało, iż temat „wypłynął" i stał się publiczny dosłownie na dwa miesiące przed obchodami 100-lecia użycia gazów bojowych na ziemiach polskich (31 maja 2015). Można powiedzieć, iż lepszego wyczucia czasu butle mieć nie mogły.

ZDJĘCIA: ARCH. ZESPOŁU BADAWCZEGO APP, STANISŁAW KALIŃSKI.

Stanisław Kaliński

Pasjonat, członek zespołu naukowego projektu „Archeologiczne Przywracanie Pamięci o Wielkiej Wojnie", autor książki: „Bolimów 1915", która ukaże się pod koniec maja 2015 nakładem wydawnictwa Bellona w serii „Historyczne Bitwy".

REKLAMA

Lista z Łodzi

KAROLINA RENDAK

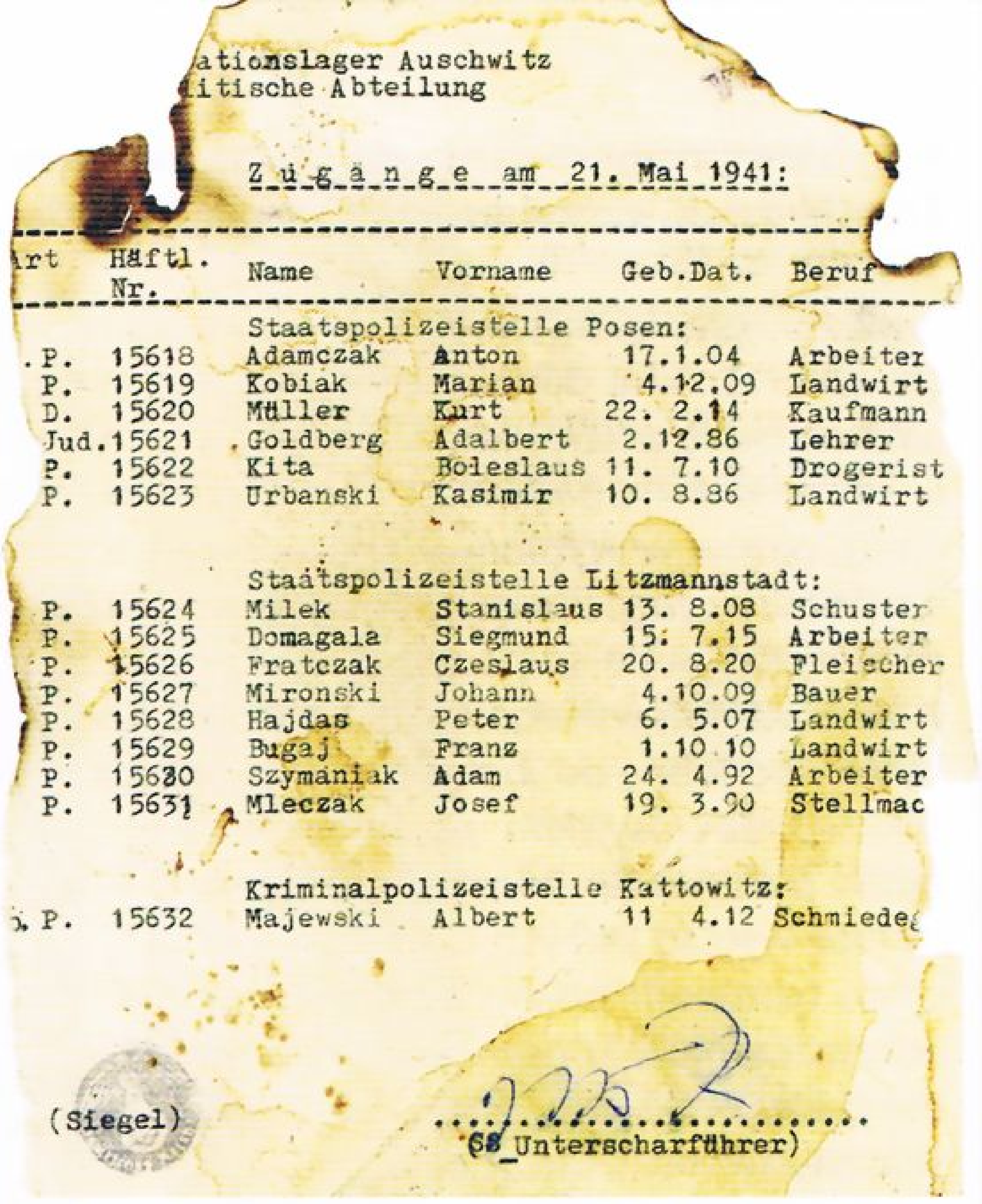

ationslager Auschwitz
litische Abteilung

Z u g ä n g e am 21. Mai 1941:

rt	Häftl. Nr.	Name	Vorname	Geb.Dat.	Beruf
		Staatspolizeistelle Posen:			
.P.	15618	Adamczak	Anton	17.1.04	Arbeiter
P.	15619	Kobiak	Marian	4.12.09	Landwirt
D.	15620	Müller	Kurt	22. 2.14	Kaufmann
Jud.	15621	Goldberg	Adalbert	2.12.86	Lehrer
P.	15622	Kita	Boleslaus	11. 7.10	Drogerist
P.	15623	Urbanski	Kasimir	10. 8.86	Landwirt
		Staatspolizeistelle Litzmannstadt:			
P.	15624	Milek	Stanislaus	13. 8.08	Schuster
P.	15625	Domagala	Siegmund	15. 7.15	Arbeiter
P.	15626	Fratczak	Czeslaus	20. 8.20	Fleischer
P.	15627	Mironski	Johann	4.10.09	Bauer
P.	15628	Hajdas	Peter	6. 5.07	Landwirt
P.	15629	Bugaj	Franz	1.10.10	Landwirt
P.	15630	Szymaniak	Adam	24. 4.92	Arbeiter
P.	15631	Mleczak	Josef	19. 3.90	Stellmac
		Kriminalpolizeistelle Kattowitz:			
. P.	15632	Majewski	Albert	11 4.12	Schmiede

(Siegel)

(SS Unterscharführer)

Lista odnaleziona w szkolnej bibliotece łódzkiego liceum.

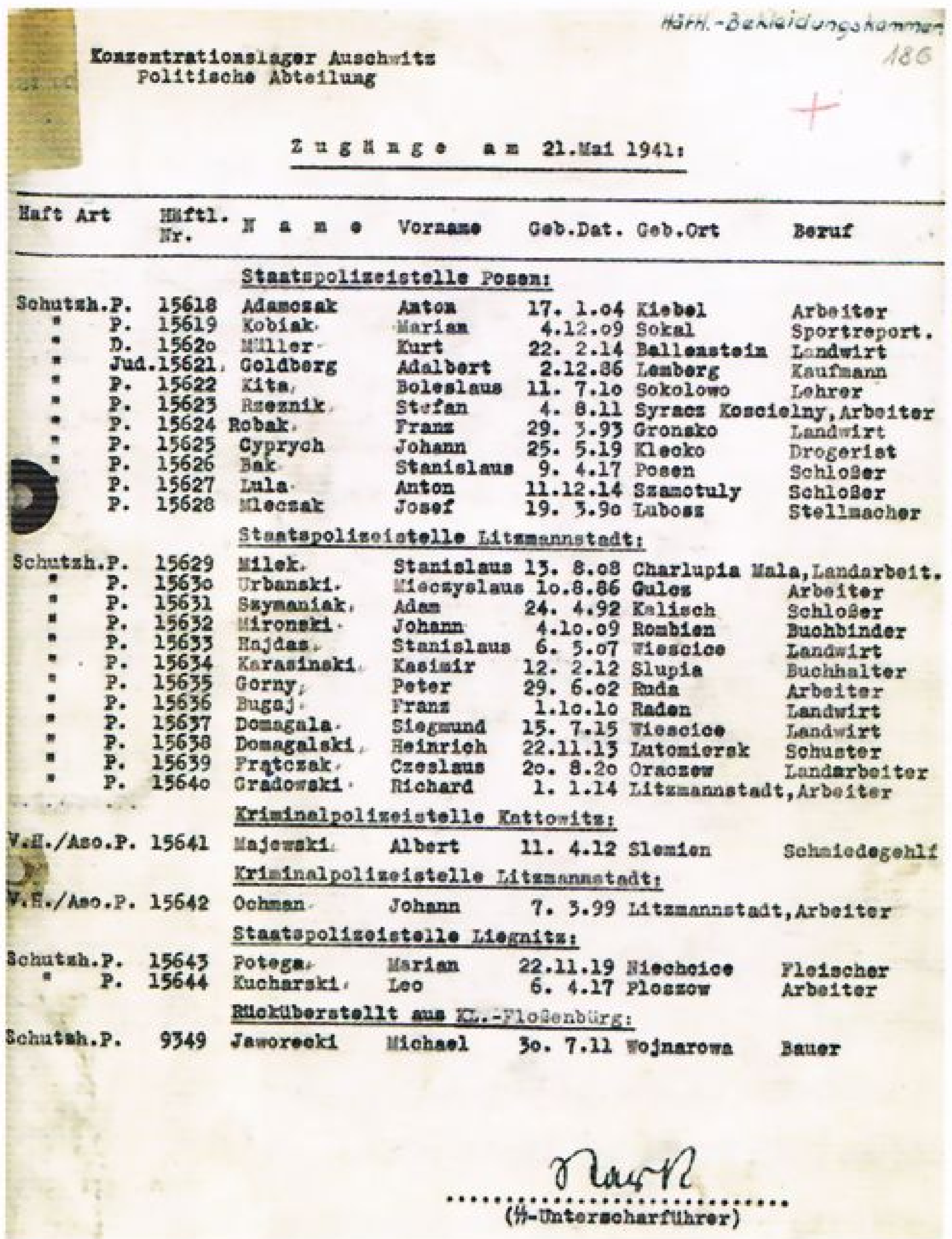

Konzentrationslager Auschwitz
Politische Abteilung

Häftl.-Bekleidungskammer
186

Z u g ä n g e am 21.Mai 1941:

Haft Art	Häftl. Nr.	N a m e	Vorname	Geb.Dat.	Geb.Ort	Beruf
		Staatspolizeistelle Posen:				
Schutzh.P.	15618	Adamczak	Anton	17. 1.04	Kiebel	Arbeiter
" P.	15619	Kobiak	Marian	4.12.09	Sokal	Sportreport.
" D.	15620	Müller	Kurt	22. 2.14	Ballenstein	Landwirt
" Jud.	15621	Goldberg	Adalbert	2.12.86	Lemberg	Kaufmann
" P.	15622	Kita	Boleslaus	11. 7.10	Sokolowo	Lehrer
" P.	15623	Rzeznik	Stefan	4. 8.11	Syracz Koscielny,	Arbeiter
" P.	15624	Robak	Franz	29. 3.93	Gronsko	Landwirt
" P.	15625	Cyprych	Johann	25. 5.19	Klecko	Drogerist
" P.	15626	Bak	Stanislaus	9. 4.17	Posen	Schloßer
P.	15627	Lula	Anton	11.12.14	Szamotuly	Schloßer
P.	15628	Mleczak	Josef	19. 3.90	Lubosz	Stellmacher
		Staatspolizeistelle Litzmannstadt:				
Schutzh.P.	15629	Milek	Stanislaus	13. 8.08	Charlupia Mala,	Landarbeit.
" P.	15630	Urbanski	Mieczyslaus	10.8.86	Gulcz	Arbeiter
" P.	15631	Szymaniak	Adam	24. 4.92	Kalisch	Schloßer
" P.	15632	Mironski	Johann	4.10.09	Rombien	Buchbinder
" P.	15633	Hajdas	Stanislaus	6. 5.07	Wiescice	Landwirt
" P.	15634	Karasinski	Kasimir	12. 2.12	Slupia	Buchhalter
" P.	15635	Gorny	Peter	29. 6.02	Ruda	Arbeiter
" P.	15636	Bugaj	Franz	1.10.10	Raden	Landwirt
" P.	15637	Domagala	Siegmund	15. 7.15	Wiescice	Landwirt
" P.	15638	Domagalski	Heinrich	22.11.13	Lutomiersk	Schuster
" P.	15639	Frątczak	Czeslaus	20. 8.20	Oraczew	Landarbeiter
" P.	15640	Gradowski	Richard	1. 1.14	Litzmannstadt,	Arbeiter
		Kriminalpolizeistelle Kattowitz:				
V.H./Aso.P.	15641	Majewski	Albert	11. 4.12	Slemien	Schmiedegehlf
		Kriminalpolizeistelle Litzmannstadt:				
V.H./Aso.P.	15642	Ochman	Johann	7. 3.99	Litzmannstadt,	Arbeiter
		Staatspolizeistelle Liegnitz:				
Schutzh.P.	15643	Potega	Marian	22.11.19	Niechcice	Fleischer
" P.	15644	Kucharski	Leo	6. 4.17	Ploszow	Arbeiter
		Rücküberstellt aus KL.-Floßenbürg:				
Schutzh.P.	9349	Jaworecki	Michael	30. 7.11	Wojnarowa	Bauer

(SS-Unterscharführer)

Dokument znajdujący się w zbiorach Archiwum Miejsca Pamięci Auschwitz – wykaz nazwisk z 21 maja 1941 r. Lista z Łodzi stanowi najprawdopodobniej pierwotną wersję tego dokumentu.

Na bibliotecznym stole leży pożółkła kartka papieru z wyraźnymi śladami nadpalenia. Na niej wypisanych piętnaście nazwisk, data: 21 maja 1941 oraz wszystko mówiący nagłówek: „Konzentrationslager Auschwitz", „Politische Abteilung". Obok kartki leży sfatygowany egzemplarz III tomu „Dziejów wojen i wojskowości w Polsce" z 1923 roku. Za nim skan innej listy, znacznie dłuższej, i wydruki zdjęć więźniów w pasiakach z Archiwum Miejsca Pamięci Auschwitz.

Nad tym, wydawałoby się dziwnym zestawieniem, pochyla się grupa osób: Jadwiga Ochocka, dyrektorka II LO im. Gabriela Narutowicza w Łodzi, Dariusz Jędrasiak, wicedyrektor szkoły, Anna Dobrowolska, bibliotekarka oraz Szymon Kowalski, zastępca kierownika Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu.

Miesiąc wcześniej, 20 lutego, w trakcie przygotowywania wystawy eksponującej najstarsze egzemplarze szkolnej biblioteki, Anna Dobrowolska przypadkiem znajduje dokument z 21 maja 1941, który dość szybko zyskuje nazwę „Listy z Łodzi". – *Podczas przeglądania starego księgozbioru z naszej biblioteki okazało się, że w jednej z książek znajduje się pożółkła kartka. W pierwszej chwili potraktowaliśmy to jako ciekawostkę, ale kiedy okazało się, że można na niej odczytać słowa „Politische Abteilung" i „Konzentrationslager Auschwitz", że są tam nazwiska, numery obozowe, daty urodzenia, byliśmy zszokowani* – mówi Jadwiga Ochocka.

Lista zawiera nazwiska piętnastu mężczyzn nowo przybyłych do niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz – 21 maja 1941 roku – skierowanych z Łodzi, Poznania i Katowic. Czternastu Polaków (w tym jeden Żyd) i Niemiec. Obok każdego nazwiska wyszczególniony jest nadany numer obozowy, data urodzenia oraz wykonywany zawód.

Dyrekcja II LO natychmiast podejmuje decyzję o przekazaniu znaleziska Państwowemu Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. – *Było to dla nas oczywiste* – mówi Jadwiga Ochocka.

Oficjalne przekazanie dokumentu następuje 20 marca 2015 roku w licealnej bibliotece.

Na podstawie częściowo zachowanych oryginalnych akt obozowych, udało się ustalić informacje dotyczące 10 więźniów: ośmiu zginęło w obozie po kilku miesiącach, dwóch przeżyło wojnę. Nie udało się odnaleźć żadnych danych związanych z pięcioma osobami.

– *Mamy do czynienia z bardzo ciekawym dokumentem* – podkreśla Szymon Kowalski. – *Listy nowych więźniów przygotowywane były w wielu kopiach. W dokumencie, który posiadamy w naszych zbiorach, na wykazie z 21 maja 1941 r. było 28, a nie 15 więźniów. Do-*

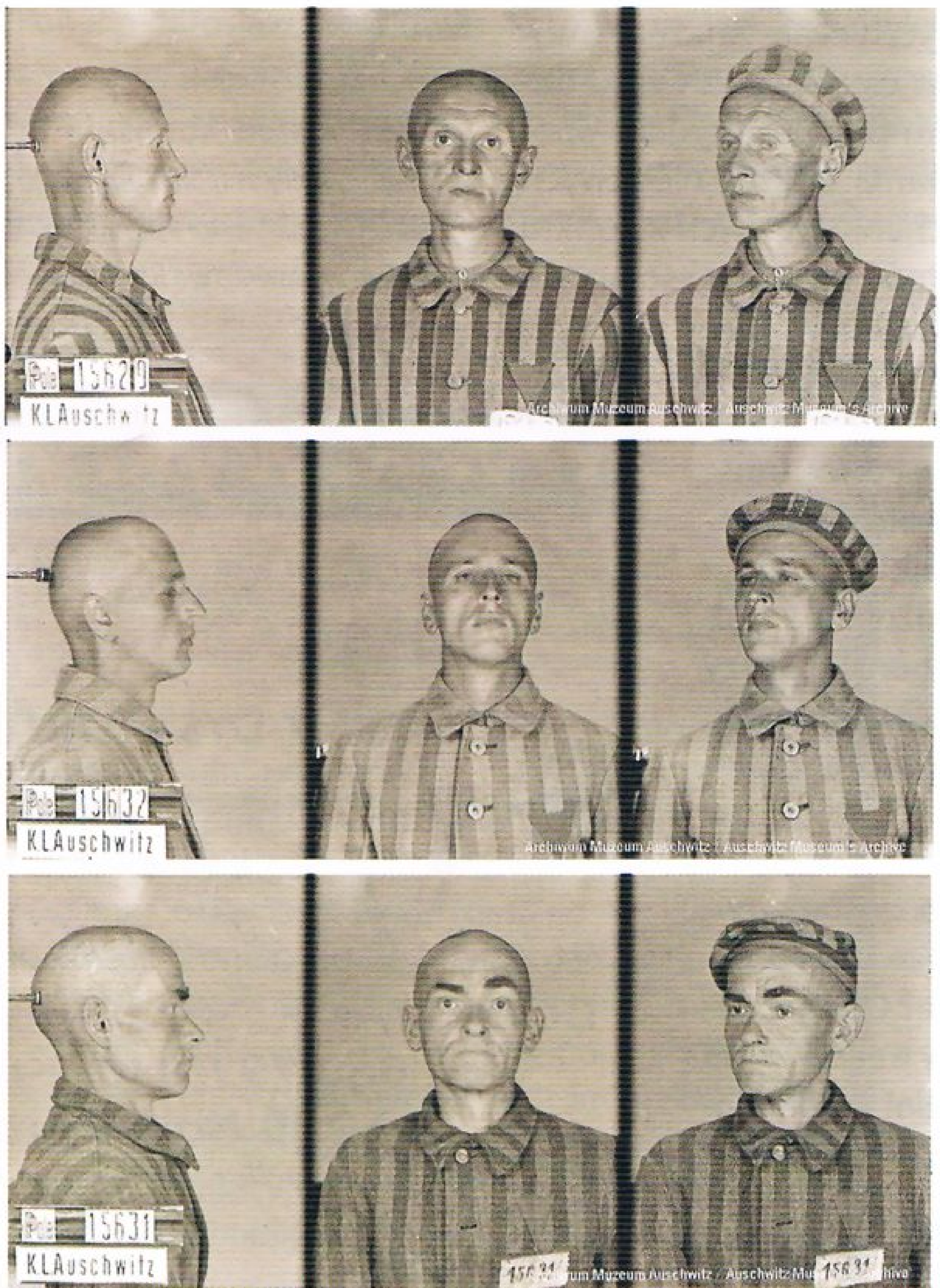

Zdjęcia więźniów znajdujących się na liście. Od góry:
– Stanisław Miłek, nr obozowy 15629.
– Jan Miroński, nr obozowy 15632.
– Adam Szymaniak, nr obozowy 15631.

Moment przekazania listy do Archiwum Miejsca Pamięci Auschwitz. Na zdjęciu od lewej: Szymon Kowalski, zastępca kierownika Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, Jadwiga Ochocka, dyrektorka II LO w Łodzi, Dariusz Jędrasiak, wicedyrektor szkoły oraz Anna Dobrowolska, bibliotekarka.

konana została także korekta numerów obozowych, zawodów, jak również, w niektórych przypadkach, imion. Wydaje się zatem, że „Lista z Łodzi" była pierwszym wykazem więźniów przywiezionych do obozu tego dnia. Później dokument najprawdopodobniej został uzupełniony, poprawiony i przybrał formę dokumentu, który mamy w naszym Archiwum – dodaje. – *Tę kwestię będziemy badać.*

Nie ma wątpliwości, że dokument jest oryginalny. Ślady ognia mogą sugerować, że znajdował się w obozie jeszcze w styczniu 1944 roku podczas masowego niszczenia kartotek. Ale co działo się z nim później? Jak i kiedy trafił do Łodzi i samej biblioteki? Ile lat przeleżał w dużo młodszej od siebie książce? Na te pytania nie ma odpowiedzi. A szkoda, bo już samo zestawienie „Listy z Łodzi" z „Dziejami wojen i wojskowości w Polsce" wydaje się szokujące.

Szymon Kowalski ma nadzieję, że dzięki publikacjom w prasie i telewizji uda się ustalić losy pozostałych osób z „Listy z Łodzi": może ktoś je rozpozna, może przekaże jakieś informacje. Przyznaje też, że dzięki takim historiom coraz więcej osób decyduje się przekazać Archiwum Miejsca Pamięci Auschwitz rodzinne pamiątki.

○ ○ ○

W chwili, gdy oddaję ten tekst, kierownik Archiwum odbiera dużą kolekcję listów z Auschwitz i Mauthausen. Warto zauważyć, że dzieje się to ponownie w Łodzi.

ZDJĘCIA: ZBIORY PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIMIU, KAROLINA RENDAK.

Więźniowie, których nazwiska znajdują się na „Liście z Łodzi":

1. Antoni Adamczak – deportowany do KL Auschwitz z Poznania. Nr obozowy 15618. Zginął w obozie 3 lipca 1941.
2. Franciszek Bugaj – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15636. Zginął w obozie 18 lipca 1941 r.
3. Zygmunt Domagała – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15637. Dalszy los nieznany.
4. Czesław Frątczak – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15639. Przeżył wojnę.
5. Adalbert (Wojciech) Goldberg – deportowany do KL Auschwitz z Poznania. Nr obozowy 15621. Dalszy los nieznany.
6. Stanisław Hajdas (na liście z Łodzi Piotr) – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15633. Zginął w obozie 6 września 1941 r.
7. Bolesław Kita – deportowany do KL Auschwitz z Poznania. Nr obozowy 15622. Przeżył wojnę.
8. Marian Kobiak – deportowany do KL Auschwitz z Poznania. Nr obozowy 15619. Dalszy los nieznany.
9. Albert Majewski – deportowany do KL Auschwitz z Katowic. Nr obozowy 15641. Zginął w obozie 17 lutego 1942 r.
10. Stanisław Miłek – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15629. Zginął w obozie 10 sierpnia 1941 r.
11. Jan Miroński – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15632. Dalszy los nieznany.

12. Józef Mleczak – deportowany do KL Auschwitz z Poznania. Nr obozowy 15628. Zginął w obozie 30 października 1941 r.
13. Kurt Mueller – deportowany do KL Auschwitz z Poznania. Nr obozowy 15620. Dalszy los nieznany.
14. Adam Szymaniak – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15631. Zginął w obozie 18 października 1941 r.
15. Mieczysław Urbański (na liście z Łodzi Kazimierz) – deportowany do KL Auschwitz z Łodzi. Nr obozowy 15630. Zginął w obozie 22 stycznia 1942 r.

Karolina Rendak

Przez 11 lat niekoniecznie dobry duch Księgarni Odkrywcy. Dziś straszy już w innych miejscach. W wolnych chwilach udaje, że umie pisać i robić zdjęcia.

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

MARIUSZ KWIATKOWSKI

KAROLEWO – depozyt do dyspozycji Ahnenerbe?

В. Дмитриев, В. Ерашов w wydanej w 1961 roku książce „Тайна янтарной комнаты" („Tajemnica Bursztynowej Komnaty") po raz pierwszy, i jak dotychczas ostatni, powołując się na prowadzone w Okręgu Kaliningradzkim poszukiwania zaginionych podczas ostatniej wojny światowej dzieł sztuki, podali informację o roli, jaką w ich ukrywaniu odegrać miał Kętrzyn. Według autorów książki, o niestarzejącym się temacie, Kętrzyn (Rastenburg) był ważnym punktem etapowym dla wywożonych z Kaliningradu (Königsbergu) walorów nie tylko artystyczno-muzealnej prowenienencji. Czy było tak w rzeczywistości? Nie wiemy. Mamy tylko kilka solidniejszych poszlak i wiele nieistotnych legend.

Za bezsprzecznie znaną, w miarę udokumentowaną i mieszczącą się w wyobrażeniu punktu etapowego, uważać możemy jedynie składnicę zorganizowaną w leżącym na przedmieściach Kętrzyna Karolewie. Już w 1943 roku złożono w tej miejscowości znaczną część zbiorów wschodniopruskiego Prussia Museum. Czy wybór miejsca miał jakiś związek z badaniami prowadzonymi przez Ahnenerbe?

Dawne Karolewo (Carlshof) to powstały w 1882 roku, mogący przyjąć około 1500 umysłowo i przewlekle chorych, kompleks zakładu opiekuńczego z mieszkaniami dla jego obsługi i własnym gospodarstwem rolnym. Tragiczny los pensjonariuszy zakładu dokonał się w latach 1939-1940, kiedy w wyniku prowadzonej na obszarze III Rzeszy eutanazji, uśmiercono część objętych opieką pacjentów. Kolejnym krokiem było wywiezienie, prawdopodobnie do podobnego ośrodka w podolsztyńskim Kortowie, pozostałych przy życiu pensjonariuszy. Zakład zlikwidowano, aby u schyłku 1940 roku zajęło go wojsko.

W drugiej połowie 1940 roku w oddalonej od Karolewa o ok. 5 km Gierłoży (Görlitz) rozpoczęto budowę „Wilczego Szańca" – polowej kwatery Adolfa Hitlera i Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Z punktu widzenia nowopowstającego obiektu, budynki zakładu opiekuńczego stanowiły idealne miejsce dla umieszczenia w nich sił związanych z jego ochroną. Tak też się stało. Karolewo zamieniono na koszary SS, m.in. dla SS Panzerjäger Ausbildung und Ersatz Abteilung 1. Znalazło się w nich również miejsce dla jednego z dwóch głównych wschodniopruskich szpitali SS.

I to właśnie w nich w 1943 roku zdeponowano zbiory Prussia Museum.

Prussia Museum to powstała w 1844 roku w Königsbergu placówka muzealno-badawcza. Do interesującego nas 1943 roku zgromadzono w niej ponad 240 tys. eksponatów pochodzących przede wszystkim z prowadzonych w Prusach Wschodnich wykopalisk archeologicznych. Wartość większości z nich powiększona została o dokumentację prowadzonych prac – w liczbie 50 tys. archiwaliów. Ostatni dyrektor muzeum, Wilhelm Gaerte, szczycić się mógł ponadto bogatymi zbiorami i materiałem źródłowym, dotyczącym wschodniopruskiego folkloru. Siedzibą Prussia Museum było, zagrożone wzmagającymi się już od 1942 roku nalotami sowieckiego lotnictwa, południowe skrzydło królewieckiego zamku. Spowodowany tym niepokój o zbiory stał się powodem podzielenia ich na dwie, a właściwie na trzy części, i ewakuacji z Królewca.

Był rok 1943. Decyzję o rozdrobnieniu kolekcji i wywiezieniu z miasta najcenniejszych spośród archiwum i eksponatów, podjął Wolfgang La Baume, dyrektor Krajowego Urzędu Prehistorii (Landesamt für Vorgeschichte). To on, wkrótce po zakończeniu wojny, stanie się głównym orędownikiem poszukiwań rozproszonej kolekcji. W wyniku podziału jedna z partii zbiorów Prussia Museum trafiła do położonego na północnych przedpolach królewieckiej twierdzy, Fortu III Quedenau. W podziemnej części budowli zdeponowano część zbiorów naukowych (Studiensammlung), razem z cenniejszymi eksponatami kolekcji pokazowej (Schausammlung). Drugą część zbiorów naukowych oraz archiwum z dokumentacją dotyczącą znalezisk (Fundarchiv) przewieziono do Karolewa. Niewielką i prawdopodobnie najmniej cenną z kolekcji pokazowej pozostawiono w Królewcu.

Zbiory, których nie ewakuowano z Królewca, po części zniszczone zostały podczas dokonanego nocą z 29 na 30 sierpnia 1944 roku alianckiego nalotu bombowego. Spłonęła wówczas, prezentowana w mniej odpornym na uderzenia bomb piętrze zamkowego skrzydła, kolekcja pokazowa. Z pożogi niemalże bez uszczerbku ocalało jedynie to, co zgromadzono pod solidnym sklepieniem przyziemia, a co rok później, z ruin zniszczonego w wyniku kwietniowych walk zamku, wydobyła radziecka ekspedycja, kierowana przez archeologa Aleksandra Briusowa. Według niektórych zdołano

Karolewo w latach 30.

ocalić wówczas kilkadziesiąt skrzyń pochodzących z różnych epok zabytków archeologicznych. Ale nie wszystko. Aż do dokonanego w 1968 roku definitywnego zburzenia zamkowych ruin, często znajdować w nich miano eksponaty archeologiczne. Uwieńczenie mniej lub bardziej zorganizowanych poszukiwań przyniósł rok 1967, kiedy to w piwnicach południowego skrzydła zamku doszukano się kilku ksiąg inwentarzowych Prussia Museum. Kwestię ewentualnych, dalszych poszukiwań tej części kolekcji, przypieczętowało celowe, pomyślane dla odbudowy miasta, wysadzenie ruin.

Inny los pisany był zabytkom zdeponowanym w Forcie Quedenau.

Złożony w solidnej piwnicy, pochodzącej z XIX wieku fortyfikacji, depozyt, teoretycznie w nienaruszonym stanie przetrzymał pierwsze dni kwietnia 1945 roku, gdy budowla dostała się w zasięg prowadzonych w mieście walk. Jednakże, jak to przy wojsku, zwłaszcza w powojennych latach, gdy fortem zawiadywała Armia Czerwona (później radziecka), co cenniejsze dla żołnierzy rzeczy ginęły. Przez dziesięciolecia trwała systematyczna grabież zawartości skrzyń; nie uniknięto przy tym dewastacji i, wynikającej z niej, straty wielu zabytków. Pierwsze oficjalne i zorganizowane poszukiwania w Forcie Quedenau rozpoczęto dopiero u schyłku lat 60. Nie przyniosły one spodziewanych wyników. Z czasem badaniem fortu zajęła się utworzona w Kaliningradzie w 1969 roku, związana z Awenirem Owsjanowem, Ekspedycja Geologiczno-Archeologiczna. Mimo chęci poszukiwań i coraz większej wiedzy teoretycznej o zgromadzonych w Quedenau zabytkach, na ich wznowienie czekać trzeba było bez mała trzy dekady. Dopiero po opuszczeniu fortu przez wojsko, na dobre wpuszczono do niego archeologów, którzy *summa summarum* wydobyli z niego ponad 30 tys. zabytków.

A Karolewo? Wszak przywiezione do tej miejscowości część kolekcji pokazowej, biblioteka naukowa i archiwum zbiorów, będących w fazie badań, są dla nas najbardziej interesujące.

Depozyt dotarł do Karolewa w 1943 r. i w nienaruszonym stanie pozostawał w tej miejscowości do grudnia 1944 roku. Całość wydzielonych z kolekcji Prussia Museum zbiorów, umieszczono w oddanym do użytku w 1900 r. kościele neogotyckim.

Zbiory Prussia Museum stanowiły skarbnicę informacji. Źródło: www.wikipedia.org

Kiss podczas wykopalisk. Źródło: www.atantipedia.ie

Od czasu zaadaptowania zakładu opiekuńczego na potrzeby koszar SS, świątynia nie pełniła już przypisanej jej roli. Właściwie nie wiemy, co działo się z tą budowlą do czasu, kiedy stała się składnicą.

Gdy w październiku 1944 roku Rosjanie dokonali pierwszego szturmu na Prusy Wschodnie, zaniepokojony o złożone w Karolewie zabytki La Baume skontaktował się z dyrektorem berlińskiego Muzeum Prehistorii, Wilhelmem Unverzagtem, prosząc go o pomoc w wyszukaniu miejsc, lub miejsca, dla karolewskiego depozytu (co interesujące, mniej niepokoił go los kolekcji pozostawionych w zamku królewieckim i w Forcie Quedenau). Unverzagt pomógł wschodniopruskiemu koledze, jako odpowiednie miejsce wskazując położony nieopodal miasta Demmin w Meklemburgii, pałac Broock. Przenosin dokonano w grudniu, przewożąc w dwóch wagonach kolejowych znaczną część zabytków do Demmin. Z trudnego do ustalenia powodu, być może z braku transportu, nie uczyniono tego z wszystkimi złożonymi w Karolewie zbiorami, a te, które zostawiono, odnaleźli po wojnie polscy muzealnicy. Czas pokazał, iż przeprowadzka nie do końca wyszła na dobre zabytkom z Prussia Museum. Na miejscu okazało się, że tylko zawartość jednego z wagonów może być wyekspediowana do Broock; brak transportu zmusił do złożenia pozostałego dobra w opuszczonym... salonie fryzjerskim w mieście. A że los lubi płatać figle – powojenne dzieje całości zbiorów pokazały, iż to, co na pierwszy rzut oka nazywało się pechem, okazywało się szczęściem. Bowiem wysłane do Broock zabytki zostały w dużej części rozkradzione lub zdewastowane, odwrotnie do pozostawionych w Demmin, które względnie w dobrej kondycji doczekały lepszego czasu.

W dniach wywozu zbiorów w koszarach karolewskich coraz częściej myślano o zbliżającej się walce. Ofensywa sowiecka ruszyła w połowie stycznia 1945 roku. 27 stycznia Karolewo dostało się w ręce Rosjan. Koszary zajęła Armia Czerwona i, jak się wydaje, zupełnie nie interesowały ją pozostawione w kościele zbiory. Kolekcja była bardziej dewastowana niż rozkradana przez stacjonujących w Karolewie żołnierzy, co wydawać może się trochę dziwne, gdyż w tym samym czasie w rejonie Kętrzyna pojawiały się wszelakiej odmiany grupy poszukujące m.in. wywiezionych dzieł sztuki...

Kiedy w sierpniu 1945 roku o depozycie dowiedzieli się polscy muzealnicy, w Karolewie stacjonowali jeszcze czerwonoarmiści. Ze zrozumiałych powodów ratunek zabytków trwał do 1946 roku. Kętrzyńska muzealniczka, Zofia Licharewa[1], z urzędnikiem Starostwa Powiatowego, Eugeniuszem Gładziewiczem, wspomagani przez Jerzego Antonowicza z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, ocalili pozostawione 33 skrzynie, zawierające w przybliżeniu 1500 zabytków archeologicznych w postaci ceramiki i narzędzi krzemiennych z neolitu oraz narzędzia i ceramikę z czasów wpływów rzymskich. Oprócz tego dużą liczbę materia-

łów archiwalnych: katalogi zbiorów, dokumentację wykopalisk.

W ten sposób mogłaby się zakończyć uproszczona opowieść o wojennych losach kolekcji Prussia Museum. Mogłaby, gdyby nie ciążące nad nią pytanie: dlaczego część kolekcji zdeponowano w przeznaczonych dla elitarnych jednostek ochraniających najważniejszy w III Rzeszy obiekt, koszarach SS? Wprawdzie Fort Quedenau, w którym złożono drugi z wysłanych z Królewca depozytów, również był obiektem wojskowym, jednakże aż do końca 1944 praktycznie przez Wehrmacht nieużywanym. W przeciwieństwie do koszar w Karolewie, gdzie proporcjonalnie do przedłużającej się wojny i wzmacniania osłaniających „Wilczy Szaniec" jednostek, panowała coraz większa ciasnota. Czy kościoła nie można było wykorzystać w bardziej praktyczny dla wojska sposób? A może o wyborze miejsca nie decydował wojskowy pragmatyzm, a coś zupełnie odmiennego? Gdy przy tak stawianych pytaniach powiemy, że od czerwca 1941 do stycznia 1945 roku przebywał w Karolewie Sturmbannführer Edmund Kiss, dowódca SS Panzerjäger Ausbildung und Ersatz Abteilung 1., powód złożenia w tej miejscowości depozytu ukaże się w całkiem innym świetle.

Edmund Kiss (Kiß) (1886-1960) – podający się za archeologa architekt. Członek Ahnenerbe (Dziedzictwo Przodków) i sztabu personalnego Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Już od początku lat 20. marzeniem, ale i impulsem dla prowadzonych przez niego prac, była Ameryka Południowa. Wśród zaginionych ruin jej starożytnych miast Kiss spodziewał się odnaleźć ślady nordycko-atlantyckiej kultury, w których istnienie z roku na rok coraz bardziej wierzył. Pierwszą wyprawę archeologiczną do Boliwii sfinansował z własnej kieszeni. Rozkopywał i badał wówczas ruiny miast na wyspie Marajo i okolice Jeziora Titicaca, mauzoleum Puma Punku i obserwatorium astronomiczne Kalasaya. Druga *idee fixe* Kissa związana była z rozpowszechnioną przez Hansa Höbrigera teorią o wszechświecie, który do najmniejszej swojej cząsteczki wywodzi się z lodu (Welteislehre). Zajmowały go ponadto zagadnienia zaginionych cywilizacji. Pokłosiem zainteresowań stały się napisane przez niego książki, m.in.: „Das Sonnentor von Tihuanaku und Höbrigers Welteislehre", „Das gläserne Meer" czy swoista trylogia o Atlantydzie: „Die letzte Königin von Atlantis", „Frühling in Atlantis" i „Die Singschwäche von Thule". Wbrew pozorom, po części były to naukowe sprawozdania z prowadzonych przez niego wykopalisk.

Zainteresowania Edmunda Kissa w dużej mierze były identyczne jak poglądy Reichsführera SS Heinricha Himmlera, lansowane w założonym przez niego Ahnenerbe. A więc nie ma w tym niczego dziwnego, że Kiss bardzo szybko został wysokiej rangi członkiem tego osobliwego stowarzyszenia. Dość powiedzieć, iż poza Himmlerem popierał go profesor Alfred Six.

Pierwszą ekspedycję naukową pod egidą Ahnenerbe zrealizował Kiss w 1939 roku. Była to wyprawa do Libii, w której, na osobiste polecenie Himmlera, poszukiwał śladów dowodzących słuszności teorii Welteislehre. Drugą, zakrojoną na większą skalę wyprawą, kierować miał Kiss w 1940 roku. Również z ramienia Ahnenerbe i z błogosławieństwem Reichsführera zamierzano prowadzić wykopaliska archeologiczne w Boliwii, Kolumbii i Peru. Rozpoczęła się II wojna światowa i do zapowiadanej ekspedycji nie doszło. Edmund Kiss, oficer rezerwy odznaczony podczas I wojny światowej krzyżem żelaznym I i II klasy, powołany został do wojska. Mniej więcej w tym momencie jego los na prawie cztery lata związany został z Karolewem. Jako członek Ahnenerbe, Kiss należał do SS i kto wie, czy to nie za sprawą dowodzącego tą formacją „kolegi po zainteresowaniach" skierowany został na spokojne stanowisko dowódcy SS Panzerjäger Ausbildung und Ersatz Abteilung 1. Również nie jest wykluczone, że kiedy w 1943 roku La Baume podniósł myśl o ewakuacji zbiorów Prussia Museum, obaj z Himmlerem postarali się, aby najciekawsza, z punktu widzenia Ahnenerbe, część kolekcji, trafiła do Karolewa. Pośrednio wskazuje na to podział królewieckich zbiorów, gdzie do koszar SS wysłano część będącej w fazie badań kolekcji naukowej, jak i całą muzealną dokumentację prowadzonych wykopalisk archeologicznych, a także bibliotekę. Zapewne nie było wśród tego niczego o Ameryce Południowej, tym niemniej dla tęskniącego za wykopaliskami naukowca, stanowić mogło nie lada odmianę żołnierskiego życia. Co więcej, jeżeli w tym samym czasie Himmler na poważnie zajmował się kwestią hodowli zimnokrwistego konia rasy wschodniopruskiej, to czyż nie mógł zlecić koledze, ale i podległemu sobie członkowi Ahnenerbe, analizę zgromadzonych przez Prussia Museum materiałów? Chociażby po to, aby ocenić je w kontekście przydatności dla statutowej działalności Ahnenerbe czy idei narodowego socjalizmu. Edmund Kiss doskonale się do tego nadawał.

Zgodnie z obietnicą Himmlera, po wygranej wojnie, zwolniony z wojska Kiss, podjąć miał zaniechaną w 1940 roku ekspedycję do Ameryki Południowej. Kto zaprzeczy teorii, że podobnie podchodzono do prowadzonych w Karolewie ewentualnych studiów nad archiwum Prussia Museum? Zaś wyniki badań dotyczących, powiedzmy, wpływów germańskich w kulturze bałtyjskich plemion pruskich, ogłosić zamierzano dopiero po wojnie. Raczej nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę. Sturmbannführer Edmund Kiss po krótkim etapie walk w Prusach Wschodnich (dowódca pułkowej Unterkampfgruppe Kiss) dostał się do niewoli. Osadzony w obozie jenieckim w Darmstadt, został zwolniony w 1947 roku. Nic nie wiemy o jego powojennej, związanej z archeologią działalności.

Przypis:
[1] W historii tej nie sposób pominąć Zofii Licharewej (1883-1980). Znająca carski dwór córka carskiego generała majora Aleksego Licharewa pobierała nauki we Francji, Petersburgu i na krakowskim Uniwersytecie Jagiellońskim. Przed I wojną światową była nauczycielką w Chinach, po powrocie, w komunistycznej już Rosji, brała udział w wyprawie naukowej na koło podbiegunowe. Przez kilka lat pracowała w leningradzkim Muzeum Geologii i Mineralogii Akademii Nauk. Od 1929 roku mieszkała w Polsce, pracując w Państwowym Instytucie Geologicznym w Warszawie. Od 1945 roku związana z Kętrzynem.

Literatura:

1. В. Дмитриев, В. Ерашов: „Тайна янтарной комнаты". Ryga 1961
2. R. Grenz: „Der Kreis Rastenburg". Marburg/Lain 1976
3. „Zofia Licharewa – Dialog wielokulturowy", Praca zbiorowa. Kętrzyn 2007

Mariusz Kwiatkowski
Podkętrzyński regionalista. Interesuje się historią II wojny światowej w Prusach Wschodnich. Z dziejami mazurskich kwater dowództw niemieckich związany nie tylko z racji zainteresowań, ale i pracą: na lotnisku w Wilamowie, w Gierłoży i w Mamerkach.

Z historii Stalagu VIIIA (cz. 1)

Muzyka za drutami

JANUSZ SKOWROŃSKI

Zaledwie kilka lat temu amerykański krytyk muzyczny Alex Ross postawił zadziwiającą dla jednych, a oczywistą dla znawców tematu tezę, że pewnego styczniowego, mroźnego wieczoru 1941 roku zaczęła się historia muzycznej awangardy. Miał na myśli dziwny, ośmioczęściowy utwór napisany na cztery instrumenty, czas, w którym powstawał, osobę kompozytora – jeńca wojennego, widzów – współtowarzyszy niedoli muzyka i osobliwe miejsce premiery – Stalag VIIIA w Zgorzelcu.

Europejskie Centrum Edukacji Kulturalnej otwarto na terenie byłego Stalagu VIIIA w Zgorzelcu 15.01.2015 r.

Po wybuchu wojny w 1939 roku Niemcy zaczęli tworzyć pierwsze obozy przejściowe dla jeńców wojennych. Były to tzw. dulagi (od słowa: Durchganglager – obóz przejściowy). Pierwszy z nich zaplanowano w mieście Reichenbach, między Löbau a Görlitz, na Górnych Łużycach. Ostatecznie nic z tego planu nie wyszło. Na przeszkodzie stanął brak materiałów budowlanych. Lokalizację obozu przeniesiono do wschodniej części Görlitz, zwanej Moys. Dziś jest to Ujazd – dzielnica polskiego Zgorzelca. Był 6 września 1939 r., kiedy w obozie pojawili się pierwsi Polacy wzięci do niewoli. Dzień później przybyło ich tu aż 8 tysięcy. Na zachowanych zdjęciach z tamtego okresu widać polskich jeńców wojennych stawiających wielkie brezentowe namioty. Zanim dulag stał się stalagiem i otrzymał numer VIIIA, gdzie rzymska liczba odpowiadała Okręgowi Wojskowemu Śląska (VIII), a litera (A) kolejnemu powstającemu obozowi – a w tym wypadku był to pierwszy z obozów jenieckich na Śląsku – utworzony został naprędce przejściowy obóz pod namiotami (mieszczącymi po 300-500 jeńców), który funkcjonował przy dzisiejszej ul. Lubańskiej w Zgorzelcu. Właściwy Stalag VIIIA[1] powstawał w dzielnicy Moys, na skraju miasta, obok znajdujących się w pobliżu poligonów Wehrmachtu. Zaczęto tam stawiać baraki, z początku drewniane, na podmurówkach, później zastąpione murowanymi. Przeniesienie obozu z ul. Lubańskiej na obrzeża miasta dzielnicy Moys nastąpiło pod koniec 1939 r. i dotyczyło jeńców polskich. W zachowanej dokumentacji statystycznej przeczytać możemy, że po kampanii wrześniowej 1939 r. przez Stalag VIIIA przewinęło się blisko 8,5 tys. polskich jeńców wojennych. Tylko polskich.[2] Wczesną wiosną 1940 r. Stalag VIIIA zasiliła polska grupa „saganczyków", jeńców przerzuconych tu ze Stalagu VIIIC z Żagania. Chociaż w maju 1940 r. wyszło niemieckie zarządzenie, aby poszczególne stalagi były jednonarodowe, było to nierealne. Stalag VIIIA zaplanowany został aż na 15 tys. jeńców, jedynie belgijskich. W rzeczywistości obóz stawał się mieszanką przedstawicieli różnych narodowości. Ubywało Polaków, których przemieszczano bądź do innych obozów, bądź do zachodnich obszarów III Rzeszy, gdzie brakowało rąk do pracy. Stopniowo zmieniano polskim jeńcom status z wojskowego na cywilny, a do obozu – wraz ze zmianą sytuacji na froncie – zaczęli przybywać jeńcy francuscy i belgijscy. Latem 1940 r. było tu ich już 20 tysięcy. Wśród nich znajdowało się 120 duchownych, a znaczną część stanowili studenci teologii. Odnotowano przypadki... pomyłkowych wcieleń do obozu. Belgów dzielono na Walonów i Flamandów. Tych ostatnich, uznanych za pochodzenia germańskiego, zwolniono nawet z obozu.

W Stalagu VIIIA, pomimo trudów egzystencji, głodowych racji żywnościowych i koszmarnych warunków sanitarnych, doszło do niezwykle ciekawych wydarzeń, ożywiających znacznie życie kulturalne za drutami. Stało się tak głównie za sprawą Polaków i Francuzów.

Jeńcy polscy jesienią 1939 r. w kolejce po posiłek. Pierwsi jeńcy dulagu mieszkali w prymitywnych warunkach, w namiotach, w rejonie dzisiejszej ul. Lubańskiej w Zgorzelcu.

Stalag VIII A Görlitz-Moys 1940-1945 (dzisiaj Zgorzelec) schematyczny przegląd

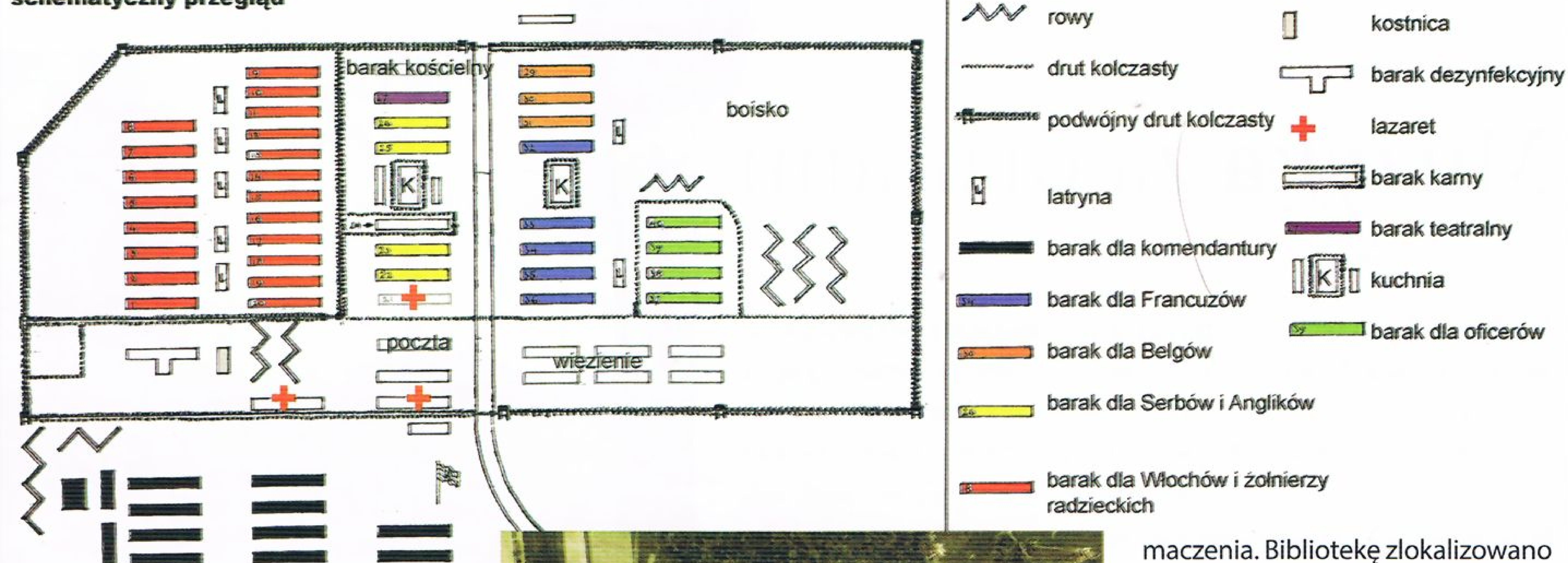

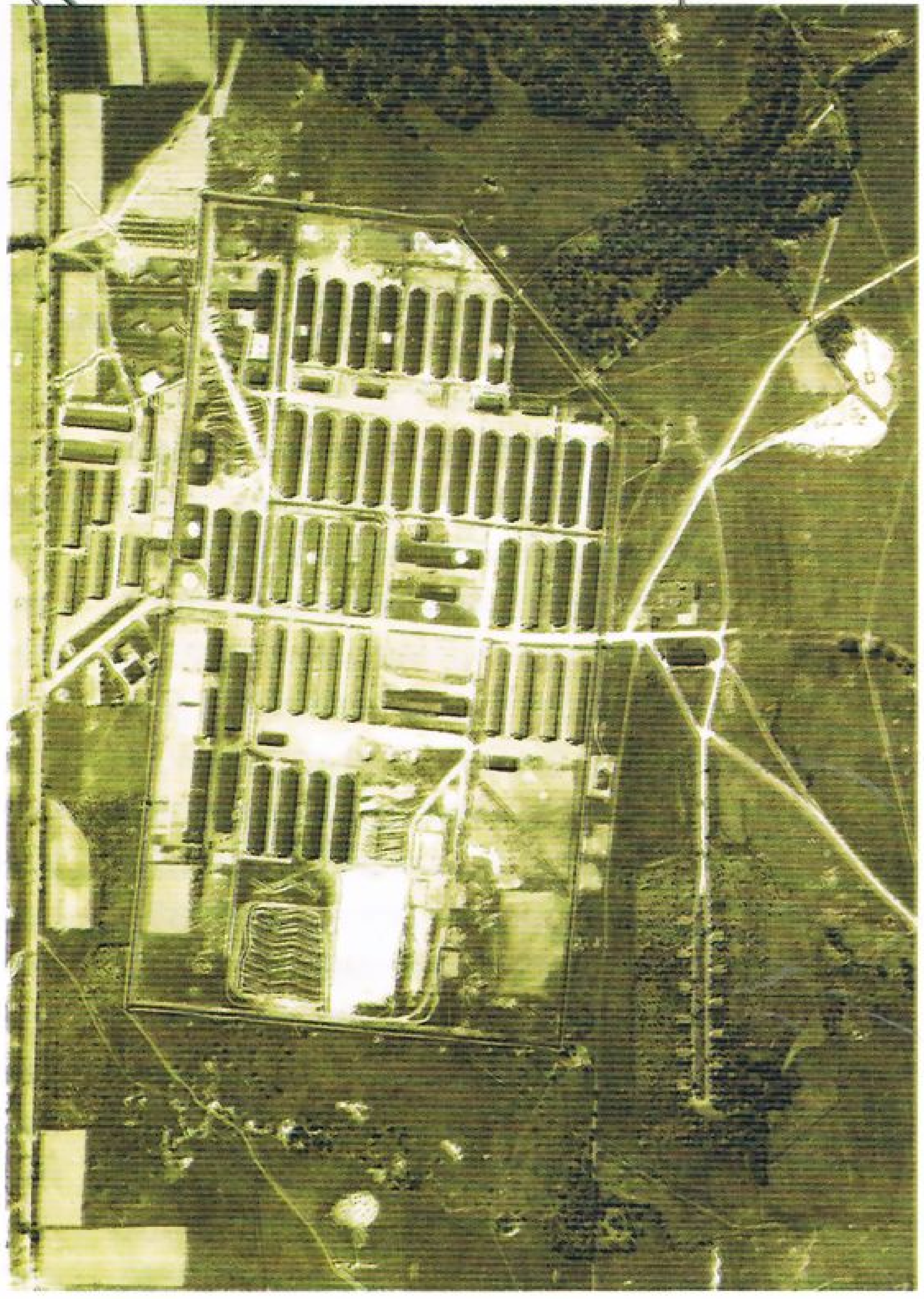

Zdjęcie lotnicze (alianckie, RAF) po wyzwoleniu (11.05.1945) wówczas Görlitz Ost (Moys) – dziś polski Zgorzelec.

Pierwszymi Polakami, których zwieziono do obozu Görlitz, byli jeńcy ostatniej bitwy kampanii wrześniowej pod Tomaszowem Lubelskim (17-20 IX 1939). Wśród nich m.in. Świętosław Krawczyński, późniejszy adwokat, literat i recenzent muzyczny w Kielcach, Mieczysław Mazaraki – humanista i przyrodnik z Chrzanowa, Czesław Mętrak – inżynier leśnik z Warszawy, Bohdan Samulski – architekt pracujący w Kongo i Kongo Belgijskim, swobodnie władający francuskim czy Jan Sokal, syn polskiego ministra przy Lidze Narodów w Genewie. Początkowo polscy jeńcy na własną rękę inicjowali życie kulturalne. W samym obozie i niektórych oddziałach pracy powstawały zespoły muzyczne, a instrumenty kupowano za pierwsze zarobione pieniądze. Część z instrumentów otrzymywano z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Niemcy ściśle kontrolowali jakikolwiek program artystyczny, na nutach czy afiszach ogłaszających obozowe przedstawienie, obowiązkowa musiała być przystawiona pieczątka „geprüft" (sprawdzone) zezwalająca na publiczny – choć za drutami – występ. Nie wolno było grać melodii patriotycznych ani narodowych. Znany był przypadek pobicia jeńca za zaśpiewanie „Warszawianki" w noc sylwestrową 1939/40 czy za śpiewanie pieśni religijnych.

Prowadzący w Stalagu VIIIA zapiski jeniec Mętrak, odnotował przybycie do obozu 29 marca 1940 r. z Żagania m.in. malarzy krakowskich: Jana Świderskiego i Tadeusza Łakomskiego, literata pochodzącego z Cieszyna, a już przed wojną działającego w krakowskim Teatrze Cricot – Zdzisława Nardellego, Konrada Cebrowskiego z Łodzi i Antoniego Śliwińskiego z Krakowa. To ważne polskie nazwiska dla przyszłych wydarzeń, które rozegrają się w obozie.

Poeta Nardelli objął funkcję organizatora biblioteki obozowej w stalagu. Taki „przywilej" przysługiwał jeńcom wojennym, a Polacy stanowili początkowo jedyną grupę narodowościową. Później Nardelli miał także prawo składania list zamówień do wypożyczalni, co nie zawsze było respektowane przez Niemców. Zdarzało się, że zamiast tytułów polskich przysyłano ich… niemieckojęzyczne tłumaczenia. Bibliotekę zlokalizowano w baraku 27B. Już jesienią 1940 r. przebudowano go na salę widowiskową i odtąd znany był jako barak „teatralny". W tym samym baraku zorganizowano kaplicę obozową, gdzie każdej niedzieli odprawiano msze święte. Bibliotekę umieszczono w wąskim pomieszczeniu z jednym oknem, za kaplicą, przez którą prowadziło jedyne dojście. To ciasne lokum stało się wkrótce centrum życia kulturalnego i intelektualnego w obozie.

Czesław Mętrak w swoich zapiskach podaje daty przybycia do obozu pierwszych transportów Belgów (9 VI) i Francuzów (30 VI 1940). Potem przybywały kolejne francuskie grupy jeńców, a w jednej z nich pojawił się 32-letni, znany muzyk i kompozytor Olivier Messiaen. Był tytularnym organistą kościoła Św. Trójcy w Paryżu, współzałożycielem grupy kompozytorskiej „Młoda Francja" i autorem kilku cykli organowych. Wkrótce po rozpoczęciu II wojny światowej został wcielony do wojska, jako żołnierz i sanitariusz uczestniczył w manewrach armii francuskiej w Lotaryngii. W czerwcu 1940 r. otrzymał przeniesienie do jednostki w twierdzy Verdun, gdzie walczył w przegranej przez Francuzów bitwie. Próbując ucieczki, wraz z innymi żołnierzami został pojmany przez Niemców i osadzony na trzy tygodnie w obozie przejściowym w Toul. W uformowanym w czerwcu na przedmieściach Nancy transporcie kolejowym, wagonami towarowymi wraz z innymi jeńcami – współtowarzyszami walki – wysłano go w nieznane, na wschód. Tak, po trzech dniach bez żywności i wody, trafił do Stalagu VIIIA w Görlitz. Część kolegów muzyka tej drogi nie przeżyła…

Miejsce po baraku teatralnym Stalagu VIIIA. Konwencja Genewska z 1929 r. zapewniała jeńcom m.in. dostęp do kultury.

Olivier Messiaen po przesłuchaniu, które przechodził każdy z jeńców, wypełnił i podpisał obozową kartę meldunkową Stalagu VIIIA dopiero 15 sierpnia. Dlaczego tak późno, skoro znajdował się w nim już od ponad miesiąca? Przypuszcza się, że w początkowym okresie uwięzienia w Görlitz muzyk zachorował i był pod opieką polskich sióstr zakonnych.[3] Dwu-

Po obozie oprowadzała mnie Anna Caban ze Stowarzyszenia Meeting-point Music Messiaen e.V. z Görlitz. W tym miejscu znajdowała się główna brama wejściowa do obozu.

czy historii Polski (Łakomski, Sokal i Nardelli znali francuski). Biblioteka stawała się powoli azylem spokoju dla muzyka. Tu, między książkami, miał czas na chwile obcowania z muzyką i przeglądanie posiadanych partytur. A przede wszystkim oszczędzono mu ciężkiej, fizycznej pracy. Taki los spotkał jego przyjaciela, wiolonczelistę Étienne'a Pasquiera, który dopiero po interwencji jego rodaków

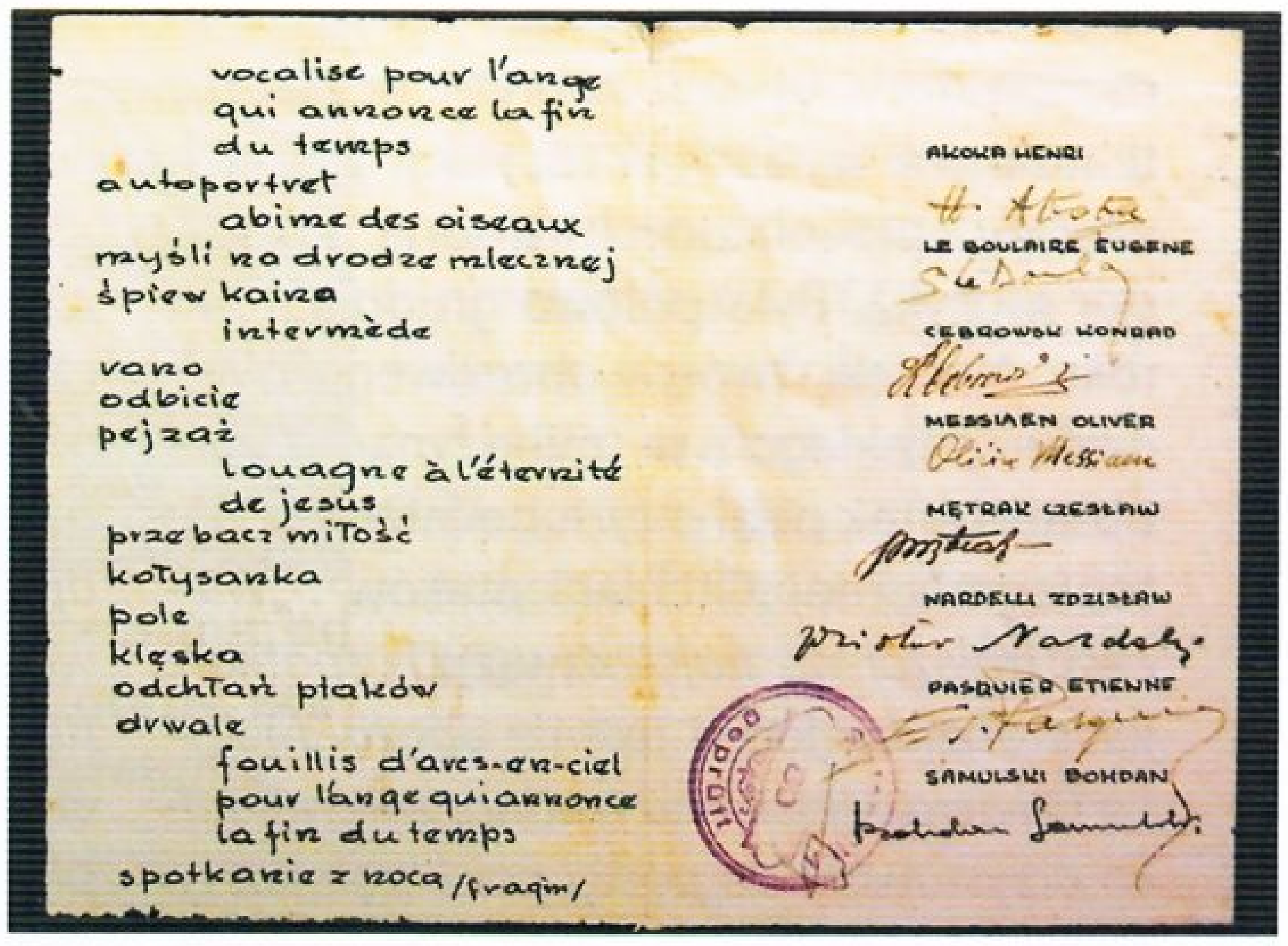

Na wystawie w Centrum można znaleźć m.in. program z grudnia 1940 roku „Wieczoru polskiego" wyk. przez Bohdana Samulskiego z podpisami autorów i wykonawców. Wśród nich podpis Oliviera Messiaena. Wówczas zabrzmiały pierwsze części późniejszego „Kwartetu na koniec Czasu".

języczna karta (po niemiecku i francusku) zawierała podstawowe dane jeńca, stopień wojskowy i dane jednostki wojskowej. Messiaen własnoręcznie wpisał swój obozowy numer jeniecki – 35333. Ponieważ nie chciał pozbyć się przywiezionych w chlebaku kieszonkowych wydań partytur Bacha, Beethovena, Debussy'ego, Ravela czy Strawińskiego, pozwolono mu je zatrzymać, ostemplowane uprzednio przez strażników pieczątką „geprüft". Taki sam los spotkał Biblię muzyka.

Wspomniani już pierwsi polscy jeńcy (było ich około stu) i jednocześnie najstarsi obozowym stażem pozostali w Stalagu VIIIA, by przygotować baraki dla jeńców z frontu zachodniego. Kiedy francuscy jeńcy poprosili polskiego poetę i jednocześnie obozowego bibliotekarza Zdzisława Nardellego o opiekę nad Messiaenem, znając zagrożenie jakie mogło nieść skierowanie go do ciężkiej, fizycznej pracy, Polak nie zawahał się. Odtąd Messiaen stał się pomocnikiem bibliotekarza, co władze obozowe zatwierdziły. Francuski muzyk mógł przebywać w towarzystwie Polaków w bibliotece i codziennie po apelu, rozmawiać o sztuce w dowództwie obozu, mógł powrócić do Stalagu VIIIA z kamieniołomów strzegomskich. W obozie przebywał także klarnecista Henri Akoka i skrzypek Jean Eugene Le Boulaire. Ten skład muzyków i instrumentów zainspirował Messiaena do stworzenia nowej muzyki. Wcześniej klarnecista Akoka tworzył obozowy duet z polskim akordeonistą Stanisławem Tosiem z Warszawy. Coraz częstsze próby muzyczne miały wielu słuchaczy wśród jeńców, ale i też wojskowych niemieckich, przyglądających się poczynaniom Francuzów. W końcu udało się sprowa-

dzić do baraku „kulturalnego" pianino. W międzyczasie Messiaen „coś" komponował, choć nikt z jego otoczenia nie wiedział co, otrzymując jedynie fragmenty do prób i ćwiczeń.

Zdzisław Nardelli wpadł na pomysł, aby wspólnie z Francuzami zorganizować w obozie wieczór muzyczno-poetycki. *„Zgadaliśmy się i zrobiliśmy koncert. Poszliśmy do sali i ogłosiliśmy termin. Przygotowaliśmy zaproszenia. Ustaliliśmy jak to wszystko będzie wyglądało"* – wspominał po latach Nardelli.[4] Kulturalne przedsięwzięcie w obozie ochrzczono „Wieczorem polskim", mimo że słowno-muzyczny program przewidywał naprzemiennie recytację 13 polskich wierszy i wykonanie 5 francuskich utworów. Nikt wówczas nie wiedział, że francuskie kompozycje złożą się na muzyczną całość. Wszyscy autorzy i wykonawcy potwierdzili swój udział własnoręcznymi podpisami na kilkudziesięciu egzemplarzach programu, wykaligrafowanych przez Bohdana Samulskiego. Najważniejsza była akceptacja władz obozu – bez pieczęci „geprüft" występ nie mógłby dojść do skutku. Jeńcy polscy i francuscy, oraz Niemcy z komendantury obozu, zebrani w baraku teatralnym wysłuchali recytacji polskich wierszy, przeplatanych trudną francuską muzyką. Była połowa grudnia 1940 roku. Nardelli, twórca obozowego „Wieczoru polskiego" w międzynarodowej obsadzie, tak pisał o tym po latach w autobiograficznej „Otchłani ptaków": *„Wieczór należał do najciekawszych spotkań, jakie urządzono na terenie obozu. Muzyka Oliviera Messiaena trudna, zniewalająco przystawała do poezji polskiego poety. Po raz pierwszy spotkał się z taką muzyką. Nie umiał sobie z nią poradzić. Czuł jej wielkość i swoją zawstydzającą nieśmiałość. Po prostu był bezradny. Wspaniałości dzieła Messiaena dodawała blasku sprawność wykonawcza instrumentalistów. Nieprawdopodobna wirtuozeria Akoki, który skomplikowane partie grał ze śpiewnością kanarka. Odrealnił klarnet. Partnerował mu Étienne Pasquier na wiolonczeli, Le Boulaire na skrzypcach, przy pianinie zasiadł sam kompozytor, a więc sami mistrzowie"*.

Niestety, prezentowana obozowa poezja Zdzisława Nardellego nie zachowała się. Zaginęła w momencie jego aresztowania przez gestapo i skazania na obóz koncentracyjny w Dachau. Więcej szczęścia miała za to tamta muzyka. Wykonane podczas „Wieczoru polskiego" pięć części utworu Messiaena zostały w ciągu następnego miesiąca rozbudowane przez kompozytora o kolejne trzy. Pełnemu, ośmioczęściowemu dziełu Messiaen nadał tytuł „Kwartet na koniec Czasu" i zaprezentował podczas muzycznego wieczoru w obozie już 15 stycznia 1941 roku. Jeniec Paul Dorne, rodak kompozytora, tak wspominał: *„Mąż zaufania obozu przekazał nam informację, że Olivier Messiaen przedstawi na koncercie utwór, który jakiś czas temu skomponował w obozie. Udaliśmy się tam pomimo godziny policyjnej, bo byliśmy wszyscy upoważnieni, obecność była obowiązkowa i nakazana urzędowo. Poszliśmy więc na ten koncert, na którym Olivier Messiaen wykonywał – wprawdzie już nie po raz pierwszy, ale tym razem w sposób oficjalny – »Kwartet na koniec Czasu«. Było nas tam około stu"*. Niestety, tym razem koncert odbył się bez udziału Polaków. Sam kompozytor nie krył, pisząc po latach, że pracując w obozowych warunkach nad „Kwartetem" doświadczał *„uwolnienia od śniegu, wojny, niewoli i od siebie samego. Największą korzyścią, jaką uzyskałem było to, że pośród trzynastu tysięcy jeńców wojennych prawdopodobnie byłem tam jedyną osobą, która nie czuła się zniewolona"*.

W styczniu 1941 r. odesłano ze Stalagu VIIIA do Wiednia grupę jeńców węgierskich, a w czerwcu tego samego roku grupę 600 muzułmańskich Chorwatów. W 1941 zaczęto zwalniać jeńców francuskich, których przejmował rząd z Vichy, zaś jeńców francuskich wojsk kolonialnych rozdzielano po innych obozach. Wśród zwolnionych znalazł się autor „Kwartetu na koniec Czasu". Pięć miesięcy po obozowej premierze dzieło zostaje publicznie wykonane w Paryżu. Dziś jest znane na całym świecie.

Po opuszczeniu obozu przez Oliviera Messiaena, według stanu na dzień 28 lutego 1941 r. w Stalagu VIIIA znajdowało się ogółem 23 582 zarejestrowanych jeńców, w tym 17 395 Francuzów, 6107 Belgów oraz 80 Polaków. W lipcu 1941 przybył tu transport 2364 jeńców jugosłowiańskich. A od połowy 1942 roku do obozu zaczęły nadchodzić transporty jeńców radzieckich. CDN.

zdarzyło się...

6 V 1945 r.

70 lat temu skapitulował fanatycznie broniony przez Niemców Wrocław. Trwające 80 dni oblężenie miasta związało 7 prących na Berlin dywizji sowieckich, co miało wspomóc obronę stolicy III Rzeszy i opóźnić jej zdobycie. W skali potencjału Armii Czerwonej i jej przewagi liczebnej w ostatnich miesiącach wojny, akt desperackiej obrony Festung Breslau nie miał większego znaczenia. Przyczynił się jedynie do apokalipsy miasta, której skali z pewnością można było uniknąć. Decyzji o kapitulacji jednak nie podjęto ani po samobójstwa Hitlera, ani też po zdobyciu przez Sowietów Berlina 2 V 1945 roku. Każdy dzień zwłoki oznaczał unicestwienie kolejnych kwartałów oraz setki ofiar. Skutki tych dramatycznych wydarzeń odcisnęły się piętnem na charakterze współczesnego Wrocławia i są widoczne w jego zabudowie do dziś.

ZDJĘCIA: EUROPEJSKIE CENTRUM EDUKACJI KULTURALNEJ ZGORZELEC, MEETINGPOINT MUSIC MESSIAEN E.V. GÖRLITZ, AUTOR.

Przypisy:

1 Warto prześledzić obozową numerację Okręgu Wojskowego na Śląsku. Stalag VIIIA – Zgorzelec, VIIIB – Lamsdorf (Łambinowice), VIIIC – Sagan (Żagań), VIIID – Teschen (Cieszyn) 1941, VIIIE – Neuhammer (Świętoszów), włączony do VIIIC, VIIIF – Łambinowice, wchłonięty w 1943 przez obóz VIIIB.

2 Dokładnie 8468 jeńców (396 oficerów, 6398 podoficerów i szeregowych oraz 1674 cywilów). Pod koniec października stan obozu wzrósł do 10 082 jeńców.

3 Informację tę potwierdzał ojciec kompozytora Pierre Messiaen. Muzyk sam nie wypowiadał się na temat choroby.

4 Zdzisław Nardelli był po wojnie znanym reżyserem radiowym (m.in. powieści „Matysiakowie"). Swoje wspomnienia wojenne zawarł w trzech książkach: „Pasztet z Ojczyzny", „Otchłań ptaków" i „Sprzedawca śniegu".

Literatura:

1. J. Stankiewicz, „Olivier Messiaen. Człowiek i artysta w Stalagu VIIIA w Görlitz", Zgorzelec 2014.
2. R. Zgłobicki, „Obozy i cmentarze wojenne w Zgorzelcu", 1995

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Kontakt: loginfo@go2.pl

Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 3)

Więźniowie z Bad Warmbrunn im Riesengebirge

SZYMON WRZESIŃSKI

Głównym zadaniem kilkuset więźniów narodowości żydowskiej ulokowanych w Bad Warmbrunn (ob. Cieplice, dzielnica Jeleniej Góry), podobnie jak w wielu miejscach na Dolnym Śląsku, było wykonywanie różnorodnych zamówień dla armii niemieckiej. Trudy ciężkiej pracy i niedożywienie nie były jedynymi problemami dnia codziennego. Tragiczne warunki sanitarne, brak leków i odpowiedniej opieki medycznej doprowadziły do tego, że bardzo szybko w obozie wybuchła epidemia tyfusu. Jej skutki zainteresowały nawet Josefa Mengele…

Powstanie zakładów

Początki funkcjonującej w okresie II wojny światowej fabryki „Dörries-Füllner" sięgają roku 1854, kiedy to Heinrich Füllner z Wrocławia, widząc rozrastający się wokół Jeleniej Góry przemysł papierniczy, zakupił w Cieplicach niewielki budynek i założył w nim warsztat remontujący maszyny papiernicze. Po pewnym czasie, w sąsiedniej wsi Herischdorf (ob. Malinnik, część Cieplic), nabył dawną szlifiernię szkła, w której uruchomił odlewnię i zainstalował tokarki, by móc wytwarzać niewielkie podzespoły do maszyn. Z czasem Heinrich Füllner wraz ze swym synem Eugenem zaczęli tworzyć kompletne urządzenia do wyrobu papieru, stając się na początku XX wieku jednym z największych i najbardziej cenionych producentów na świecie: *– Z biegiem lat, dzięki zdobywanemu doświadczeniu, Füllner podejmował się konstruowania nowych, coraz bardziej skomplikowanych urządzeń. Budował przekrawacze papieru oraz prasy, instalowane w maszynach w celu odciskania wody z wytwarzanego papieru* – twierdzi Maciej Szymczyk, dyrektor Muzeum Papiernictwa w Dusznikach Zdroju. *– Następnym krokiem w rozwoju firmy była budowa kompletnych maszyn papierniczych. Pierwsze takie urządzenie powstało w Cieplicach w 1865 roku dla fabryki H. Richtera w Kunnersdorf (ob. część Jeleniej Góry). Maszyna ta była niewielka; produkowała wstęgę papieru o szerokości 1,4 m. Kolejne urządzenia podobnej wielkości Füllner wybudował dla innych papierników z sąsiedztwa: w 1868 roku dla J. G. Enge'go w Piechowicach, a w 1872 roku dla Heinricha Richtera w Miłkowie. Następne maszyny cieplicka firma skonstruowała po dziesięcioletniej przerwie, spowodowanej pierwszym od zjednoczenia Niemiec kryzysem gospodarczym. W 1882 roku powstały ciągi produkcyjne dla zakładu Bergera w Piechowicach oraz dla fabryki w Borowym Jarze (ob. część Jeleniej Góry). W tym samym czasie Füllner zdobył pierwsze zamówienia od producentów papieru spoza okręgu jeleniogórskiego; w 1882 roku wpłynęło do Cieplic zlecenie na budowę maszyny dla leżącej w dobrach kanclerza Niemiec, Ottona von Bismarcka, fabryki papieru w Kępicach na Pomorzu* – dodaje Maciej Szymczyk. W następnych latach wykonano kolejne maszyny dla kępickiej fabryki. Wysoka jakość świadczonych usług przyniosły Füllnerowi sławę, której efektem były liczne zamówienia z całych Niemiec.

Od 1884 roku współudziałowcem cieplickich zakładów stał się syn Heinricha, Eugen, który pięć lat później przejął ster zarządzania firmą. Zdaniem Macieja Szymczyka junior okazał się jeszcze lepszym przedsiębiorcą: *– Maszyny z Cieplic już na przełomie XIX i XX wieku stały się najważniejszym produktem eksportowym cieplickiego przemysłu. Kluczem do sukcesu Füllnera była jakość jego produktów, co dostrzegano na międzynarodowych*

Rozwój zabudowań zakładów Füllnera w Bad Warmbrunn: od 1854 do 1904 roku. 1854 (górny, lewy róg), 1880 (górny, prawy róg), 1894 (dolny, prawy róg). Ze zb. Pawła Kałafatiuka.

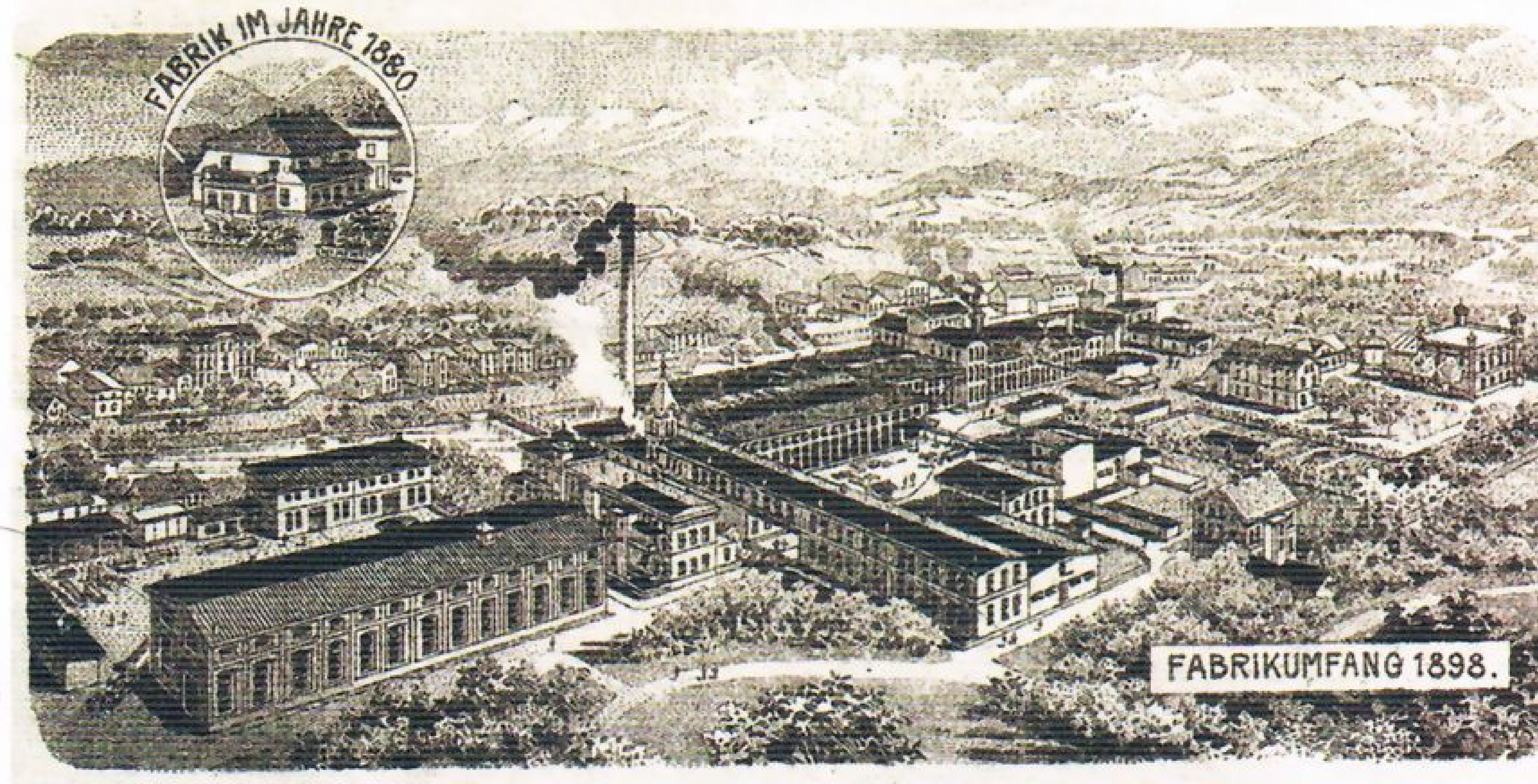

Panoramiczne zdjęcie fabryki maszyn papierniczych Füllnera z roku 1898. W lewym górnym rogu zabudowania z 1880 roku. Ze zb. Pawła Kałafatiuka.

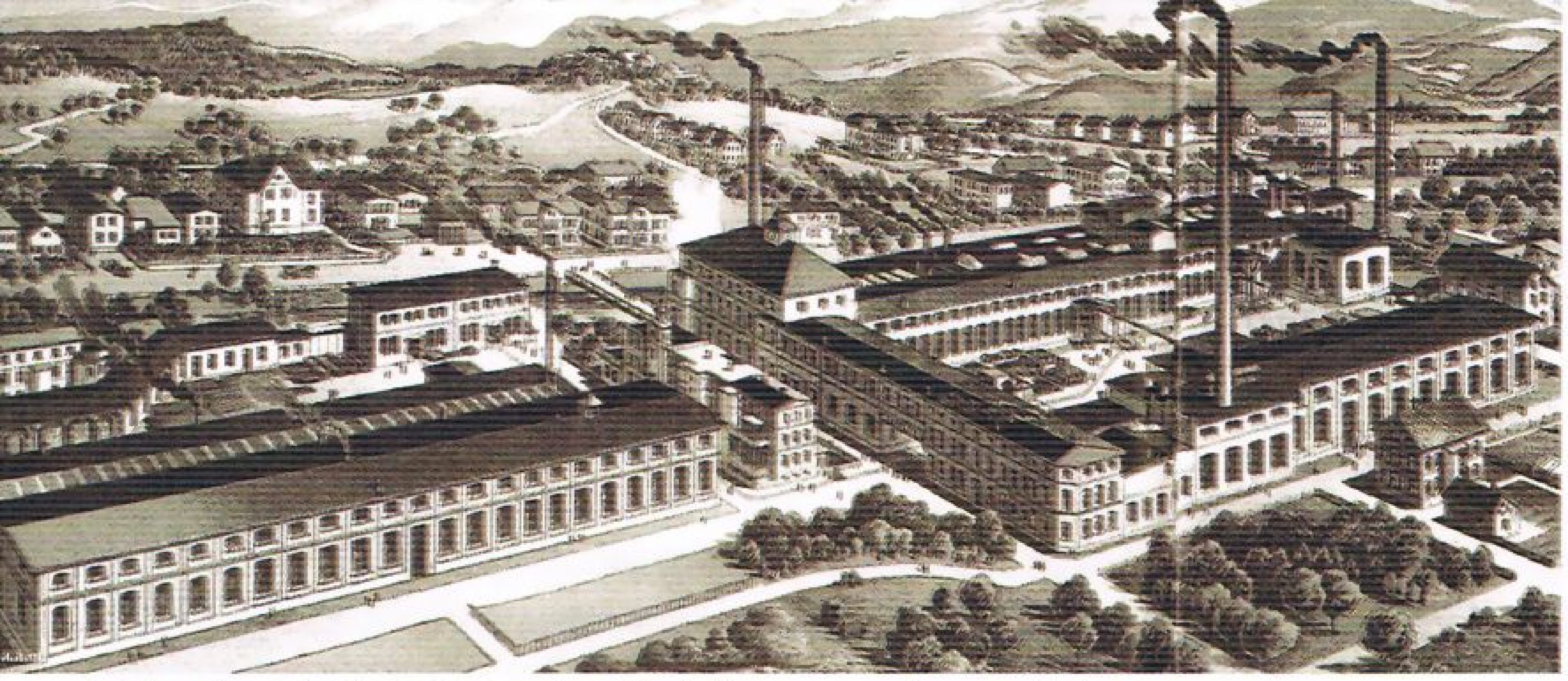

Fabryka około 1900 roku. Źródło: www.fotopolska.eu

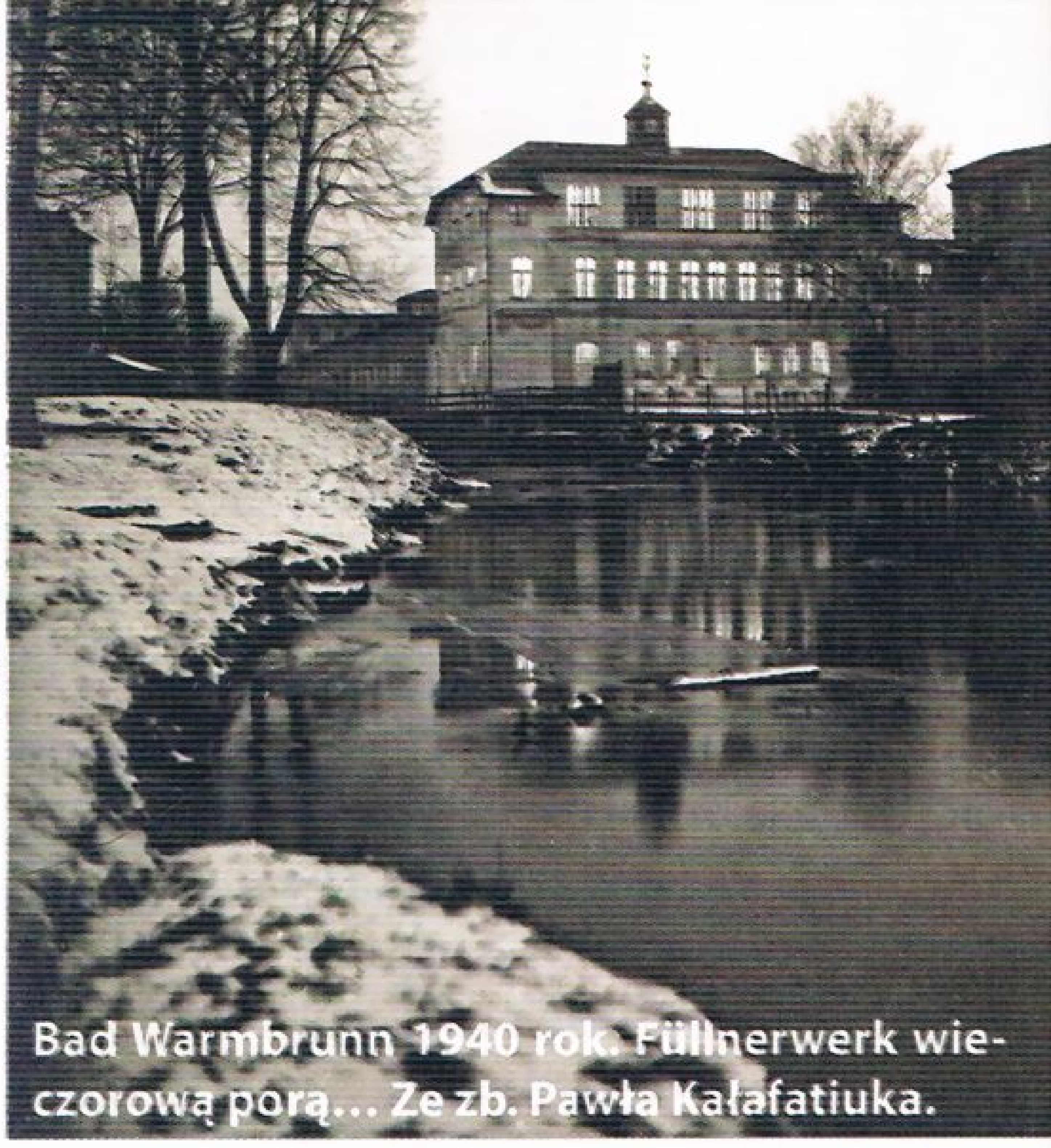

Bad Warmbrunn 1940 rok. Füllnerwerk wieczorową porą... Ze zb. Pawła Kałafatiuka.

wystawach: w 1897 roku w Lipsku cieplicka firma uzyskała złoty medal, trzy lata później w Paryżu Grand Prix i krzyż legii honorowej, w 1907 roku również w Paryżu Grand Prix, a w 1911 roku w Turynie kolejną Grand Prix. Osiągnięcia te rozsławiły fabrykę i otworzyły jej drogę do rynków na całym świecie. Jej urządzenia pracowały w Danii, Szwecji, Norwegii, Holandii, Belgii, w Austro-Węgrzech, Rumunii, Grecji, Francji, Wielkiej Brytanii, we Włoszech i w Rosji (w tym również na ziemiach polskich oraz na terenie Finlandii, która już wówczas stawała się europejską potęgą w dziedzinie papiernictwa). Na początku XX wieku firma spod Jeleniej Góry rozpoczęła eksport swych maszyn do obu Ameryk (Brazylia, Argentyna, Chile, Wenezuela, Urugwaj, Kanada) oraz do Azji (Chiny, Japonia).[1]

Doceniano nie tylko wyroby z Cieplic, ale także ich właściciela. W 1898 roku Eugen Füllner, za wkład w rozwój przemysłu budowy maszyn papierniczych, uzyskał tytuł Radcy Handlowego, a dwa lata później tytuł Radcy Handlowego Królestwa Prus. W 1904 roku otrzymał Czerwony Order Orła, zaś cztery lata później – Order Korony 3. klasy. Z kolei w roku 1913 Wyższa Szkoła Techniczna we Wrocławiu, za zasługi dla rozwoju techniki, przyznała mu tytuł doktora inżyniera. Właściciel zakładu maszyn papierniczych zyskał sobie szacunek i poważanie również w okolicy, i to nie tylko dzięki zatrudnianiu miejscowej ludności. Został zapamiętany jako filantrop, który stworzył dla swych pracowników: kasę mieszkaniową, fundusz ubezpieczeniowy dla poszkodowanych w wypadkach, zakładową kasę chorych oraz fundację, mającą na celu wybudowanie kolonii mieszkaniowej dla ponad 70 rodzin. Ponadto każda osoba po 20 latach pracy w firmie otrzymywała złoty zegarek, natomiast dla pracujących pięć lat dłużej przewidziano złoty łańcuszek. Z myślą o dzieciach swoich pracowników utworzył bibliotekę oraz przedszkole z placem zabaw. Był również fundatorem wielkiego parku, którego punktem centralnym był pawilon, wzorowany na obiekcie znajdującym się nieopodal Oslo (stąd obecna nazwa: Park Norweski).

Folder reklamujący największą na kontynencie maszynę papierniczą zakładu Füllnerwerk z 1930 roku. Ze zb. Pawła Kałafatiuka.

W 1908 roku cieplickie przedsiębiorstwo zatrudniało aż 600 robotników i pracowników administracyjnych. Pięć lat później wartość zakładów szacowano na ok. 6 mln marek! Wraz z upływem lat starzejący się i bezdzietny Eugen Füllner postanowił sprzedać swój zakład koncernowi maszynowemu „Linke-Hoffmann-Lauchhammer AG." z Wrocławia (1920 r.). Mimo przejęcia, zdecydowano się utrzymać uznaną nazwę cieplickiego przedsiębiorstwa. Nowe i zarazem trafne inwestycje doprowadziły w przeciągu kolejnych 9 lat do dalszego rozwoju firmy: budowy nowych hal i zwiększenia liczby pracowników do 1100 osób. Innowacyjne projekty wymagały nie tylko powiększenia biura konstrukcyjnego, lecz również zatrudnienia kolejnych inżynierów.

Tajna produkcja

W czasach wielkiego kryzysu cieplickie zakłady poradziły sobie tylko dzięki temu, że większość powstałych tutaj urządzeń wysyłano do wielu krajów na całym świecie. Ponieważ na początku lat 30. najwięcej maszyn oraz czę-

Folder reklamowy fabryki maszyn papierniczych. Rok 1928. Ze zb. Szymona Wrzesińskiego.

Ilustracja specjalistycznej maszyny do wyrobu papieru prezentowana na międzynarodowej wystawie w Lipsku w 1914 roku. Archiwum Deutschen Nationalbibliothek w Lipsku.

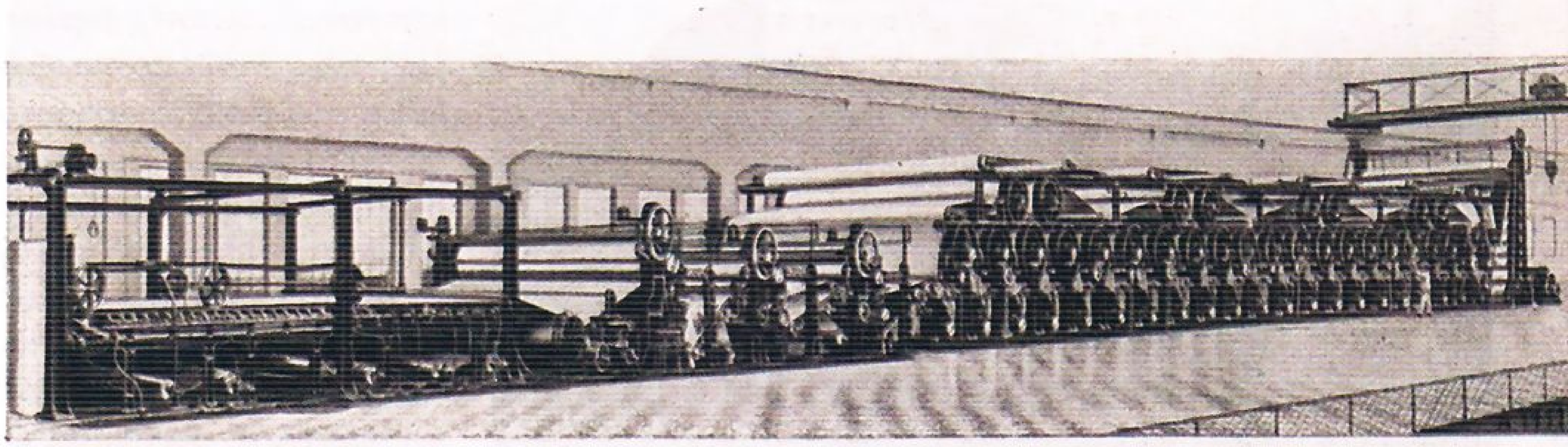

Papiermaschine, 5 Meter breit, 90 Meter lang, für eine Tagesleistung von 100 000 kg Druckpapier, ausgeführt vom Füllnerwerk, Bad Warmbrunn

Maszyna-gigant do wyrobu 9-kilometrowego pasa papieru na godzinę produkcji H. Füllnera. Lata 1910-1912. Ze zb. Szymona Wrzesińskiego.

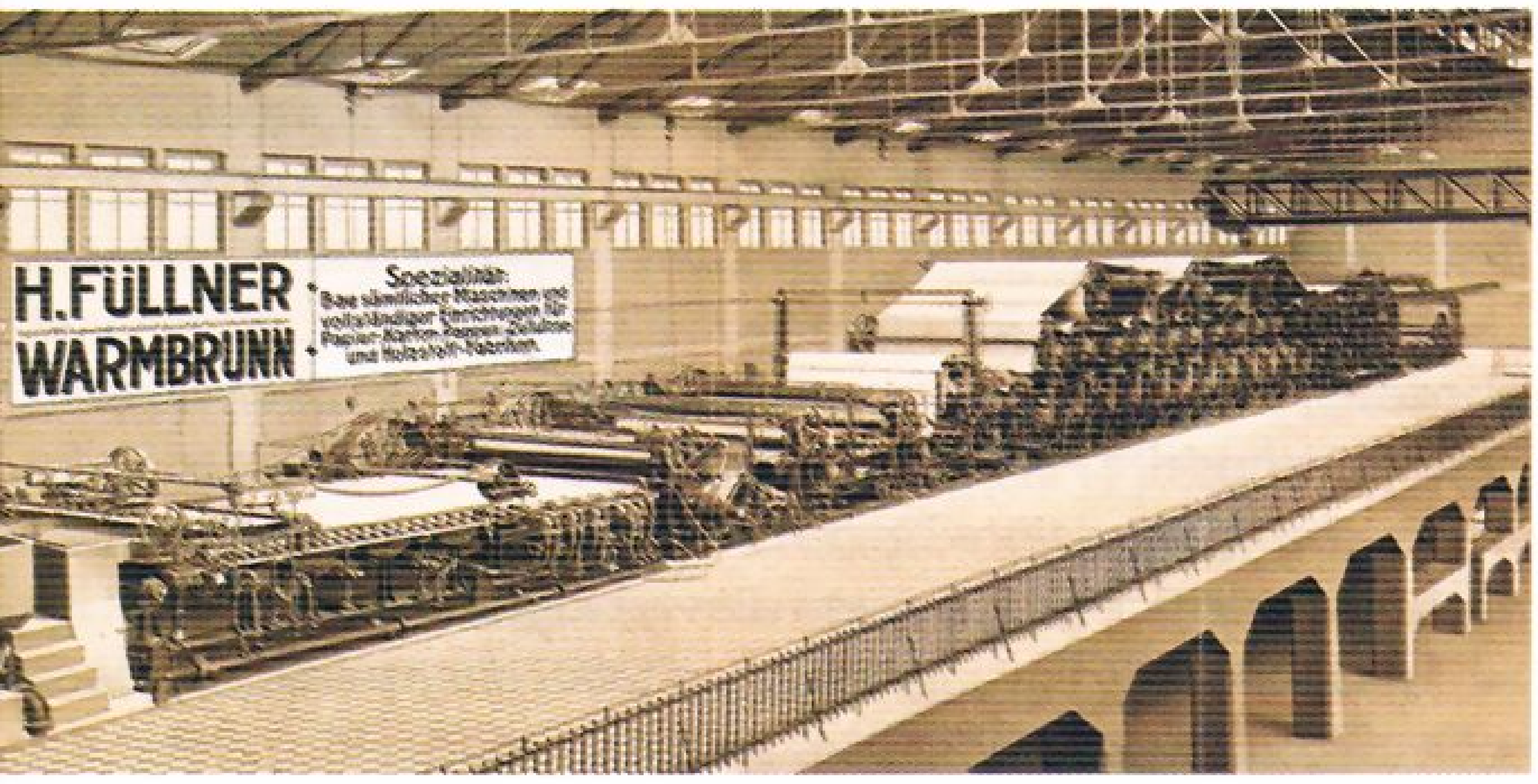

LINKE-HOFMANN-BUSCH-WERKE AKTIENGESELLSCHAFT

ABTEILUNG **FÜLLNERWERK, BAD WARMBRUNN** SCHLESIEN

Durch ständige Zusammenarbeit mit den Fachleuten der Papierindustrie hat das Füllnerwerk den maschinellen Teil der Papierfabrikation zu hoher technischer Vollkommenheit entwickelt und gleichzeitig das eigene Werk immer mehr vergrößert, so daß es mit der bisherigen Gesamtzahl von über 500 ausgeführten Papiermaschinen an erster Stelle des deutschen Papiermaschinenbaues steht. Fast alle

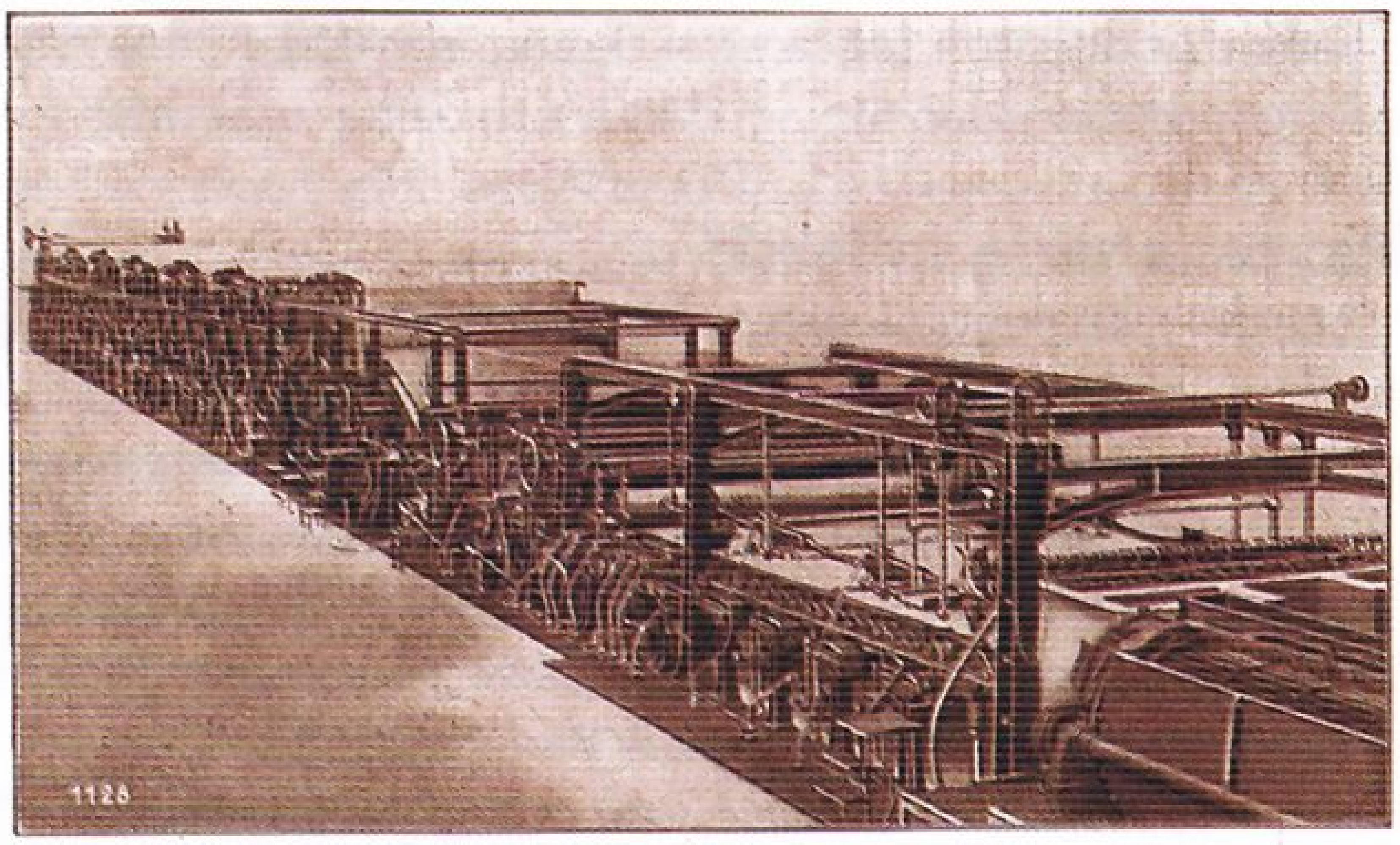

Größte Feinpapiermaschine Europas, 3650 mm breit, für Arbeitsgeschwindigkeiten von 20 bis 180 m in der Minute, ausgeführt vom Füllnerwerk, Bad Warmbrunn

Maszyna do wyrobu papieru wykonana przez Füllnerwerk, rok 1928. Ze zb. Szymona Wrzesińskiego.

ści trafiało do ZSRR, ochłodzenie stosunków po 1933 roku znacząco wpłynęło na kondycję firmy. Znikoma ilość zamówień z niemieckiego rynku szybko doprowadziła do radykalnych decyzji. Urządzenia z cieplickiej fabryki maszyn planowano sprzedać, bądź przetransportować, do wrocławskiej siedziby „Linke-Hoffmann-Busch-Werke AG.".

Trudną sytuację poprawiło znalezienie inwestora, którym okazała się inna firma wytwarzająca maszyny do wyrobu papieru: „Maschinenfabrik Wagner & Co." z Köthen w Saksonii-Anhalt. Po odkupieniu w 1934 roku „Füllnerwerk", w lutym następnego roku siedzibę firmy przeniesiono do Malinnika k. Cieplic. Wskutek dalszych przejęć rozmaitych zakładów – głównie właścicieli pochodzenia żydowskiego – oraz faktu, iż posiadaczem większości udziałów holdingu stał się Otto Dörries, w 1939 roku powstała nowa nazwa: „Maschinenfabrik Wagner-Dörries AG.". Po przyłączeniu wsi Malinnik do Cieplic, co miało miejsce 1 października 1941 roku, niejako automatycznie zmieniła się siedziba firmy. Częściowo wpłynęło to na decyzję o przemianowaniu spółki (1 lipca 1942 r.) na „Dörries-Füllner Maschinenfabrik AG., Bad Warmbrunn". Ponieważ wielu wykwalifikowanych, niemieckich pracowników wysłano na front, postanowiono skorzystać z innej siły roboczej. Pojawiające się w publikacjach wzmianki o powstaniu w Bad Warmbrunn obozu dla 200 więźniów już w 1939 roku, wydają się nieprzekonywujące.[2] Zapewne dotyczą obozu jenieckiego, bądź ulokowania tutaj cudzoziemców.

Pewniejsze przekazy pochodzą dopiero z czerwca 1944 roku, kiedy to w bezpośrednim sąsiedztwie hal produkcyjnych zaczęto tworzyć obóz, składający się z czterech lub pięciu baraków, zabudowań administracyjnych i płotu pod wysokim napięciem. Pierwsi więźniowie zatrudnieni w przestawionej na produkcję zbrojeniową fabryce budowy maszyn papierniczych, byli dowożeni z AL Hirschberg. Dopiero późną jesienią, po ukończeniu budowy obozu, osadzono w nim ok. 700 mężczyzn narodowości żydowskiej, pochodzących głównie z Polski i Węgier, ale także z Belgii, Holandii, Grecji i Czechosłowacji. Zarządzał nimi kilkunastoosobowy oddział SS, na czele z Lagerführerem węgierskiego pochodzenia nazwiskiem Szakacs.[3]

Głównym zadaniem więźniów z Bad Warmbrunn było wykonywanie tajnych zamówień dla armii niemieckiej. Zdaniem pracowników Muzeum KL Gross-Rosen w zakładach tych produkowano armaty lub ich części oraz amunicję. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że mogło chodzić o wytwarzanie jednego ze standardowych typów sprzętu niemieckiej artylerii polowej, a mianowicie, ciężkiej haubicy „schwere Feldhaubitze 18" (s.F.H.18). Jej produkcję seryjną rozpoczęto pod koniec 1933 roku i kontynuowano aż do zakończenia II wojny światowej. Zdaniem Mariusza Skotnickiego, kuratora Działu Historii Wojskowości z Muzeum Wojska Polskiego, początkowo omawiany typ haubic wytwarzały zakłady w Düsseldorfie, należące do firmy Rheinmetall-Borsig AG. Później jednak produkcję przeniesiono do innych zakładów: w Berlin-Spandau, Augsburgu, Dubnicy na Słowacji oraz Bad Warmbrunn. Innego zdania jest Jan Kosiński, który na podstawie materiałów zgromadzonych w Niemczech oraz bezpośrednich relacji z więźniami ustalił, iż więźniowie pracowali w miejscowych zakładach „Dörries-Füllner" przy produkcji silników samolotowych.

Transport elementu o szer. 4,8 m, wykonanego przez Füllnerwerk. 1938 rok. Źródło: www.fotopolska.eu

Jedno nie wyklucza drugiego, albowiem po przyłączeniu Malinnika w Cieplicach istniały bardzo duże zakłady. Brak szczegółowych danych odnośnie tajnej produkcji w Herischdorf wynika również z tego, iż pod koniec 1944 roku pracowali w zakładzie głównie jeńcy nieustalonej narodowości. Lakoniczne wzmianki z „Vojenský ústřední archiv" w Pradze mówią o dwóch oddziałach roboczych (komanda: 315 i 344). Miały one wchodzić w skład Stalagu VIII A z siedzibą w Görlitz.

Wizyta „anioła śmierci"

Niestety, szczegółowej informacji o tym, w której z hal wytwarzano haubice, bądź silniki do samolotów, nie znajdziemy nawet w opublikowanych wspomnieniach dawnego więźnia i zarazem lekarza obozowego, Arnolda Mostowicza („Żółta gwiazda i czerwony krzyż", Warszawa 1988). Pozostawił on jednak szereg cennych informacji odnośnie powstania i funkcjonowania obozu i jednej z fabryk w Bad Warmbrunn:

„Jeszcze w listopadzie 1944 roku pracujący na placu węglowym obok rampy [nieopodal „Schlesische Zellwolle"] *zauważyli kilka pieszych transportów ciągnących pod eskortą esesmanów drogą wiodącą z Jeleniej Góry do Cieplic. Były to transporty Żydów, o czym świadczyły żółte gwiazdy przymocowane do płaszczy. Więźniowie byli bowiem ubrani po cywilnemu, nie zdążyli jeszcze nałożyć obozowych pasiaków. Niektórzy z nich trzymali w rękach podręczne walizki. Wkrótce okazało się, że byli to Żydzi z zachodu. Z Belgii, Holandii. (...) W Cieplicach nie było wówczas żadnego obozu. Dla nowo przybyłych wybudowano odpowiednie bloki, a resztą organizacji zajął się obóz macierzysty w Jeleniej Górze. Posłano więc z Jeleniej Góry do Cieplic niezbędnych fachowców – kilku kapo, paru szefów bloków, dentystę, kucharza. Pomoc medyczną miał zapewnić dentysta oraz dwóch pielęgniarzy. (...) Nowy więzień zapisany był w specjalnej kartotece (...), gdy umierał, zanim zwłoki kierowano do palenisk kotłowni fabrycznej, dentysta zobowiązany był wyłamać (...) części szczęk górnych i dolnych wraz ze złotem do nich przymocowanym. (...)* [Kiedy zaatakowała epidemia tyfusu] *umarł ów dentysta, poszukiwacz złota dla SS (...)* [oraz] *jeden z pielęgniarzy".*

W lutym 1945 roku „służbę medyczną" zastąpili Arnold Mostowicz oraz Emil Vogel, lekarz z Pragi: *„Więźniowie w Cieplicach pracowali w* [dawnej] *fabryce maszyn papierniczych. Było ich tutaj około siedmiuset. Chodziło do pracy nie więcej niż trzystu. Reszta bądź chorowała, bądź znajdowała się w stanie takiego osłabienia po przebytej chorobie, że o pracy nie było mowy. (...) Wszystkich pięć bloków zbudowanych było identycznie. W każdym z nich po dwóch stronach schodów, na parterze i na piętrze, mieściły się dwie większe sale oraz po kilka zupełnie niewielkich izdebek. W każdej z większych sal znajdowało się około dwudziestu podwójnych, to jest piętrowych prycz. (...) Na niektórych siennikach leżeli po dwóch. (...)* [Podobnie jak lekarze obozowi] *kapo przysłany był z Jeleniej Góry. Nazywał się Chmielnicki*[4] *i pochodził z Paryża. W obozie jeleniogórskim było to sadystyczne bydlę, znęcające się nad więźniami bez żadnego powodu. Nawet Niemcy tyle od niego nie wymagali (...).*

Po zakończeniu [kwarantanny szpitala] *i dezynsekcji (...), obóz w Cieplicach odwiedziła wysoka komisja dowódcza SS. (...) Ponurej pikanterii temu wydarzeniu dodawał fakt, że na czele tej komisji stał sam doktor Mengele. Był to początek marca 1945 roku. (...)* [Dziwiono się, że] *oto komisja SS odwiedza, gdzieś na Dolnym Śląsku, maleńki obóz, w którym zaobserwowano jakąś epidemię. Wizytuje go z całą powagą, jak gdyby wszystkie inne sprawy Trzeciej Rzeszy funkcjonowały* [pod koniec wojny] *bez zakłóceń. W każdym razie (...), Mengele w otoczeniu kilku oficerów SS wjechał z całą pompą do obozu, przez bramę (...),* [po czym udał się do obozowego szpitala]. *Wszystko odbywało się kulturalnie i elegancko, jak to między dżentelmenami, gdy oto przy wejściu do sali kilka dni wcześniej zdezynfekowanej, a teraz wietrzonej – katastrofa! I to jaka! Zza drzwi wypadają w stanie daleko posuniętego rozkładu jakieś zwłoki. Zapomnieli o nich, likwidując w początkach choroby więźnia wszystkie tego rodzaju schowki* [będące niejako izolatkami]. *No i trup dosłownie zwalił się na niego, który uchylał drzwi wiodące do sali. (...) Oprowadzający komisję Emil Vogel, o mały włos nie zginął, gdy esesman sięgnął natychmiast po pistolet, by go zastrzelić. (...) Na szczęście ktoś esesmana powstrzymał (...). Czy Mengele ochłonął po drodze z wściekłości, czy też widok umierającego chorego* [innego lekarza obozowego] *tak podziałał, dość, że były naczelny lekarz Auschwitz machnął tylko ręką i wyszedł z sali. Komisja oglądnęła sobie resztę kwarantanny, pomówiła z miejscowymi esesmanami, wydała jakieś polecenia, których nikt nie zamierzał* [już w tym okresie] *wykonać, i pojechała. (...)* [Wkrótce potem chorym] *przekazywano ostatnie wiadomości z frontów. Esesmani coraz panicznej bali się likwidacji obozu. Epidemia zaś rzeczywiście zaczęła wygasać. Wprawdzie z ośmiuset więźniów pozostało przy życiu nie więcej chyba jak czterystu, ale przecież wychodzili oni do pracy i, jak się okazało, pomagali przy wywożeniu maszyn fabrycznych w głąb Niemiec. Trudno zresztą po-*

Zakłady Füllnerwerk posiadały nawet własną straż pożarną. Ze zb. Pawła Kałafatiuka.

wiedzieć dokąd (...). Z początkiem kwietnia – spadła na nich hiobowa wieść (...), władze zdecydowały, że obóz w Cieplicach trzeba jednak ewakuować" – wspominał Arnold Mostowicz.

Co ciekawe, polscy badacze przytoczyli rozmaite, nie zawsze spójne ze sobą, dane o końcu istnienia tego obozu. Jan Kosiński stwierdził jedynie, że „filię wyzwoliła Armia Czerwona w końcu kwietnia 1945 roku". Natomiast Mieczysław Mołdawa – autor monografii poświęconej KL Gross-Rosen i jej filiom, pisał przed laty, że obóz *„wyzwolono tuż przed zakończeniem wojny, po uprzedniej ewakuacji do zgrupowania kompleksu »Riese« pod Wałbrzychem"*. Te ostatnie stwierdzenie pokrywa się z nowszymi badaniami Barbary Sawickiej, kierownika Działu Naukowo-Badawczego Muzeum Gross-Rosen:

„Pierwszą próbę ewakuacji podjęto w lutym 1945 roku. Grupę ok. 100 więźniów wyprowadzono z obozu w kierunku południowo-zachodnim i doprowadzono do Greiffenberg (ob. Gryfów Śl.). Po mniej więcej dwóch dniach, tych, którzy przeżyli ten wyczerpujący marsz, przygnano z powrotem do obozu w Bad Warmbrunn. W połowie kwietnia większość więźniów ewakuowano do kompleksu AL Riese".[5] Znacznie dokładniej ujęła to dr Dorota Sula z Muzeum Gross-Rosen. Ustaliła bowiem, że w dniach 14-16 kwietnia, 273 więźniów skierowano do AL Dörnhau. Obóz w ob. Kolcach pełnił wówczas funkcję centralnego rewiru dla kompleksu „Riese". Oficjalnie działał tutaj szpital obozowy, lecz w rzeczywistości była to „umieralnia", w której od 18 marca 1945 do 22 maja 1945 roku zmarło niemal tysiąc więźniów!

Na podstawie: Sz. Wrzesiński i K. Urban „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej" (w druku, Agencja Wydawnicza CB z Warszawy).

Autor dziękuje Pawłowi Kałafatiuk za udostępnienie swych zbiorów ikonograficznych.

Przypisy;

[1] M. Szymczyk, „Półtora wieku tradycji budowy maszyn papierniczych w Jeleniej Górze-Cieplicach" [w:] „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki", nr 51/3-4 z 2006, s. 213

[2] M. Szymczyk, tamże, s. 213

[3] Barbara Sawicka podaje liczby: od 600 do 800. Wspomniany Lagerführer Szakacs zmarł podczas szalejącej w obozie epidemii tyfusu plamistego, nazwiska jego następcy nie ustalono. Por. „Filie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Informator", praca zbiorowa, Wałbrzych 2008, s. 9

[4] Zdaniem Arnolda Mostowicza po wojnie Chmielnicki wrócił do Paryża. Wkrótce stanął przed sądem, który skazał go na śmierć.

[5] Cyt. za: Filie obozu... s. 9

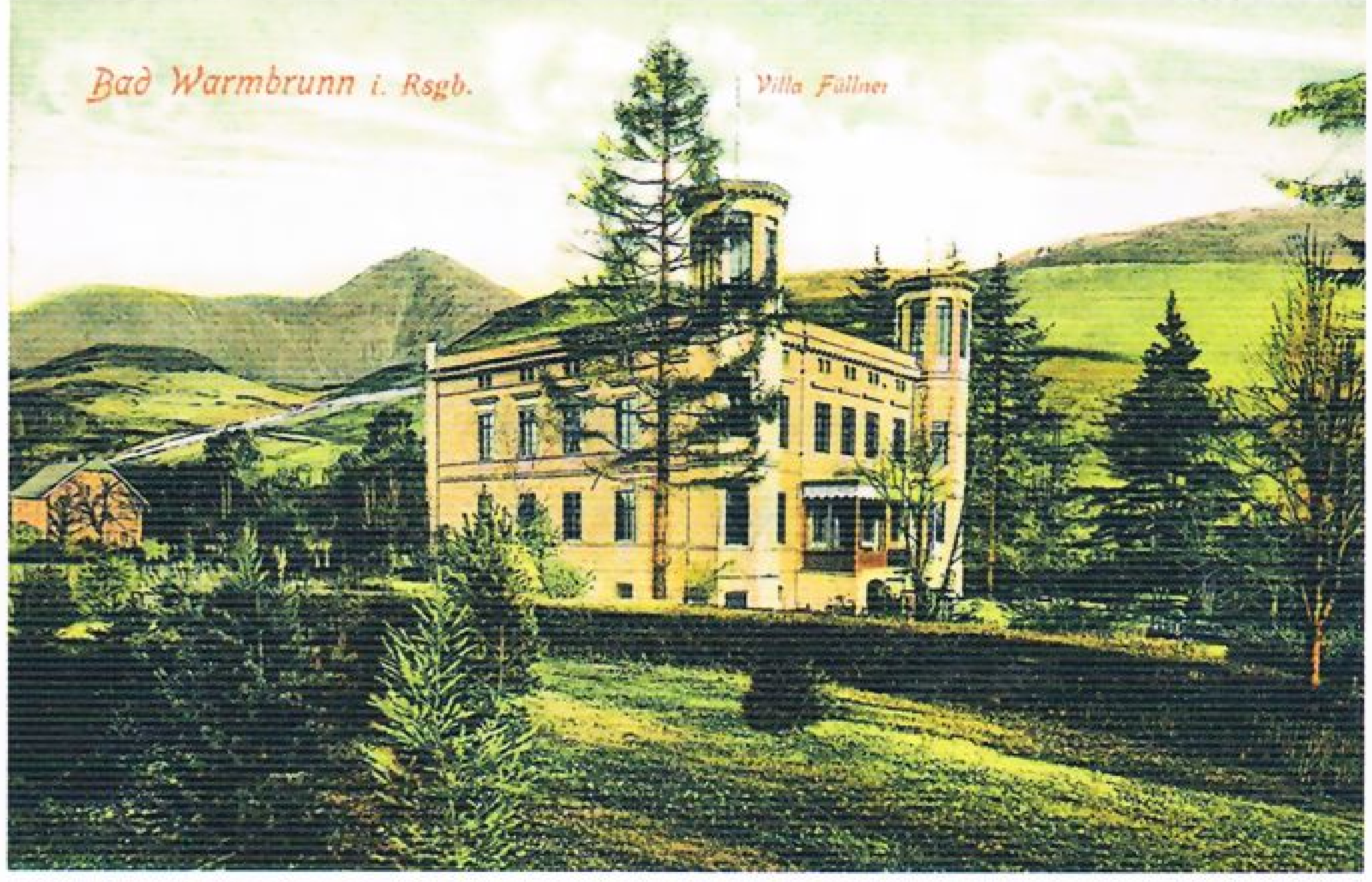

Willa właściciela Füllnerwerk w Bad Warmbrunn. Ze zb. Pawła Kałafatiuka.

Literatura:

1. „Das Füllnerwerk in Bad Warmbrunn" [w:] E. Stein, „Die Riesengebirgstreife", Berlin-Freidenau 1928
2. „50-jahriges Berufsjubilaum des Herrn Geheimen Kommerzienrat Dr.-Ing. Füllner in Warmbrunn" [w:] „Der Papier-Fabrikant", nr 15 z 1919 r.
3. C. Joppich, W. Schülte, „H. Füllner, „Maschinenbauanstalt" [w:] „Der Papier-Fabrikant", nr 25 z 1908 r.
4. J. Kosiński J., Niemieckie obozy koncentracyjne i ich filie, Stephanskirche 1999.
5. M. Mołdawa, „Gross-Rosen", Warszawa 1980
6. „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945", Warszawa 1979
7. M. Szymczyk, „Półtora wieku tradycji budowy maszyn papierniczych w Jeleniej Górze-Cieplicach" [w:] „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki", nr 51/3-4 z 2006.

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy" ukazały się:

» cz. 1 „Więźniowie z Gebhardsdorf ", nr 3/2015,

» cz. 2 „Więźniowie z Hirschberg im Riesengebirge", nr 4/2015.

Szymon Wrzesiński

Historyk, autor książek: „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku. Indoktrynacja–Siedziby–Poświęcenie"; „Zamek Książ – legenda III Rzeszy"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki". Kontakt: Sz_Wrzesinski@wp.pl

REKLAMA

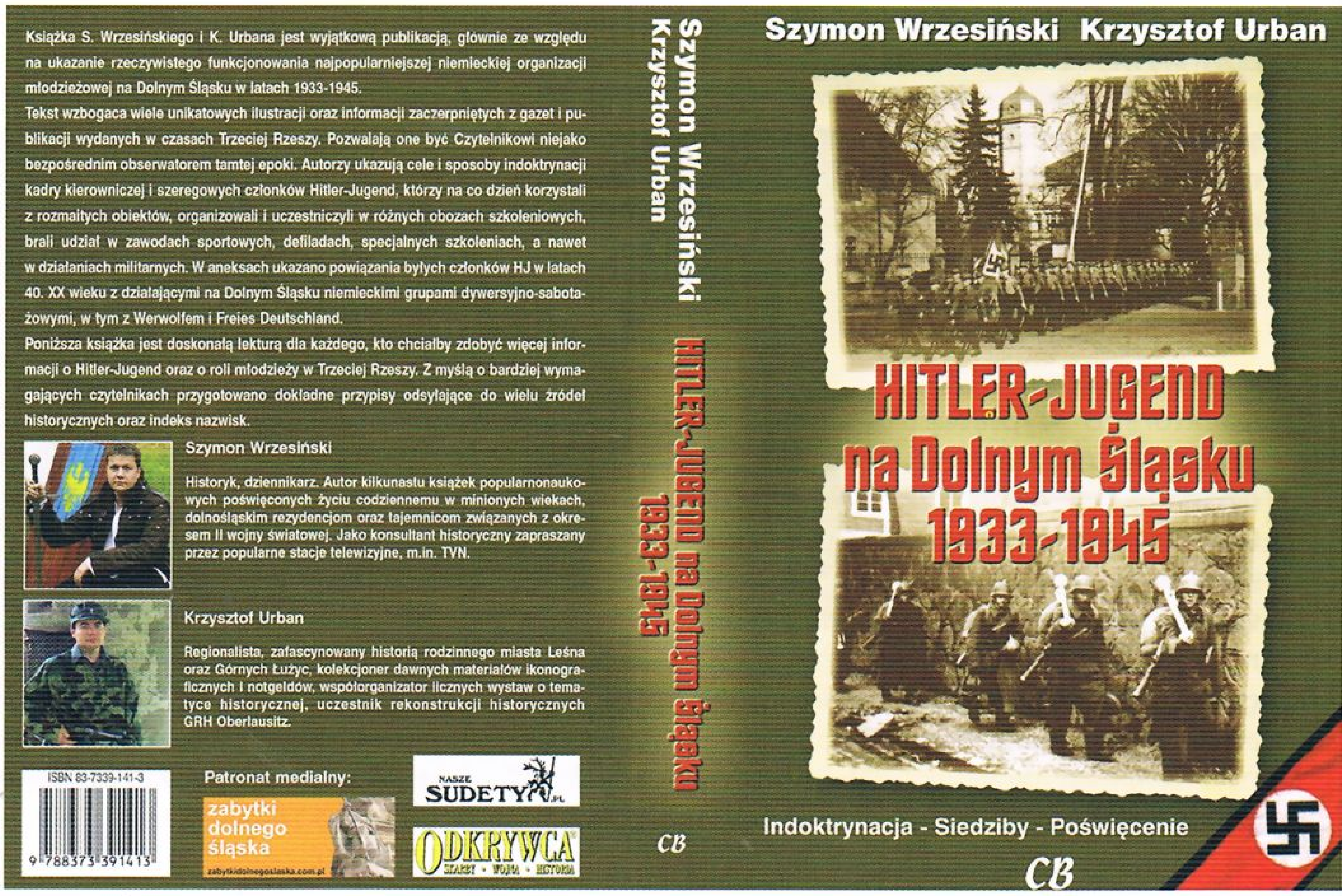

Klisze Hitlerjugend

MACIEJ BARTKÓW

11 września 1984 roku Wydział II Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Jeleniej Górze uzyskał potwierdzoną informację, wedle której trzy dni wcześniej z terenu Republiki Federalnej Niemiec do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wyjechała wycieczka złożona z 39 osób. Przewodnikiem wycieczki zostać miał dr Gunter Granicky, lecz w pozyskanej informacji to nie jego osoba wzbudziła zainteresowanie kontrwywiadu. Jak ustalono, wśród zachodnioniemieckich turystów znajdować się miało kilku byłych członków organizacji „Hoherhaus", zajmującej się w okresie III Rzeszy szkoleniem kadr dla organizacji Hitlerjugend.

Jak wynikało z posiadanych przez funkcjonariuszy informacji, uczestnicy wycieczki zamierzali na terenie miejscowości Mirsk podjąć poszukiwania archiwum wspomnianej organizacji, które miało zostać ukryte tam w 1945 roku. Miał się na nie składać bogaty zbiór fotografii wykonanych podczas II wojny światowej, na których uwieczniono m.in. żołnierzy, członków HJ, obiekty militarne i widoki dolnośląskich miast. Szkopuł jednak w tym, iż pomimo konsekwentnego używania nazwy „Hoherhaus", we wszystkich dokumentach peerelowskich służ specjalnych, taka organizacja nigdy nie istniała…

Czyżby więc doniesienie było nieprawdziwe, a sprawa wyssana z palca?

Oczywiście nie, wyjaśnienie tej zagadki jest bowiem banalnie proste, a jest nim zwykła literówka. Pozornie nic nie znaczący fakt pisarskiej omyłki, w tym akurat przypadku, sprawił, iż ludowi wywiadowcy w ramach rozpoczętej przez siebie Sprawy Operacyjnego Sprawdzenia o kryptonimie „Fotograf", poczęli tropić członków grupy, której nazwę sami stworzyli.

Mirsk, miasteczko do którego wyprawę podjęli byli nazistowscy działacze Hitlerjugend, to miejscowość położona w Dolinie Bobru, w południowo-zachodniej części dzisiejszego woj. dolnośląskiego, a w czasach opisywanych wydarzeń, woj. jeleniogórskiego. W jego pobliżu leżą m.in.: Świeradów-Zdrój, Gryfów Śląski, Lubań i Lwówek Śląski. I to w tym ostatnim mieście szukać musimy rozwiązania zagadki „Hoherhaus".

W roku 1905 w niemieckim Löwenberg (Lwówku Śląskim) w wyjątkowo uroczysty sposób oddano do użytku nowy, przebudowany Ratusz Miejski. Z zachwytem komentowano efekty pracy, wybitnego architekta, Hansa Poelziga. Pośród osób, którym jego dzieło przypadło do gustu najbardziej, było małżeństwo Elisabeth i Maxa Zwirnerów, bogatych lokalnych aptekarzy. Zauroczeni talentem Poelziga postanowili, iż on właśnie zaprojektuje dla nich nowy dom, o jakim myśleli już od dawna. Budowa okazałej rezydencji zakończona została w roku 1910, a budynek niemal natychmiast zyskał miano Domu Zwirnera (Zwirner Haus). Według podawanych przez Szymona Wrzesińskiego i Piotra Popławskiego w książce „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki"[1] informacji, siedziba Zwirnerów służyć miała nie tylko rodzinie aptekarzy. W roku 1914 utworzono w niej zakład, w którym zapewniano ubogim chłopcom dach nad głową i wyżywienie. 12 lat później, w 1926 r., w tym właśnie miejscu utworzono ośrodek młodzieżowy organizacji Schlesischen Jungmannschaft. Od tej chwili dom zyskał nową nazwę – Boberhaus. W 1936 r., w miarę umacniania się narodowych socjalistów, „Dom nad Bobrem" przekazano w zarząd Hitlerjugend. Od tej chwili pełnił funkcję jednego z wielu schronisk tej organizacji.

To do tego właśnie ośrodka HJ część byłej kadry wykładowczej, wg informacji pozyskanych przez Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Jeleniej Górze, miała wybierać się w znanym już funkcjonariuszom celu.

Jednakże Niemcy nie wiedzieli tego, o czym od przeszło dwóch lat doskonale wiedziała dolnośląska bezpieka…

Na przełomie stycznia i lutego 1982 r. Wydział II jeleniogórskiego WUSW uzyskał operacyjną informację, iż jeden z mieszkańców Lubania przekazał do wywołania kierownikowi pracowni fotograficznej MDK w tym mieście 15 szklanych negatywów, na których widoczne były obiekty oznakowane symbolami hitlerowskimi. W toku podjętych działań wyjaśniających, funkcjonariusze Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lubaniu przechwycili nazistowskie artefakty, ustalając jednocześnie miejsce ich pochodzenia. Jak się okazało, fotograficzne archiwum spoczywało na strychu przedszkola Zakładów Przemysłu Lniarskiego w Mirsku, a odnalezione zostało przypadkiem przez trzech robotników, podczas wykonywanych przez nich prac remontowych. Ustalono także, iż zarekwirowane negatywy są jedynie częścią całości, a cała walizka, zawierająca co najmniej kilkanaście pudełek z negatywami, pozostać miała na strychu. Ze względu jednak na inne działania, jakimi zaprzątnięci byli dol-

Obóz Służby Pracy 3/105 „Eduard von Fransecky" w Neuvorwerk, dzisiejsze Pogorzele.

nośląscy esbecy („pierwsze dni stanu wojennego" – jak tłumaczono w jednym z dokumentów) oraz faktem opuszczenia Lubania przez innego z pracowników remontujących ówcześnie strych przedszkola, odstąpiono od kompleksowego rozpoznania sytuacji. Do ponownego zajęcia się sprawą zmusiła funkcjonariuszy informacja o zmierzających do Polski „rewizjonistach" z RFN. Wówczas to wypadki potoczyły się błyskawicznie.

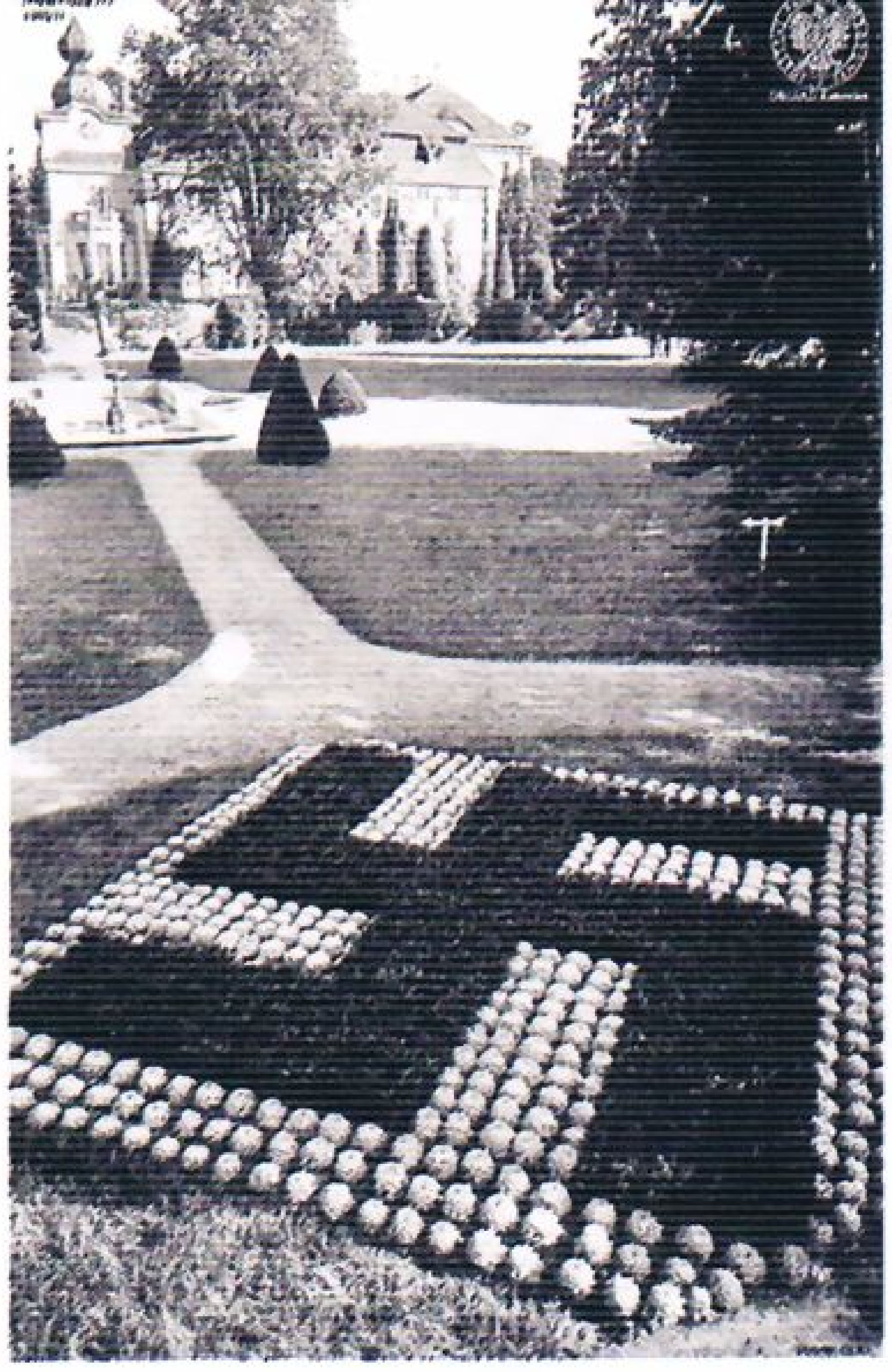

Pałac w Halbau, dzisiejszej Iłowie.

Strzegom, wieża ratuszowa.

11 września 1984 r., a więc już w dniu uzyskania informacji o wyjeździe wycieczki do Polski, do Mirska udają się: mł. chor. Lucjan Popek i ppor. Ryszard Replin – funkcjonariusze SB w Lubaniu. Na miejscu spotykają się z kierowniczkami żłobka i przedszkola miejscowych Zakładów Przemysłu Lniarskiego. Jak relacjonują następnie w notatce służbowej:

„Żadna z nich dotychczas nic nie słyszała o ukrytych dokumentach. Obie stwierdziły, że rozmawiali z nimi pracownicy SB w Jeleniej Górze około 2 lata temu. Obie kierowniczki zobowiązały się nie dopuścić do tego, by jakakolwiek osoba, a szczególnie obcokrajowiec, próbowała zabrać jakiekolwiek dokumenty lub przedmioty. Zobowiązały się również pouczyć personel, aby natychmiast zgłaszać o próbach szukania czegokolwiek w ich obiektach".[2]

W mirskim przedszkolu obydwaj funkcjonariusze, tym razem w towarzystwie sierż. Mirosława Tarpiłowskiego, pojawiają się ponownie już trzy dni później. Po krótkiej rozmowie z kierowniczą przedszkola, Kingą Koryś, udają się prosto na strych, gdzie odnajdują walizkę, w której to: *„między innymi znajdowały się leżące w nieładzie szklane negatywy. Część z nich była rozbita. W trakcie ich pobieżnego przeglądania, znaleziono również kartkę papieru, na której było napisane dziecinnym pismem: »182 zdjęć na szkle«".*[3]

Jak się okazuje, pismo to znane jest kierowniczce placówki przedszkolnej. Jest pewna, iż jest to pismo jej syna Mariusza, odbywającego aktualnie zasadniczą służbę wojskową w jednostce wojskowej w Żaganiu. Podkreśliła jednocześnie, że do chwili obecnej nie miała żadnej świadomości faktu, iż na strychu przedszkola znajduje się walizka z negatywami. W porozumieniu z nią obecni na miejscu esbecy, postanawiają, iż w miejscu odnalezionych negatywów pozostawią starą walizkę wypełnioną różnymi, bezwartościowymi papierami. Natomiast zadaniem kierowniczki i personelu przedszkola będzie stała jej obserwacja. W momencie, gdy ktokolwiek, a szczególnie obcokrajowcy, będzie się nią interesował, ich rolą jest natychmiastowe skontaktowanie się z nimi pod specjalnym numerem telefonu. Oczywiście postanowiono również, jak najszybciej przesłuchać syna szefowej placówki. Przedmiotem rozmowy miało stać się dokładne ustalenie okoliczności znalezienia przez niego przechwyconych właśnie negatywów.

Do rozmowy tej doszło już 17 września. W jej wyniku ustalono, iż szeregowy Mariusz Ż. walizkę z negatywami otrzymał dawno temu od swojej koleżanki, Jolanty B., także zamieszkałej w Mirsku. W tym czasie miał ok. 11 lat, dlatego też nie pamięta dokładnie tego zdarzenia. Nie pamięta także, w jaki sposób w posiadanie tajemniczej walizki wejść mogła Jolanta B.

„Z tego co sobie przypomina, to negatywy te znajdowały się w poniemieckim budynku, w którym zamieszkali rodzice B. Jego, jako rówieśnika Jolanty, zainteresowały te negatywy i w drodze wymiany otrzymał je od niej. Były one spakowane w pergamin i ułożone w kartonowych pudełkach. Interesował się nimi dość krótko, a następnie, po złożeniu w walizce, wyniósł na strych. (…) Dokładnie nie wiedział, ile było negatywów. Po okazaniu znalezionej w walizce kartki papieru z napisem »182 zdjęć na szkle« poinformował, że jest to napis sporządzony przez niego. Dotyczy tych właśnie negatywów i było ich tyle, ile napisał. Jednocześnie nie wie, co dokładnie uwidocznione było na tych negatywach. Przypomina sobie, że byli tam żołnierze niemieccy, budynki przypominające koszary, widoki miast i inne. Najbardziej utkwił mu w pamięci widok przedstawiający koszary z dużą ilością dział. (…) Dodał, iż nie jest w stanie podać, czy obywatelka B. posiada jeszcze podobne negatywy, ponieważ tą sprawą nie interesował się więcej, a z wymienioną nie utrzymuje kontaktów od chwili ukończenia szkoły podstawowej, do której razem uczęszczali. Poinformował również, iż nie przypomina sobie, by ktoś z cudzoziemców odwiedzał ich lub poszukiwał wspomnianych negatywów".[4]

20 września znani nam już: mł. chor. Popek, sierż. Terpiłowski i ppor. Repin odwiedzają byłą szkolną koleżankę szeregowego Ż., Jolantę B., i przeprowadzają rozmowę, w której udział bierze także mama Jolanty, Stefania B. To ona właśnie przekaże szczegóły, które dla sprawy fotograficznego archiwum okażą się najistotniejsze. W trakcie rozmowy Stefania B. poinformowała, że w budynku, w którym zamieszkuje, w okresie II wojny światowej znajdował się duży, posiadający własne laboratorium, zakład fotograficzny, w którym zatrudnionych było około 30 osób.

„Nieznany jej właściciel zakładu był, według niej, powiązany z niemieckim wywiadem wojskowym. Posiadał do swej dyspozycji samolot i zajmował się wykonywaniem na zlecenie władz niemieckich zdjęć dokumentalnych. W 1945 roku budynek wraz z laboratorium został przekazany przez nieustalonego generała Armii Radzieckiej – komendanta miasta – teściowi Stefanii B., który aktualnie nie

żyje. W laboratorium, według oświadczenia Stefanii B., znajdował się duży zbiór płyt negatywowych, a ponadto taśm filmowych, w tym duża ilość mikrofilmów. Z tego co zdążyła zapamiętać, na mikrofilmach były sfotografowane różnego rodzaju obiekty hitlerowskie oraz osoby, w tym wojskowi. Na taśmach filmowych były między innymi fotografowane dokumenty z tekstem w języku niemieckim, których treści nie zna, gdyż nie zna języka niemieckiego. Wszystkie negatywy były opisane i skatalogowane. Znajdowały się też księgi w języku niemieckim oraz inne dokumenty. Wszystkie negatywy były poukładane starannie i opakowane w celofanie i pudełkach".[5]

Teść Stefanii B. przejął zakład fotograficzny, był bowiem z zawodu fotografem. Wraz z nim przejął laboratorium, wyposażenie oraz cały zbiór wymienionych powyżej materiałów. W zakładzie pozostał także były pracownik tegoż z czasów niemieckich, Niemiec o nazwisku Fleszker lub Pleszker. Pozostawał on w Polsce do roku 1959, kiedy to wyjechał na stałe do RFN. Wiele wskazuje na to, że został on w Mirsku nieprzypadkowo... Przed swoim wyjazdem bowiem wykopał spod jednego z drzew owocowych, rosnących w ogrodzie przy posesji, pistolet oraz kilka innych przedmiotów. Przy tej pracy nakrył go jednak teść Jolanty B., który wykopane rzeczy mu odebrał. Następnego dnia rano, już po wyjeździe swego niemieckiego pracownika, nowy właściciel zakładu fotograficznego znalazł w swoich drzwiach kopertę, a w niej zdjęcie. Ze zdumieniem stwierdził, iż widnieje na nim Herr Fleszker (Pleszker) dumnie prezentując się w mundurze... SS-mana. Na odwrocie przeczytał adnotację, iż zemsta go nie ominie. Spokojny, jak się wydawało Niemiec, obiecał, iż jeszcze wróci do tego domu i to w mundurze, w jakim prezentowało go pozostawione zdjęcie.

Zakład fotograficzny teść Jolanty B. prowadził aż do śmierci. Następnie pracownię przejął jego syn Zygmunt.

„Do śmierci Ob. B. nikt nie naruszał zbioru dokumentów pozostawionego przez Niemców. Dopiero po jego śmierci część zbioru przeszła w ręce ks. Kielara /obecnie proboszcza parafii we Wschowej k. Nowej Soli/. Część zabrał ob. Braun – był nauczycielem w Liceum Ogólnokształcącym w Mirsku, (...) który najbardziej interesował się negatywami i dokumentami. Część negatywów córka Stefanii B. przekazała swoim kolegom i koleżankom, w tym Mariuszowi Ż. Na początku lat 70-tych podczas rozbiórki zakładu, którą wykonywała Stefania B. wraz ze swym konkubinem, niemal wszystkie dokumenty i negatywy, na dwóch przyczepach, wywieziono na śmietnisko między Mirskiem a Giebułtowem. (...) Podczas wizyty u rodziny B. znaleziono część negatywów oraz jedno zdjęcie, które dobrowolnie oddali, nie żądając pokwitowania. (...) Stefania B. oraz jej córka oświadczyły, że w wyniku nieznajomości wagi posiadanych dokumentów i negatywów, dopuściły do zniszczenia większości.[6]

Trzy dni później przeprowadzono jeszcze rozmowę z mężem Jolanty, Zdzisławem W., który powiedział m.in. że:

„Na terenie Mirska zamieszkuje od października 1983 roku. W pomieszczeniach na terenie posesji widział szklane negatywy fotograficzne, jednak skąd pochodzą, to wie z opowiadań żony i teściowej. (...) Poinformował, że istnieje na terenie posesji tunel /podziemne przejście/, który ma prowadzić do ratusza. Słyszał to od teściowej. Obecnie, prowadzące do niego drzwi są zamknięte na kłódkę, a teściowa nie pozwala tam wchodzić z obawy na możliwość zasypania. Jednocześnie zobowiązał się do spenetrowania strychu i piwnicy, celem odszukania pozostałości po archiwum, oraz zorientować się, kto w przeszłości nim się interesował".[7]

W wyniku przeprowadzonych działań operacyjnych WUSW w Jeleniej Górze udało się przejąć dalszych 165 szklanych negatywów, zawierających zdjęcia m.in.: Lwówka Śląskiego, Legnicy, Strzegomia, Jawora czy Kowar.

„Szereg obiektów i miejscowości nie rozpoznano. Wiele obiektów ma charakter typowo wojskowy /jednostki, pojazdy, obozy itp./ Ponadto na zdjęciach utrwalonych jest szereg nn. osób, w tym: osoby cywilne, kolejarz w mundurze polskim, żołnierze w mundurach polskich, żołnierze hitlerowscy itp. (...) Aktualnie możliwe jest odnalezienie jedynie pojedynczych egzemplarzy negatywów lub pudełek, znajdujących się u różnych osób, na co ukierunkowano obecnie nasze działania. Wstępna analiza uzyskanych materiałów fotograficznych wskazuje, iż mają one bardzo szeroki i zróżnicowany charakter, a wykonać je mogła osoba, lub grupa, o szerokich uprawnieniach i możliwościach technicznych w latach 1936-1944".[8]

Zawartość fotograficznego archiwum była wykorzystywana w kilku operacjach, podjętych w związku z osobami prowadzącymi w Niemczech działalność rewizjonistyczną, a także odwiedzającymi PRL turystami z Niemiec. Sama zaś Sprawa Operacyjnego Sprawdzenia o kryptonimie „Fotograf" została zakończona dopiero w czerwcu 1987 roku.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze kwestia niemieckiej wycieczki, jaka wyruszyć miała do Polski we wrześniu 1984 roku, a od której przecież wszystko się zaczęło.

Niemieccy turyści wjechali na terytorium PRL 15 września 1984 r. autobusem marki „Setra", o nr. rej. ESW–L–838 „D". W jej skład wchodziło m.in. pięć osób posiadających tytuł doktora nauk, w tym dwie kobiety. Zaawizowany pobyt grupy na Śląsku wynosić miał 12 dni. Wycieczka ta nie dotarła jednak do Mirska, ale, jak ustalono, odwiedziła: Wrocław, Katowice czy Kłodzko. Jej uczestnicy fotografowali m.in. sklepy komercyjne dla górników oraz kontaktowali się z zamieszkałymi na tych terenach osobami pochodzenia niemieckiego. Przy wyjeździe z Polski, uczestnikom wycieczki zarekwirowano do wyświetlenia 21 kaset filmowych...

Przypisy:

[1] SZ. Wrzesiński, P. Popławski, „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki", Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 2012

[2] Notatka służbowa mł. chor. Lucjana Popka z dnia 12 września 1984 roku, [za:] Archiwum IPN w Warszawie.

[3] Notatka służbowa popr. Ryszarda Replina z dnia 15 września 1984 roku, [za:] Archiwum IPN w Warszawie.

[4] Notatka służbowa z przeprowadzonej rozmowy z dnia 19 września 1984 roku, [za:] Archiwum IPN w Warszawie.

[5] Notatka służbowa z dnia 21 września 1984 roku, [za:] Archiwum IPN w Warszawie].

[6] Tamże.

[7] Notatka służbowa dotycząca sprawy poszukiwań archiwum hitlerowskiej organizacji „Boberhaus" z dnia 27 września 1984 roku, [za:] Archiwum IPN w Warszawie.

[8] Pismo Naczelnika Wydziału II WUSW w Jeleniej Górze, ppłk. Józefa Pruskiego, z dnia 29 września 1984 roku, [za:] Archiwum IPN w Warszawie.

Maciej Batków

Dziennikarz i pasjonat drugowojennych tajemnic Górnego Śląska ze szczególnym uwzględnieniem tajemnic Bytomia. Autor pierwszej książki dotyczącej największej tajemnicy tego miasta – Szybu Południowego dawnej kopalni Miechowice. Twórca i koordynator prowadzonego w 2013 r. w Bytomiu projektu „Tajemniczy Bytom".

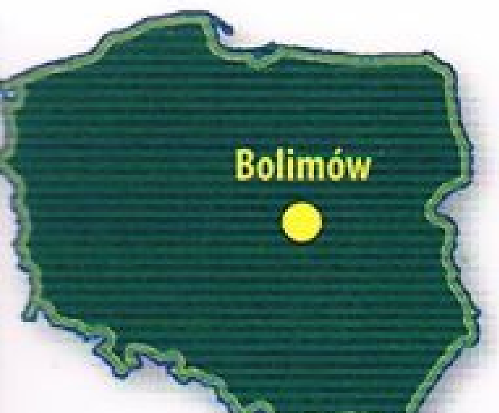

Gazowy Książę na wojnie.

O atakach gazowych pod Bolimowem inaczej

STANISŁAW KALIŃSKI

W maju tego roku obchodzimy 100-lecie użycia gazów bojowych na ziemiach polskich. Podobną rocznicę obchodziło również w kwietniu belgijskie Ypres. Okolicznościowa prelekcja odbyła się również w siedzibie Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej w Hadze. Otwarto tam też wystawę poświęconą 100-leciu użycia gazów bojowych, na której można zobaczyć historię użycia broni chemicznej prezentowaną przez Rosję, Niemcy, Polskę, Belgię i Łotwę. W tym roku odbędą się rocznicowe imprezy rekonstrukcyjne, podczas których będziemy mieli okazję obejrzeć kawałek historii „na żywo" – m.in. 30 maja 2015 w Bolimowie.

Ważne dla nas, jak i dla Belgów, daty to: 24 kwietnia 1915 roku – kiedy niemiecki 35. Pułk Pionierów otworzył zawory butli gazowych umieszczonych na odcinku pomiędzy Bikschote-Langemark-Poelkapelle oraz 31 maja 1915 roku, gdy pod Bolimowem 36. Pułk Pionierów wypuścił chlor na pozycje rosyjskie.

Kwestię użycia gazów bojowych na terenie naszego kraju opisywano już wielokrotnie, w tym na łamach „Odkrywcy". Dzisiaj chciałbym, żebyśmy spojrzeli na ataki gazowe w rejonie Bolimowa, który stał się „polskim Ypres", oczami dowódcy 9. Armii Niemieckiej – księcia Leopolda Bawarskiego. Jest to spojrzenie bardzo subiektywne. Musimy pamiętać o tym, iż książę Leopold nie był specjalistą od wojny gazowej. Temat użycia broni chemicznej był dla niego tak nowy, jak dla dowodzonych przez niego żołnierzy 9. Armii w okopach nad Rawką i Bzurą. Użycie gazów pod Bolimowem nie było jego decyzją. Podobnie jak objęcie dowództwa 9. Armii. Powyższe wynikały z rozkazów, które również dotyczyły księcia Leopolda Bawarskiego.

Książę Leopold Bawarski (1846-1930).

Książę był tak samo ciekaw nieznanego mu wcześniej frontu wschodniego, jak i samego wykorzystania broni chemicznej. W pierwsze zagadnienie został wprowadzony przez dowództwo frontu wschodniego, drugie naświetlił mu sam Fritz Haber. Żołnierze księcia walczyli już na wschodzie od sierpnia 1914 roku. Część z nich widziała wczesne mazurskie boje, przed innymi majaczyły już kontury Warszawy w październiku 1914 roku. Kolejni poznali ciężkie walki bitwy granicznej na froncie zachodnim, po których zostali przeniesieni na front wschodni. Prawie wszyscy brali udział w krwawej bitwie łódzkiej w listopadzie 1914 roku. Żołnierze ci, dowodzeni jeszcze przez von Mackensena, wywalczali w grudniu 1914 r. przyczółki na zamarzających brzegach Rawki i Bzury oraz przeżyli 3 dni piekła podczas wielkiej bitwy 31 I 1915 r. w rejonie Wola Szydłowiecka-Humin-Borzymów. W bitwie tej nie pokazali swojej wartości, za to poznali wartość rosyjskiego piechura, który trwał na pozycjach i walczył jak lew mimo wielogodzinnego ostrzału artyleryjskiego, a nawet użycia 18 tys. pocisków wypełnionych środkami wywołującymi łzawienie. Rosyjski piechur zapłacił jednak za utrzymanie frontu ogromnymi stratami

Książę Leopold wizytujący lazaret znajdujący się w tzw. osadzie pałacowej w Skierniewicach. Księciu towarzyszą oficerowie sztabowi i gen. Reinhard von Scheffer-Boyadel.

– 40 tys. zabitych, rannych i wziętych do niewoli…

Gdy w kwietniu 1915 r. książę Leopold objął dowództwo 9. Armii, była ona wyczerpana, okrojona i niezdolna do podjęcia większych operacji. Front był spokojny, żołnierze nie ponosili zbędnego ryzyka, liczyło się tylko przeżycie i utrzymanie linii. Jeszcze w lutym 1915 r. kilka korpusów wyjętych ze stanu armii, rozjechało się dla wsparcia bardziej rokujących teatrów działań, jak np. rejon Gorlic czy Przasnysza. Pułki zostały niewiarygodnie rozciągnięte na pozycjach. O ile w grudniu 1914 r. jeden pułk bronił ok. 800 m terenu, to w kwietniu 1915 było to już 3-4,5 km.

Podobnie funkcjonowała strona rosyjska, której pułki przetrzebione po operacji łódzkiej również rozciągały się na pozycjach, i podobnie jak u Niemców, ich korpusy wydzielano ze struktur 1.,2. i 5. Armii i wysyłano w inne miejsca frontu. Pozorny bezruch na froncie owocował jednak codziennymi stratami. Rosjanie ginęli od licznej i skutecznej artylerii okopowej stosowanej przez Niemców (miotacze min i granaty prętowe), jak i od ognia niemieckiej artylerii. Niemcy z kolei narzekali na Rosjan, którzy trzymali ich okopy pod ogniem, w dzień i w nocy. Straty niemieckie następowały głównie podczas zmian i wydawania posiłków. Zdarzały się też postrzały przez luki w przedpiersiach okopów oraz przez otwarte otwory tarcz okopowych. Żołnierz rosyjski rekompensował słabe wsparcie własnej artylerii śmiertelną precyzją ognia karabinowego. Tam, gdzie rosyjski ogień był najskuteczniejszy, sądzono, że przeciwnikiem jest strzelec syberyjski, mimo iż rzeczywistą obsadę stanowił pułk liniowy lub rezerwowy. Dzienne straty niemieckie wynosiły 5-14 ludzi, natomiast rosyjskie, 10-25 ludzi na pułk. Żołnierze niemieccy korzystali z wyciszenia frontu i kąpali się w Rawce. Stagnacja jednak źle wpływała na psychikę żołnierza. Każdy marzył od wyrwaniu się z bezruchu i monotonii codziennego rytmu służby w okopach. Taki właśnie front przejął książę Leopold.

Swoje spostrzeżenia opisał w osobistym dzienniku, który odnalazłem w zbiorach Bawarskiego Tajnego Archiwum w zespole rodziny Wittelsbachów. Z niewiadomych przyczyn ani rodzina Wittelsbachów, ani archiwum nie zdecydowało się nigdy na jego publikację, mimo fascynującej, z punktu widzenia historii wojskowości, treści.

Radosna, energiczna ofensywa…

Rozkaz objęcia dowództwa 9. Armii dotarł do księcia Leopolda 19 IV 1915 roku. *„Rozmawiałem u ministra wojny i miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś o 9. Armii. Ale również tutaj nie mogłem uzyskać żadnych informacji. Nikt nie wiedział, jakie korpusy armijne należą do podległej mi armii, nawet nazwisko szefa sztabu nie było znane. W rosyjskiej części Polski, arenie mojej przyszłej działalności wojskowej, nigdy jeszcze nie byłem. (…) Wychodziłem więc naprzeciw całkowicie mi nieznanym stosunkom. Zresztą od 23 lat, będąc na stanowisku generalnego inspektora IV inspekcji armijnej, miałem tak często najbardziej osobiste relacje z urzędami pruskimi i królewsko-pruskimi pułkami, że mogłem oczekiwać, iż na wschodzie spotkam niejednego starego znajomego”.*

Żołnierze 36. Pułku Pionierów. Zdjęcie wykonano w Łowiczu 16 VI 1915 r. Na odwrocie żołnierz ze zdjęcia napisał do rodziny: „Aktualnie wykonujemy bardzo ciężką pracę, nie mam ochoty o tym pisać”.

Następnego dnia książę Leopold pełen obaw wyjechał pociągiem z Drezna poprzez Budziszyn, Żagań i Kalisz do Łodzi. 20 kwietnia został przedstawiony przez gen. Beselera swojemu sztabowi. Jak sam książę stwierdził, w sztabie: *„Nie było niczego pilnego do zrobienia”.* Zdanie to obrazuje właściwie jego stosunek do ścisłych spraw wojennego rzemiosła, który wynika z dalszej treści dziennika. Nie można się po jego lekturze oprzeć wrażeniu, że solą życia księcia były spotkania z niemieckimi książętami, politykami, synami cesarza i ówczesnymi celebrytami – popularnymi w tym czasie w Niemczech dziennikarzami wojennymi. Ranki wypełniały codzienne galopy konno i wizyta w sztabie, co jakiś czas książę odbierał parady podległych pułków czy odbywał miłe spotkania w kasynie oficerskim. Południe spędzał w terenie, wizytując podległe jednostki lub odwiedzając znanych mu wcześniej oficerów. Wiele godzin popołudniowych spędzał z książką w ogrodzie willi łódzkiego przemysłowca Schaiblera, wybranej na kwaterę. Wieczorami znowu wracał do sztabu, zasięgając informacji z całego dnia. Siłą pamiętnika księcia Leopolda są poczynione obserwacje czy to dotyczące ówczesnej Łodzi i okolic, etnografii, armii, czy przytoczone rozmowy. *„Na wszystkich większych ulicach znajdowały się obszerne, często podobne do pałaców wille z większymi lub mniejszymi ogrodami, należące do wielkich właścicieli fabryk i wyposażone z dużym luksusem. Gust pozostawiał wiele do życzenia: w wielu widać było, że tak powiem, klejące się do ścian miliony”* – pisał o łódzkich willach w 3. dniu pobytu w mieście. Po pierwszej naradzie w znajdującym się przy ul. Piotrkowskiej sztabie, książę stracił złudzenia, co do możliwości zmiany sytuacji na froncie: *„Moja nadzieja na przejście do energicznej i radosnej ofensywy, aby wyjść z męczącej wojny pozycyjnej i doprowadzić do militarnego rozstrzygnięcia, musiała zostać na razie odłożona na później”.* Przez kilka dni książę prowadził inspekcję poszczególnych korpusów, licząc od końca prawego skrzydła 9. Armii w okolicy Spały aż do samej Wisły. *„Podczas wizyt w oddziałach mojej armii postępowałem zawsze tak, jak podczas mojego ostatniego objazdu frontu zachodniego. Dana jednostka czekała na mnie zazwyczaj w szyku paradnym z karabinami na ramieniu, pojedyncze oddziały starych żołnierzy prezentowały broń. Formacja była bardzo różna w zależności od warunków danej lokalizacji. (…) Defilada, najczęściej w kolumnie grupowej, stanowiła zakończenie”* – pisał z zadowoleniem książę. Pośród wielu narzekań na stan drogowej infrastruktury Królestwa Polskiego, wyłoniły się ciekawe wnioski o kondycji podległych wojsk: *„Od-*

Zatruci gazem żołnierze rosyjscy. Czerwiec 1915 r.

Niemiecki atak gazowy.

wiedziłem wszystkie sztaby korpusów, rozmawiałem z większością podległych mi generałów (...). Wszystkie pozycje wyglądały na starannie rozbudowane i wystarczająco silne, aby móc czekać z pełnym zaufaniem do solidności moich oddziałów na ewentualny atak wroga. Jeżeli chodzi o oddziały, to piechota we wszystkich walkach od początku wojny poniosła niezwykle ciężkie straty. W szczególności niezwykle wysokie były straty wśród oficerów zawodowych i podoficerów z dłuższym stażem służby; również wśród starszych roczników żołnierzy straty wynosiły przeciętnie 50-75%. (...) Bardzo wiele kompanii było dowodzonych przez poruczników w tym nierzadko poruczników rezerwy; większość podoficerów miała za sobą stosunkowo krótki okres służby, żołnierze pochodzili w większości z uzupełnień".

Co ciekawe, na podobne braki w kadrze oficerskiej narzekali w tym samym czasie rosyjscy dowódcy stojących naprzeciwko wojsk. Podobne spostrzeżenia miał chociażby gen. Muśnicki dowodzący 14. Pułkiem Strzelców Syberyjskich. Pozycje rosyjskie były w tym czasie tak samo dobrze rozbudowane jak niemieckie. Można więc powiedzieć, że w tych dwóch aspektach siła przeciwnych armii była podobna. Książę w pobłażliwym tonie wytknął pewne braki, tłumacząc niedociągnięcia... ciężką służbą w okopach, jednak jego ogólne wrażenie było dobre: *„Miałem uczucie, że od tych oddziałów można wymagać wszystkiego, czego może dokonać porządne wojsko".* W konkluzji zauważył jednakże ze smutkiem, iż: *„W tych warunkach było chyba rzeczą naturalną, że ciągle pojawiała się u mnie żywa chęć wyrwania się w końcu z monotonnej, lecz jednak wycieńczającej wojny w okopach i przejścia do radosnej, świeżej ofensywy, chęć, która z pewnością ogarniała również wojsko; jednak przynajmniej na razie nie leżało to w przewidzianych dla mojego frontu zamiarach naczelnego dowództwa i bez znacznego wzmocnienia oddziałów, byłoby to prawdopodobnie trudne do przeprowadzenia".* Jak się wkrótce miało okazać, monotonność frontu pozycyjnego dowodzonego przez księcia, miała zostać niebawem przełamana.

W kilka dni po objęciu dowództwa przez księcia dokonano pierwszego ataku gazowego przy pomocy chloru pod Ypres. Kolejnym miejscem podobnego ataku miały stać się okolice Bolimowa.

„Kłęby trującego dymu powędrują w kierunku pozycji nieprzyjacielskiej, zniszczą, lub uczynią niezdolnym do walki, wszystko co żywe"...

13 maja wieczorem pojawił się w kwaterze Fritz Haber *„(...) aby wyjaśnić mi zastosowanie w ataku butli z gazem. Mają one wkrótce nadejść, wraz z baonem pionierów, chyba nr 38.* [książę pomylił nr pułku, gdyż chodziło o 36. Pułk Pionierów, i zamienił pułk na batalion – przyp. S.K.], *który jest specjalnie przeszkolony w rozmieszczaniu i obsłudze tego nowego środka bojowego. Zgodnie z jego słowami butle gazowe, które wyglądają podobnie do tych, w których jest transportowany gaz do statków powietrznych, wystarczy umieścić dość gęsto obok siebie na określonym odcinku na przedpiersiu okopu. Jak tylko wiatr będzie wiał z określoną siłą w kierunku wroga, butle powinny być otwarte możliwie równocześnie; kłęby trującego dymu powędrują wtedy w kierunku pozycji nieprzyjacielskiej, zniszczą, lub co najmniej uczynią niezdolnym do walki, wszystko co żywe".* Oczywiście taki obrót wydarzeń wywołał entuzjazm księcia, aczkolwiek wyrażony powściągliwie i z godnością: *„To wszystko było dla mnie nowe i wydawało się jeszcze nie całkiem dokładnie wypróbowane; ale dawało szansę na to, aby w końcu wyjść z okopów i przejść do energicznej ofensywy; dlatego było to dla mnie wysoce pożądane".*

Gaz nadszedł transportem kolejowym 18 maja, dalej zaczęła się żmudna dla żołnierzy instalacja 12 tys. butli w okopach na odcinku Tartak Bolimowski–Zakrzew nad Bzurą. Następnie wojsko oczekiwało długo na sprzyjający wiatr. Książę pokładał w ataku gazowym duże nadzieje, widział już swoje wojska idące w kierunku Warszawy: *„Duży sukces taktyczny wydawał się całkowicie prawdopodobny: można było oczekiwać przedarcia się aż do pozycji Błonie, całkiem możliwe wydawało się wyprzedzenie na pozycji Błonie znajdującego się pod wrażeniem swojej porażki wroga; w dalszym ciągu rysowałoby się być może w najbliższej przyszłości zajęcie Warszawy".*

Czas oczekiwania na nadejście właściwego wiatru dla przeprowadzenia ataku, książę umilał sobie w wybudowanym specjalnie dla niego basenie. Nadeszła właśnie fala upałów. Tymczasem piechota, w okopach, w napięciu oczekiwała sygnału do natarcia.

30 maja wiatr się ustabilizował. Książę zastrzegł dla siebie prawo wydania rozkazu otwarcia butli. Wydał go 31 V o 2:30 rano z nieborowskiego pałacu, znajdującego się o 6 km od Bolimowa. Zaraz potem pojechał obserwować atak. *„Z mojego znajdującego się na wysokim drzewie stanowiska widoczna była chmura gazowa, jako niska ściana mgły, przemieszczająca się w kierunku pozycji rosyjskiej, chociaż nie w równomiernej, ciągłej linii, i przesuwając się stopniowo do przodu, znikała z oczu. Ta chwila w zanikającym mroku była niezwykle emocjonująca. Wkrótce potem rozpoczął się silny ogień piechoty i karabinów*

Książę Leopold odbiera paradę wojskową przed soborem Aleksandra Newskiego w Warszawie.

maszynowych, jak również ostrzał artyleryjski. Po stosunkowo krótkim czasie wszystko stopniowo znowu ucichło. Przebieg tego całego zdarzenia wydawał mi się niewytłumaczalny. Pospieszyłem więc moim samochodem z powrotem do Nieborowa". W Nieborowie książę zapoznał się z meldunkami *„Wypuszczenie gazu następowało stopniowo, tak, że nie powstała żadna jednolita ściana. Wydaje się, że przy pomocy ówczesnych środków pomocniczych pionierzy nie mogli szybko poradzić sobie z tą niebezpieczną pracą. W związku z tym atak piechoty nie był jednolity. Część piechoty poszła wkrótce za pierwszą częścią chmury gazowej; jednak niespodziewanie napotkała na silny ogień piechoty i karabinów maszynowych z okopów rosyjskich, wskutek czego doszło do znacznych strat. W tych warunkach, na rozkaz dowódców poszczególnych odcinków, część piechoty w ogóle nie wyszła z okopów – jednym słowem cała sprawa nie wyszła".*

Dzisiaj wiemy już, że fala gazowa przeszła nad przednią pozycją rosyjską, przeniesiona podmuchem wiatru, i truła jednostki drugiej linii, artylerzystów i zaplecza. Oczekiwania księcia się nie spełniły. Rozżalony napisał: *„Wojsku nie mogłem robić żadnych zarzutów; jeżeli żołnierzom mówi się, że wmaszerują do wrogich okopów bez strat, a następnie niespodziewanie dostają się oni pod silny ogień nieprzyjaciela, na co nie są przygotowani, to nie można się dziwić, że wtedy nie mogą dokonać tego, czego w innych warunkach zawsze dokonywali. Natomiast ogarnęło mnie głębokie niezadowolenie z panów naukowców, którzy opracowali cały ten atak gazowy z czysto teoretycznego punktu widzenia, bez uwzględniania rzeczywistych warunków; to, że gaz ma działanie śmiertelne, tam, gdzie występuje w wystarczającej ilości, nie ulega żadnej wątpliwości, ale nie można go rozprowadzić nad całym terenem tak samo równomiernie jak nad równym stołem".* Kolejne ataki gazowe książę zamierzał już przygotować zgodnie ze swym doświadczeniem wojskowym, czyli zapewniając odpowiednie wsparcie artylerii, którego zabrakło 31 maja.

Atak gazowy, który nastąpił 12 VI 1915 r. został przygotowany już wg innych wytycznych. Gaz na odcinku Sucha–Zakrzew nad Bzurą wypuszczono dopiero po ciężkim bombardowaniu artyleryjskim. Książę zanotował: *„O godz. 3:30 nad ranem gen. v. Pannewitz, który miał swoje stanowisko obserwacyjne trochę dalej z tyłu, wydał rozkaz do wypuszczenia gazu, natomiast artyleria miała przenieść swój ogień bardziej do przodu. Wypuszczenie zadziałało tym razem bardzo dobrze, tylko przed 5. pułkiem grenadierów trzeba było z tego zrezygnować, ponieważ na tym odcinku okopów kierunek wiatru był niekorzystny. Gęsty, biały dym podniósł się z naszych okopów strzeleckich i opadając w dół, przesuwał się powoli w kierunku południowowschodnim w stronę pozycji rosyjskiej. Nasza piechota ruszyła bezpośrednio za nim i bez dużych strat zajęła pozycję Borzymów, lub mówiąc dokładniej, na skraju lasku na północ od tej miejscowości aż do miejsca na wschód od Zakrzewa i okopała się na zajętej pozycji. Tym samym cel tego stosunkowo małego ataku został osiągnięty. Na razie zdobyto 2 ciężkie i 6 lekkich dział, 6 karabinów maszynowych, 1 miotacz min i wzięto 1500 jeńców. Poza tym Rosjanie musieli ponieść ciężkie straty w zabitych, rannych i chorych wskutek działania gazu: w wyniku naszego ognia artyleryjskiego oczekiwali oni ataku i dlatego silnie obsadzili okopy i podciągnęli rezerwy. W tych warunkach działanie trującej chmury gazowej było szczególnie skuteczne, tym bardziej, że Rosjanie jako środek ochronny posiadali jedynie niewystarczające paczuszki z watą. Nasze straty wyniosły ok. 500-700 żołnierzy, niestety było wśród nich również kilku zabitych i pewna liczba chorych od gazu w wyniku wypadku podczas wypuszczania gazu. Po złożeniu gratulacji dowodzącemu generałowi, odjechałem i o godz. 9 byłem w Łodzi".*

Upiorni turyści

Atak zakończył się niewątpliwym sukcesem. Żołnierze niemieccy zrobili wyłom w rosyjskich pozycjach, ale z braku wystarczających sił nie wykorzystali powodzenia. Nadchodzące rosyjskie posiłki zatrzymały po kilku kilometrach niemiecki atak. Książę miał w końcu powód do nadania odznaczeń żołnierzom: *„Był tutaj dowodzący gen. v. Pannewitz, w czterech rogach ustawione były delegacje oddziałów 17. korpusu armijnego. Wyglądały one wspaniale i było dla mnie szczególną radością móc pogratulować im sukcesu bojowego oraz udekorować oficerów, podoficerów i żołnierzy Krzyżem Żelaznym. Tutaj stały jeszcze rosyjskie działa. Tutaj było również miejsce zbiorcze wziętych do niewoli Rosjan, których pewna liczba zmarła w wyniku zatrucia gazem i również tutaj została pochowana".*

Znanym jest historyczny fakt, iż Fritz Haber wizytował okopy rosyjskie po dokonanym ataku, by sprawdzić działanie gazu. Relacja z tej „wizyty" została spisana przez oficera wywiadu 9. Armii Maxa Wilda. Drugim „upiornym turystą" na pobojowisku był książę Leopold: *„Konno można było jechać jeszcze do folwarku Żylin; od Suchej, która jest zresztą całkiem nic nieznaczącą rzeczką, szedłem dalej na piechotę wraz z kilkoma osobami towarzyszącymi, gdyż nie można było wzbudzać sensacji. Niedaleko stamtąd był najbardziej wysunięty do przodu okop rosyjski, w którym leżała jeszcze pewna liczba martwych żołnierzy wroga. (…) Pomiędzy pierwszą a drugą pozycją rosyjską, do której podeszliśmy na niewielką odległość, stał w niecce oddział artylerii polowej i strzelał z zakrytej pozycji. Można było tutaj zobaczyć działanie gazów trujących, które przeszły nad tą okolicą. Większość martwych Rosjan leżała z czarnymi twarzami i dłońmi, na ustach i nosach opaski z watą, twarze wciśnięte w ziemię, metal broni utleniony, wysokie zboże uschłe, liście drzew spalone na brązowo i żółto, podobnie jak trawa; widziałem nawet martwego psa przytulonego do swojego nieżywego pana".* Książę z pewną irytacją podsumował: *„Gdybyśmy nasz pierwszy atak gazowy przeprowadzili również tak samo prawidłowo, bez błędnej interwencji ze strony uczonego, to nie obeszłoby się bez dużego sukcesu. Post factum człowiek zawsze jest mądrzejszy. Tak więc jedynym skutkiem tego nieudanego ataku*

było to, że z 9. Armii stopniowo zostały zabrane prawie wszystkie oddziały czynne".

By gaz się nie zmarnował...

Ostatni atak gazowy miał nastąpić z 6 na 7 VII 1915 r., na odcinku zbliżonym do tego z maja. Atak ten, wg księcia, nie miał jednak żadnego celu taktycznego. Gaz pozostał na pozycjach od 17 czerwca, kiedy miał zostać dokonany kolejny atak gazowy z osią natarcia na rejon Borzymowa. Pod datą 16 czerwca książę zanotował: *„Piękny, niezbyt gorący dzień z wiatrem zachodnim. Ponieważ po południu musiało się rozstrzygnąć, czy jutro rano będzie mógł zostać przeprowadzony atak gazowy na Borzymów, pozostaję po posiłku w ogrodzie. Byłem już w łóżku, gdy nadszedł meldunek, że wiatr zmienił kierunek i trzeba odwołać atak".*

Ponieważ butle pozostawały w okopach, księcia dręczyły dwie myśli. Pierwsza dotyczyła bezpieczeństwa własnych żołnierzy przebywających w okopach razem z butlami wypełnionymi śmiercionośnym gazem. Druga, meldunków przekazanych przez lotników, mówiących o jawnych symptomach mającej nastąpić ewakuacji wojsk rosyjskich z linii Rawki i Bzury. *„Mnożą się oznaki, że Rosjanie chcą ustąpić z mojego frontu; dlatego moi oficerowie sztabu generalnego wnioskują, aby jak tylko kierunek wiatru na to pozwoli, wypuścić po prostu umieszczony na pozycji gaz. Przy tym bolesnym braku żołnierzy o ataku nie ma co nawet myśleć: na podstawie wcześniejszych doświadczeń butle z gazem zostały rozmieszczone bardzo gęsto, ich demontaż wydawał się z wielu względów niewskazany".*

Ponury wniosek, jaki płynie z ostatniego wpisu dokonanego w dzienniku przez księcia, jest tylko jeden. Ostatniego ataku gazowego w rejonie Bolimowa dokonano tylko dlatego, by gaz się nie zmarnował...

Książę konkludował: *„Chociaż ta sprawa była dla mnie niesympatyczna, to musiałem sobie powiedzieć, że zaproponowana procedura była w końcu jedyną możliwą, aby możliwie najbardziej zaszkodzić wrogowi, w przypadku, gdyby rzeczywiście miał zamiar się wycofać. Wydałem odpowiedni rozkaz i zleciłem oddziałom, aby po wypuszczeniu gazu natychmiast przeszperały okopy rosyjskie a potem powróciły na starą pozycję".*

Atak gazowy z 6 na 7 VII 1915 r. nie wyszedł jednak tak, jak książę sobie życzył. W efekcie zostali zatruci żołnierze 12. Rezerwowego Pułku Piechoty – 5. Rezerwowej Dywizji. Pod datą 7 VII 1915 r. książę odnotował: *„Z powodu nie całkiem równomiernego wiatru gaz można było wypuścić tylko pomiędzy Wolą Szydłowiecką a Borzymowem. Powstała wskutek gęstego rozmieszczenia butli bardzo gęsta chmura gazu, przemieszczała się dobrze w kierunku północno-wschodnim przez pozycje rosyjskie, jednak koło Kurdwanowa skręciła częściowo pod kątem prostym w lewo, przeszła od tyłu przez okopy rosyjskie na północ od Borzymowa, następnie przez okopy strzeleckie 12. Pułku Rezerwowego, który w ciemności nie mógł zobaczyć gazu. Dlatego nie mógł na czas opuścić okopów, stracił kilku ludzi i ok. 1000 na szczęście lekko chorych żołnierzy. Nasze oddziały szperaczy napotkały rosyjskie okopy pełne nieżywych i umierających, zdobyły 11 karabinów maszynowych, 3 miotacze min, 1 działo samopowtarzalne i ok. 100 karabinów. (...) W ciągu dnia Rosjanie obsadzili zresztą ponownie swoje stare pozycje z wyjątkiem wzgórza 95, które pozostało w naszych rękach".*

„To, że było dane mnie, dowódcy, przeżyć taki sukces, napełniło mnie wielką satysfakcją i podzięką za tę łaskę nieba"...

W wyniku ataków gazowych nad Rawką i Bzurą zginęło blisko 20 tys. żołnierzy rosyjskich. Straty te nie były znane dowództwu 9. Armii aż do chwili ewakuacji rosyjskiego frontu, która nastąpiła w połowie lipca 1915 r. i spowodowana była groźbą odcięcia wojsk, znajdujących się w rejonie na południe od Warszawy. Jednostki 9. Armii wchodząc na tereny zajmowane przez Rosjan, zaczęły odkrywać ogromne, zbiorowe mogiły znajdujące się w Guzowie i Wiskitkach, jak również na cmentarzu w Żyrardowie. Sam książę przyznał, iż ślady ataków gazowych nad Rawką i Bzurą widział na cmentarzach aż do Słonima. Oprócz zmarłych na miejscu, ogromna i nieoszacowana liczba żołnierzy zmarła w ciągu kolejnych dni i tygodni w rosyjskich lazaretach – od Żyrardowa poprzez Warszawę aż do terenów dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Książę i jego wojska weszły 5 VIII 1915 r. do Warszawy. *„Był to dla mnie piękny, podniosły dzień; to że było dane mnie, już prawie siedemdziesięcioletniemu dowódcy, przeżyć jeszcze taki sukces, napełniło mnie wielką satysfakcją i podzięką za tę łaskę nieba".*

Ataki gazowe w rejonie Bolimowa, tak jak pod Ypres, nie przyniosły oczekiwanego przerwania i zrolowania nieprzyjacielskiego frontu. Poniesione straty nie były współmierne do korzyści. Metoda ataku, chlorem wypuszczanym ze stalowych butli, jeszcze w trakcie I wojny przeszła do lamusa. Sam Fritz Haber przyznał, iż wybrał taką metodę z uwagi na ograniczenia budżetowe pierwszego okresu badań nad bronią chemiczną. Chlor był najtańszym ze znanych gazów trujących. Najskuteczniejszą metodą dostarczania gazów bojowych na pozycje nieprzyjaciela okazał się ostrzał pociskami zawierającymi bojowe środki trujące.

Czy świat nauczył się czegoś po 100 latach? Chyba nie. Pokusa użycia broni chemicznej była zawsze zbyt wielka, a jej siła i przerażenie, które wywoływała, ogromne. Gazów bojowych używano podczas całej I wojny światowej, jak i po niej.

ZDJĘCIA Z KOLEKCJI AUTORA.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

REKLAMA

Wieża spadochronowa w Katowicach

DARIUSZ PIETRUCHA

Wszyscy o niej słyszeli. Uczyli się w szkole o jej bohaterskich obrońcach. Wielu czytało książkę o jej obronie pełną heroicznych, batalistycznych scen. Nie tak dawno na temat obrony wieży rozpętała się żarliwa dyskusja, wzbudzając mnóstwo nie zawsze potrzebnych emocji.... Co wiemy? Ktoś jej bronił. W sposób desperacki i pozbawiony wszelkiej, wojskowej logiki. Jej obrońcy zginęli. I na tym kończy się nasza wiedza.

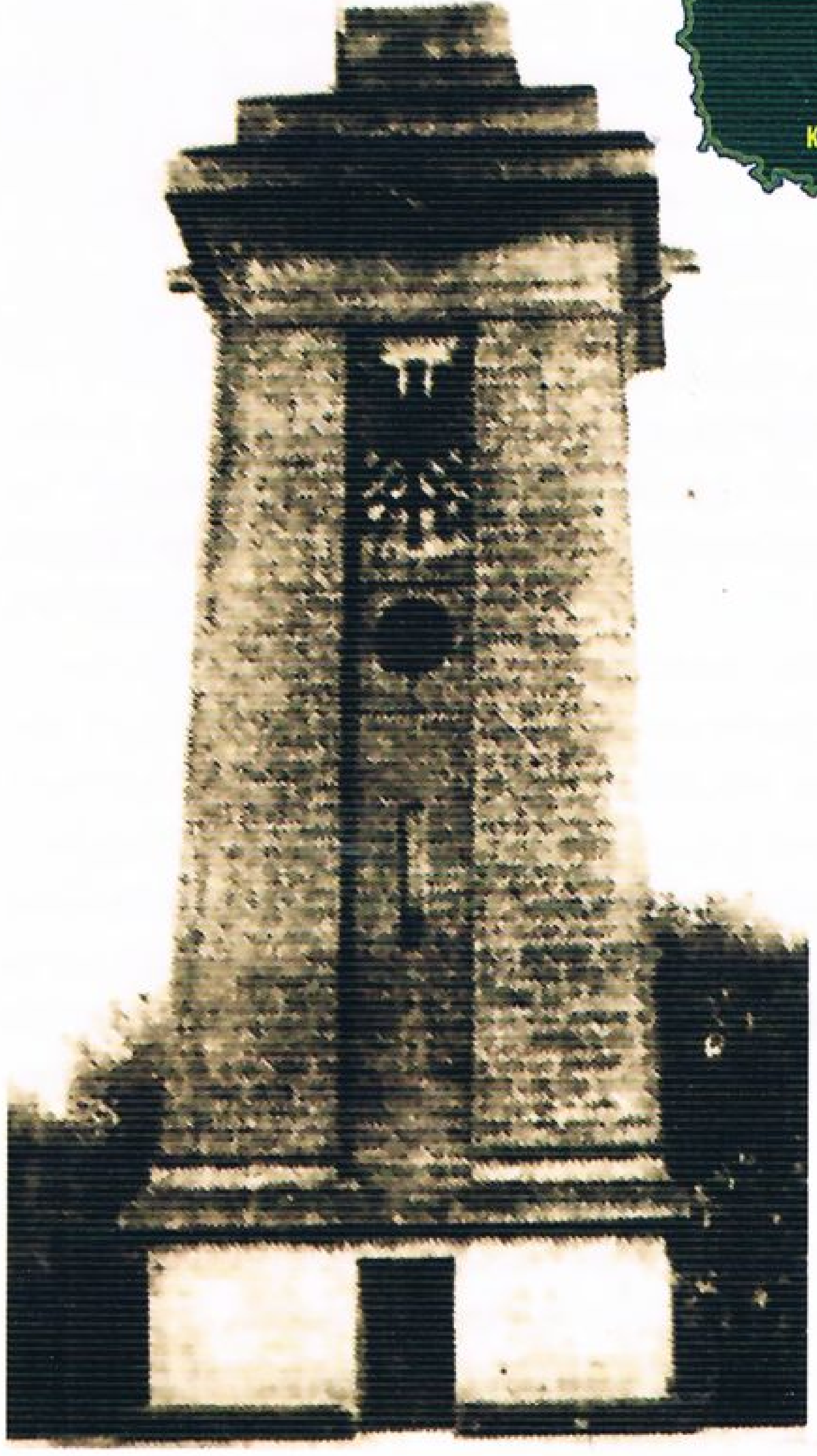

Wieża Bismarcka w Katowicach za niemieckich czasów. Źródło: www.pl.wikipedia.org

W polskich Katowicach przestano używać nazwy „wieża Bismarcka", zastępując ją „wieżą widokową" lub „wieżą Kościuszki". Źródło: www.katowice.gazeta.pl

„Polska młodzież na spadochrony!"

Skąd w Katowicach wieża spadochronowa? W latach 30. sport spadochronowy stał się bardzo modny. Zainteresowanie młodych ludzi lotnictwem, szybownictwem i baloniarstwem, było zapewne impulsem do utworzenia w 1928 r. Ligii Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej – masowej organizacji o charakterze paramilitarnym, która w wielu miastach starała się budować wieże spadochronowe, zachęcając w ten sposób do wstępowania w swoje szeregi. W 1933 r. LOPP związała się nowym statutem z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Ministerstwem Spraw Wojskowych, a rok później uzyskała status organizacji wyższej użyteczności publicznej. Prezesem jej zarządu został gen. dywizji Leon Berbecki (1874-1973), po wojnie związany z Zabrzem, Sławięcicami i Gliwicami. Jego imię nosi 5. Pułk Chemiczny stacjonujący w Tarnowskich Górach. Honorowym członkiem LOPP był Prezydent RP, Ignacy Mościcki.

Wieże spadochronowe powstawały jak grzyby po deszczu, szczególnie w latach 1936-1937. W Polsce w okresie 20-lecia międzywojennego wybudowano ich siedemnaście.[1] Jedna z nich stanęła w Katowicach.

Za Bismarcka Kościuszko

Była najwyższa, gdyż posiadała ok. 50 m wysokości (40 metrowe były wieże w Bielsku i w Łodzi). Według dokumentacji technicznej z archiwum Urzędu Miasta Katowice projekt wieży wykonano w Biurze Technicznym Budowy Mostów w Chorzowie. Jej całkowita wysokość to 62 m, a stalowej konstrukcji 50 m. Na szczyt prowadziły stalowe schody. Wewnątrz konstrukcji znajdował się szyb windowy, w którym kursowała dwuosobowa winda elektryczna. Na szczycie wieży znajdowała się platforma do skoków. Wokół niej zamontowano stalową, obrotową balustradę z drzwiczkami. Obracano ją w zależności od kierunku wiatru. Spadochron połączony był stalową linką z wysięgnikiem znajdującym się powyżej platformy oraz z przeciwwagą, która poruszała się w rurze umieszczonej w osi wieży.

Katowicka wieża jest wyjątkowa, bo jako jedyna z owej 17-stki ocalała. No, może nie do końca. Konstrukcja stojąca dzisiaj w Katowicach to nie ta sama, co kiedyś, wieża. Obecnie ma ok. 35 m wysokości, więc o wiele mniej od pierwowzoru. Pierwotną wieżę wybudowano w 1937 r., gdy LOPP święcił swoje społeczne tryumfy. Władze Katowic zadecydowały, że zostanie wzniesiona w miejskim parku. W latach 20. XX w. wzdłuż tzw. Promenady Kościuszki posadzono mnóstwo drzew, powiększając w ten sposób areał dawnego założenia parkowego. W 1925 r. nadano mu nazwę Parku im. T. Kościuszki. W ten sposób stworzono doskonałe miejsce rekreacyjne dla mieszkańców Katowic, posiadające od 1912 r. połączenie tramwajowe z centrum miasta. Z parkiem był tylko jeden problem. Wieża Bismarcka, którą Niemcy wznieśli tam w 1903 r., została zaprojektowana przez G. Meyera (dyrektor Zawodowej Szkoły Budowlanej w Katowicach a jej budowę sfinansował niemiecki klub gimnastyczny w Katowicach. Miała bardzo prostą formę; jej wysokość wynosiła ok. 20 m. Była poświęcona pamięci „żelaznego kanclerza", którego w Niemczech otaczano prawdziwą czcią. Jej czoło ozdabiał wielki, niemiecki orzeł Rzeszy z czasów cesarstwa (płaskorzeźba w brązie) i medalion poświęcony Bismarckowi. Była monumentalną, kamienną budowlą, która służyła katowiczanom jako doskonały punkt widokowy. Co ciekawe, posiadała również instalację ogniową. Wzniesiono ją na tzw. Wzgórzu Beaty, niepozornym wzniesieniu, które jest wododziałem

zlewni Odry i Wisły, i najwyższym wzniesieniem na terenie Katowic. W 1922 r., gdy doszło do ostatecznego podziału Górnego Śląska, stała się problemem. Katowice stały się najważniejszym polskim miastem na Górnym Śląsku; a tu, pomnik germańskości dumnie wznoszący się ku śląskiemu niebu...

Wykonano pierwszy krok. Z fasady wieży usunięto niemieckiego orła, zastępując go medalionem z wyobrażeniem T. Kościuszki i tablicą pamiątkową poświęconą naczelnikowi insurekcji. Przestano używać nazwy „wieża Bismarcka", zastępując ją „wieżą widokową" lub „wieżą Kościuszki". Ona sama nadal pełniła taką samą funkcję, jak w czasach, gdy Katowice nazywały się Kattowitz. Ale to nie wystarczyło. Sanacyjny wojewoda śląski, Michał Grażyński, zadecydował o demontażu wieży, co nastąpiło w 1933 roku. Kamienie z jej rozbiórki zostały użyte do budowy fundamentów i murów katowickiej katedry. W parku, w miejscu wieży, w 1938 r. stanął XVI-wieczny drewniany kościół św. Michała Archanioła z XVII-wieczną dzwonnicą, przeniesiony z Syryni spod Wodzisławia Śląskiego. Jest tam do dzisiaj. Sprowadzono również XVII-wieczny drewniany spichlerz z Gołkowic z okolic Pszczyny, ale ten spalił się w latach 70. W ten sposób powstał zalążek skansenu, nigdy jednak nie ukończony, w okresie PRL-u stworzono go w pobliskim Chorzowie.

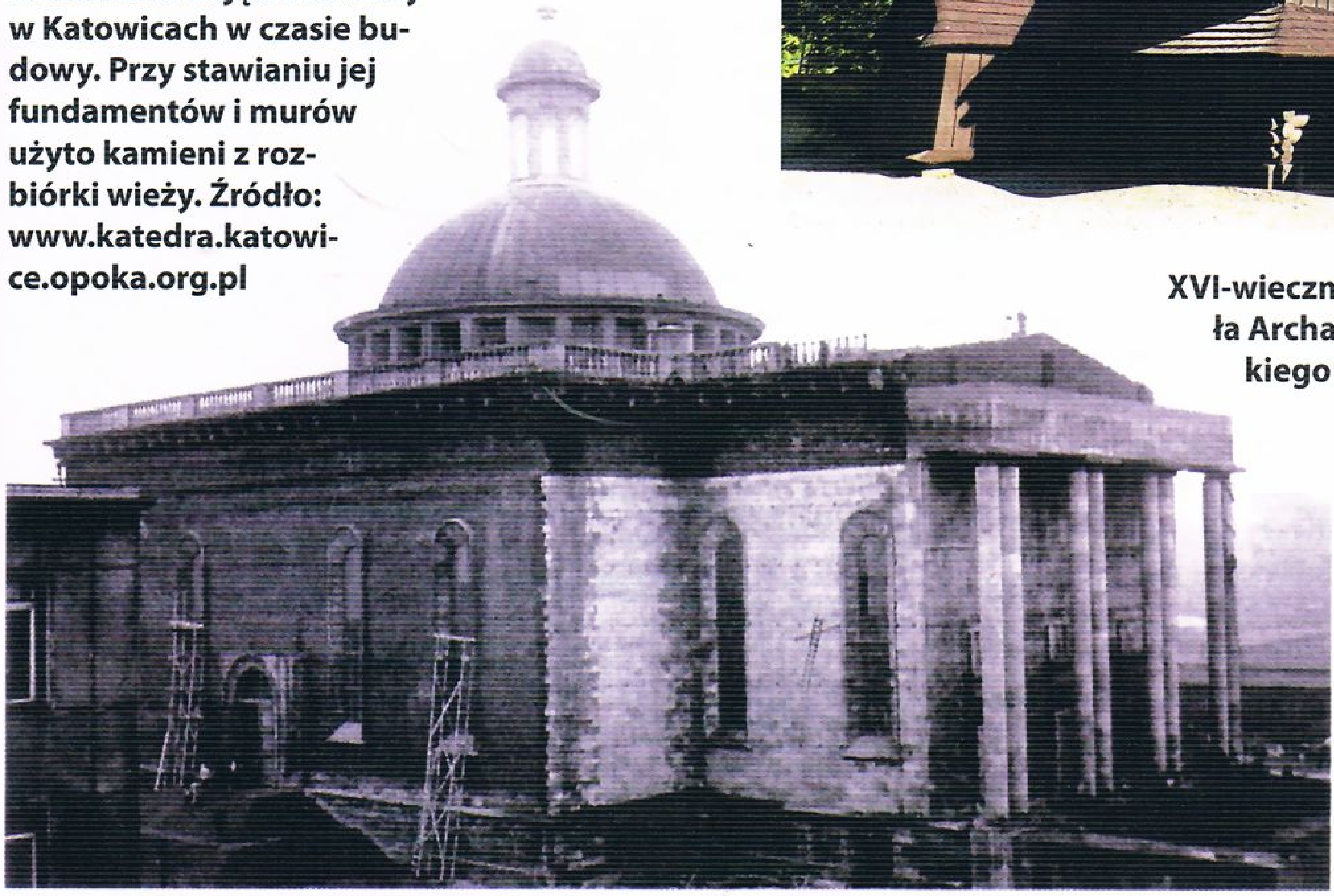

Archiwalne zdjęcie katedry w Katowicach w czasie budowy. Przy stawianiu jej fundamentów i murów użyto kamieni z rozbiórki wieży. Źródło: www.katedra.katowice.opoka.org.pl

Strzały z wieży. Ale z której?

Wojna o wieżę Bismarcka to właściwie pierwsze polsko-niemieckie starcie w historii katowickiego parku. W 1937 r. wzniesiono tam wieżę spadochronową. Jednak w Parku Kościuszki, lub w jego najbliższej okolicy, stała jeszcze jedna wieża. Prawdopodobnie była to drewniana wieża triangulacyjna, umożliwiająca wykonanie pomiaru punktów, położonych w znacznej odległości. Najpewniej pozostałości po niej zlikwidowano w latach 80. Nie wykluczone, że z tej wieży również strzelano do wkraczających do Katowic Niemców. Nie tylko z wieży spadochronowej.

Trudno przedstawić wiarygodną wersję wydarzeń, które rozegrały się w Parku Kościuszki w dniach 3-4.09.1939 r. Dlaczego? Bo nikt nie ma całkowitej pewności, co tam się stało. Opiszę to, co już wiadomo. Zacznijmy od strony niemieckiej.

XVI-wieczny drewniany kościół św. Michała Archanioła przeniesiony do katowickiego Parku Kościuszki z Syryni spod Wodzisławia Śląskiego. Fot. D. Pietrucha.

239. DP, jednostka trzeciego rzutu, o wiele gorsza od jednostek liniowych, pierwsze dwa dni wojny przeczekała w lasach w okolicach Łabęd (niem. Laband) pod Gliwicami (niem. Gleiwitz). Podobno trzymano ich tam na wypadek polskiego kontrnatarcia. Dywizją dowodził gen. mjr Ferdinand Neuling. Jego jednostka składała się z żołnierzy pochodzących z Górnego Śląska. Pod koniec dnia 2 września wyruszyli w stronę Gierałtowic (niem. Gieraltowitz), gdzie przekroczyli dawną polsko-niemiecką granicę, przejmując pierwszych polskich jeńców, a właściwie dezerterów pochodzenia niemieckiego. Nieco później stoczyli potyczkę w okolicach Ornontowic. Następnego dnia starli się z niewielkim oddziałem polskich żołnierzy w Mikołowie – nie do końca wiadomo, czy do tego starcia doszło. Tego samego dnia zwiad tej dywizji ruszył w stronę Panewnik i Murcek, rozpoznając polską obronę w rejonie Katowic. 4 września w godzinach rannych żołnierze 239. DP wraz z pułkami Grenzschutzu (56. i 68. pułk Grenzschutzu 3. Dowództwa Odcinka Grenzschutzu, którym dowodził gen. por. Georg Brandt) zaczęli wkraczać do Katowic, idąc od strony Piotrowic, Ochojca i Brynowa. Jedna kolumna (dow. płk Hans Runnebaum) szła z Mikołowa na Załęską Hałdę, a druga (dow. płk Erich Höcker) na Piotrowice. Przed nimi posuwał się oddział rozpoznawczy.

Powitał ich ogień polskiej samoobrony w Piotrowicach. Opór dość szybko stłumiono. W tym samym czasie zwiad niemieckiej dywizji dotarł do centrum Katowic; został unieruchomiony ogniem prowadzonym z wysokich budynków i z katowickiej wieży ciśnień. Gen. Neuling z resztą dywizji zmierzał w stronę Parku Kościuszki. Ulokował się ze swoim sztabem na Wzgórzu Beaty, nieopodal zabytkowego kościoła. Stamtąd obserwował rozwój sytuacji i przemarsz swoich pododdziałów. Teren wokół niego został zabezpieczony stanowiskami działek ppanc. i karabinów maszynowych. Tymczasem kolumna płk. Runnebauma przeprawiała się przez prowizoryczną kładkę na rzece Kłodnica (most został wysadzony przez polskich saperów) i ruszyła w stronę Ligoty, gdzie doszło do niewielkiej strzelaniny. W końcu znalazła się po północno-zachodniej stronie Parku Kościuszki. Kolumna płk. Höckera była po wschodniej stronie parku. Wydawało się, że nic nie zakłóci marszu w głąb Katowic. Właśnie wtedy doszło do strzelaniny z polskimi obrońcami, ukrytymi wśród drzew w Parku Kościuszki, a także na wieży spadochronowej.

Jakim cudem Niemcy nie zauważyli obrońców w tak widocznym punkcie, jakim był szczyt wieży spadochronowej? Odpowiedź może być tylko jedna. Nie sądzili, aby ktokolwiek mógł prowadzić stamtąd ogień. Dlaczego? Z wojskowego punktu widzenia umieszczenie karabinu maszynowego na tak eksponowanym stanowisku bez jakiejkolwiek możliwości wycofania się, graniczy z szaleństwem. Niemcy nie spodziewali się ognia prowadzonego przez straceńców. Teoretycznie popełnili błąd, choć nie do końca wiadomo, kto go popełnił. Niemcy, czy skazujący się na śmierć obrońcy wieży spadochronowej…

Wiadomo, że ogień z wieży był bardzo niecelny, co świadczy o nie najwyższych umiejętnościach strzeleckich przebywających tam ludzi. Niemcy szybko opanowali sytuację.

To jednak nie był koniec. Z Parku Kościuszki nadal prowadzono ogień, prawdopodobnie z wykorzystaniem ckm-u. Niewykluczone, że ze stanowisk powstańczej samoobrony (podejrzewa się, że była to grupa powstańców z oddziału Nikodema Renca),[2] która mogła nie mieć nic wspólnego z osobami znajdującymi się na wieży spadochronowej. Ogniem odpowiedzieli żołnierze niemieckiego 444. Pułku, szybko tłumiąc opór. Wzięto jednego jeńca, którego los nie jest znany. Jeszcze tego samego dnia ok. godz. 11:00 Niemcy zajęli prawie całe Katowice, a także pobliski Chorzów. W tych działaniach żołnierzy 239. DP wspierał Grenzschutz oraz członkowie „Freikorps Ebbinghaus”.[3] Nieco później żołnierze gen. Neulinga uczestniczyli w spaleniu katowickiej synagogi. Wraz z nimi II wojna światowa wkroczyła na polską część Górnego Śląska, od razu przybierając formę zbrodni i masowych represji. Tyle tego, co pewne. Reszta to same pytania.

Fakty i mity

W 1947 r. Kazimierz Gołba opublikował książkę pt. „Wieża spadochronowa: Harcerze śląscy we wrześniu 1939”.[4] Powieść odcisnęła piętno na całych pokoleniach. Sam czytałem ją z wypiekami na twarzy. Sceny batalistyczne śniły mi się po nocach, a szczególnie bestialskie zrzucanie ze szczytu wieży przez Niemców ciał poległych, ale i rannych harcerzy i harcerek. Ich tragedia, beznadziejność oporu, osamotnienie i bohaterska śmierć wywarły na mnie wielkie wrażenie. To samo opisywał Wilhelm Szewczyk.

Po latach okazało się, że była to tylko literacka fikcja.

Myślałem, że coś mnie trafi, bo wykreowany w moim umyśle opis tych wydarzeń nagle legł w gruzach. Powojenny obraz walki na wieży, który kiedyś tak bardzo rozbudzał moją wyobraźnię, teraz stał się zwykłym, na dodatek nieprawdziwym, obrazkiem. Być może Autorzy kierowali się ważnymi pobudkami i tworząc mit obrony wieży spadochronowej chcieli np. pokazać, że Śląsk nie poddał się tak łatwo, jak utrzymywano w okresie wczesnego PRL-u, ale ja poczułem się oszukany. Z jednej strony. Z drugiej zaciekawiło mnie, jak było naprawdę. Tylko że nikt mi nie był w stanie tego powiedzieć.

XVII-wieczna dzwonnica przy drewnianym kościele. Fot. D. Pietrucha.

Spójrzmy na te same wydarzenia ze strony polskiej. Wiadomo, że po południu 2 września oddziały Wojska Polskiego wchodzące w skład Grupy Operacyjnej „Śląsk” dowodzonej przez gen. Jana Sadowskiego, dostały od dowódcy Armii „Kraków”, gen. Antoniego Szyllinga, rozkaz do odwrotu. Pospiesznie opuszczono śląskie fortyfikacje, budowane z mozołem od 1933 r. Cofano się na wschód, w stronę Krakowa. Oficjalnie ostatni polski oddział przeszedł przez Katowice 3 września, żegnany ogniem niemieckich dywersantów. Do tego momentu wieża spadochronowa służyła jako punkt obserwacyjny katowickiego 73. pp.

Zatrzymajmy się jednak na tym dniu, czyli na niedzieli 3 września.

W mieście pozostała jedynie część Ochotniczych Oddziałów Powstańczych, Straży Obywatelskiej Oddziałów Młodzieży Powstańczej i harcerze[5], a także nieliczne oddziały wojskowe (te jednak stopniowo się wycofywały). P. Dubiel pisze, że tego samego dnia w mieście pojawiał się zwiad niemieckiej 239. DP, który został przywitany ogniem powstańczej samoobrony. To fikcja nie mająca poparcia w żadnych źródłach (mogło chodzić tylko o starcie z dywersantami, bo Wehrmachtu w Katowicach jeszcze nie było). Wiadomo jednak, że w okolicach Parku Kościuszki pojawiły się pododdziały polskiej 55. Dywizji Piechoty Rezerwowej (dow. płk Stanisław Kalabiński), a konkretnie, kompania ckm z III batalionu 201. pp, która wycofywała się spod Mikołowa i osłaniała odwrót swojej dywizji. Wygląda więc na to, że jedni polscy żołnierze odeszli (zgodnie z rozka-

Słynny powojenny obraz przedstawiający walkę na wieży. Źródło: www.harcbook.info

Katowicka wieża spadochronowa w dniu dzisiejszym, to już nieco inna konstrukcja…

zem), a drudzy nadeszli. Kompania ckm zajęła pozycje na skraju Parku Kościuszki, na skarpie, którą następnego dnia zajęli Niemcy. Wkrótce dołączyła do nich kompania kolarzy z 55. DP. W tym samym czasie w mieście trwała dość uporządkowana ewakuacja wojska, powstańczej samoobrony, a także harcerzy. Tylko nikt nie wie, o jakiej liczbie osób mówimy. Problem bierze się stąd, że do Katowic napłynęli powstańcy i harcerze z miejscowości wcześniej zajętych przez Niemców. Do tego tworzyły się „samoistne" grupy obrońców, wyposażone w broń przejętą z magazynów policyjnych lub Przysposobienia Wojskowego. Późnym wieczorem, lub nocą, polska kompania ckm wycofała się ze stanowisk na skarpie koło Parku Kościuszki.

Następnego dnia, czyli 4 września, do Katowic zaczęła wkraczać cała niemiecka 239. DP. Jej żołnierze mieli katowicki Park Kościuszki po swojej lewej stronie. Podobnie wieżę spadochronową. Natomiast wieżę triangulacyjną – dokładnie na wprost. Kiedy powitał ich ogień z parku, odpowiedzieli błyskawicznie. Z wieży, a może z wież, na Niemców spadły pociski. Kto strzelał? Prawdopodobnie grupa harcerzy spoza Katowic, która kierowała się w stronę jakiegoś punktu zbornego (być może w stronę katowickiej komendy hufca ZHP na ul. Barbary). Zapewne nie była to nawałnica ogniowa. Harcerze mieli trochę broni ręcznej (właściwie nie wiadomo skąd) i być może jeden rkm. Niektórzy świadkowie twierdzili, że na szczycie wieży już wcześniej był zamontowany przez polskich żołnierzy karabin maszynowy (jako przeciwlotniczy), którego nie ściągnięto podczas odwrotu. Całkiem możliwe, że harcerze zauważyli nadciągających Niemców i postanowili ich zatrzymać. Swoje stanowiska rozłożyli w parku, od strony której nadciągał wróg. Nie było to rozsądne posunięcie. Ale nie wymagajmy od harcerzy wojskowego doświadczenia. Kiedy padły strzały z niemieckiego działka ppanc., opór zamarł. Niemcy trafili w platformę na szczycie wieży. Jeżeli ktoś tam był, zapewne zginął na miejscu lub został ciężko ranny. Z parku do Niemców strzelała również powstańcza samoobrona. Trudno powiedzieć, czy ich działania były skoordynowane z harcerzami na wieży.

„Tymczasem Niemcy zbliżyli się już do parku południowego i prowadzili tam zacięte walki z powstańcami"

To fragment artykułu z „Oberschlesische Volksstimme" (Gliwice, 06.09.1939).

Kim byli obrońcy wieży, tego nie wiemy. Czy byli to tylko harcerze, to również znak zapytania. Czy ich ciała zrzucono ze szczytu wieży dobijając w ten sposób ciężko rannych? To niewykluczone, choć nieudowodnione. Tylko jeden świadek twierdził, że Niemcy zrzucili cztery ciała w granatowych mundurach. Takich harcerze nie mieli. Podobno winda znajdująca się na wieży została uszkodzona strzałem z działka ppanc.[6] Tylko ci, którzy tam weszli, wiedzą, jak było. Ale ich już nie ma. Nic nam nie powiedzą.

Wspomina się również inne polskie punkty oporu w mieście. Podobno w dniach 3 i 4 września strzelano do Niemców ze szczytu 14-piętrowego budynku nazywanego „drapaczem chmur" (przy ul. Żwirki i Wigury), z Domu Powstańca Śląskiego przy ul. Matejki 3, z budynku Dyrekcji Policji, Dyrekcji Kolejowej, Komunalnej Kasy Oszczędności, Teatru Polskiego, z wieży protestanckiego kościoła przy ul. Warszawskiej oraz z innych gmachów. Trudno dzisiaj zweryfikować owe miejsca, a także siłę prowadzonego z nich ognia. Podobno 3 września część oddziałów powstańczej samoobrony wysunięto na Dąb, Załęską Hałdę i Brynów, skąd spodziewano się natarcia Niemców. Komendant obrony Katowic Jan Faska[7], były powstaniec śląski, w swoich wspomnieniach napisał: *„W Domu Powstańców, gdzie mieściła się Komenda, roiło się od młodych ludzi, to jest Młodzieży Powstańczej i Harcerstwa, pełnych fantazji i zapału do walki"*. Nie wiem czy nawet sam Faska miał pełne rozeznanie w sytuacji podległych mu jednostek. Podejrzewam, że nie do końca. Aby jeszcze bardziej pogubić się w sytuacji, należy wziąć pod uwagę, że 4 września w Katowicach znajdował się jeszcze jeden oddział regularnej polskiej armii. Była to 11. kompania forteczna, dotąd obsadzająca schrony w okolicach Rudy Śląskiej. Dowodził nią kpt. Marian Tułak, a dowódcami plutonów byli ppor. rez. Kościelniak z Katowic i nauczyciel Flach z Tarnowskich Gór. Owa kompania 3 września zajęła pozycje na Załężu[8] (na załęskim dworze), a jej zadaniem była prawdopodobnie osłona odwrotu głównych sił. Inni twierdzą, że kpt. Tułak nie dostał rozkazu odwrotu i wycofał się na własną rękę, widząc, że sąsiednie odcinki polskiej obrony zostały opuszczone. 4 września zdecydował się na odwrót z Katowic, przechodząc jednak przez Plac Wolności znalazł się pod ogniem prowadzonym być może przez niemieckich dywersantów. Poza tym nie-

daleko znajdowały się już szpice niemieckiej 239. DP. Polscy żołnierze, ponosząc straty, przedostali się w stronę Sosnowca. Mniej więcej w tym samym czasie trwały walki w Parku Kościuszki. Ogólnie rzecz biorąc, w Katowicach panował całkowity chaos. W wielu miejscach z wkraczającymi Niemcami (głównie dywersantami) walczyli harcerze. Nie tylko na wieży spadochronowej.

„Droga do Katowic prowadzi, patrząc od czoła grupy marszowej, w prostym kierunku na wzniesienie terenu, a stamtąd, lekko opadając ku miastu. Tuż przy wspomnianym punkcie postoju, na prawo od ulicy leży folwark Brynów. Na wzniesieniu terenu po prawej (w kierunku wschodnim) wzgórze z drewnianą konstrukcją triangulacyjną, po lewej, oddzielony od wzgórza jedynie ulicą, zalesiony teren, park miejski, ciągnący się wzdłuż ulicy aż do miasta; w nim stoi żelazna konstrukcja wieży z platformą, na którą prowadzi winda.

Sztab dywizji udaje się na małe wzgórze, z którego widać całe Katowice, wkrótce przybywa tu również sztab 3. Odcinka Straży Granicznej. Grupa marszowa rozciągnięta jest na ulicy aż po wzniesienie. Nagle ze wspomnianej wieży w parku miejskim rozpoczyna w kierunku sztabów strzelać polski karabin maszynowy, szczęściem wiązka pocisków przelatuje nad głowami. Armatka przeciwpancerna odpowiada ogniem i jednym z pierwszych pocisków trafia linę windy, winda spada, ogień ustaje" (fragment relacji nieznanego autora opisującego działania 239. DP).

Podobno (wg legendy rozpowszechnianej po wojnie) w chwili wejścia do Katowic niemieckich oddziałów, gdy w oknach wielu mieszkań wisiały flagi ze swastyką, a duża rzesza cywilów witała niemieckich żołnierzy słodyczami i kwiatami, do jednego z oficerów podeszła młoda dziewczyna. Była harcerką i miała ukrytą broń. Gdy była blisko, oddała w jego kierunku jeden lub więcej strzałów. To była jej zemsta za zabicie koleżanek i kolegów na wieży spadochronowej. Nie wiadomo jednak, gdzie to było, co się z nią stało, i czy w ogóle taka sytuacja miała miejsce. Na pewno zginęło wiele osób. Jeszcze więcej zostało zamordowanych. Ich ciała gromadzono w cmentarnych kostnicach, skąd wywożono je do spalenia w gliwickim krematorium lub chowano w masowych mogiłach. Wiele ciał spoczywa w kilku zbiorowych pochówkach na cmentarzu w Katowicach–Ligocie. Sporo ludzi wywieziono do lasów panewnickich, gdzie ich rozstrzelano i pochowano w masowych grobach. O części z nich nie wiadomo, kim byli. To tragiczny bilans wrześniowych walk w Katowicach i zajęcia miasta przez armię niemiecką.

Kim byli obrońcy wieży, pozostało tajemnicą. Nie wiadomo też, gdzie zostali pochowani. Być może spoczęli na cmentarzu w Katowicach–Panewnikach. Jest jeszcze jedna możliwość. Być może wcale nie zginęli. Może po prostu zdołali uciec, zanim Niemcy ostrzelali wieżę ogniem z działek ppanc. Tego nie można wykluczyć. Co ważne, obsługą karabinu maszynowego umieszczonego na wieży musiał się zająć ktoś, kto się na tym znał. Amator tego nie zrobi, bo strzelanie z karabinu bez jego zacinania się nie jest takie proste. Harcerze nie znali się na obsłudze karabinów maszynowych. Więc kto strzelał?

„Dowódca udaje się początkowo wraz z szefem sztabu oraz sztabem bojowym do Mikołowa, do 239. Dywizji, potem zaś dalej (...) na wzgórze położone jeden kilometr na południe od Katowic, gdzie obserwuje on przemarsz dywizji. Na wzgórzu tym sztab zostaje ostrzelany z Parku Południowego ogniem karabinu maszynowego. Szybko ustawione na stanowisku działko przeciwpancerne wyłącza z walki nieprzyjacielskie gniazdo karabinów maszynowych na wieży Parku Południowego" (z dziennika bojowego 3. Odcinka Straży Granicznej, 4.09.1939).

W 1999 r. w „Dzienniku Zachodnim" ukazał się artykuł oparty na relacjach Zenona Filara, który w 1939 r. był członkiem drużyny harcerskiej w Mysłowicach, działającej przy Gimnazjum im. T. Kościuszki. Podawał on personalia harcerzy, którzy zginęli w obronie wieży spadochronowej. Okazało się to wielką mistyfikacją. Jeszcze wcześniej, bo w 1979 r. w czasopiśmie „Poglądy" ukazał się artykuł Krystyny Heska-Kwaśniewicz (harcmistrzyni i literaturoznawca z Uniwersytetu Śląskiego), oparty na relacjach Jerzego Kozy. Twierdził on, że miasto zostało zajęte przez Niemców już 2 września, natomiast wieża spadochronowa broniła się aż do 4 września. Jej obrońcy, których wzięto do niewoli, zostali doprowadzeni na katowicki rynek i tam rozstrzelani. I to nie jest prawdą. Pojawiały się także różne „rewelacje" na temat obrońców wieży. W 1983 r. w „Tak i Nie" opublikowano artykuł Andrzeja Koniecznego, wg relacji Gertrudy Langer, która pod wieżą widziała zwłoki martwych harcerzy i harcerek. Ale widziała również niemieckie samochody pancerne, których 239. DP nie miała. Tak właśnie wokół stworzonego przez K. Gołbę mitu narastała tajemnicza, budząca wiele emocji otoczka.

Historia pisana na nowo...

W 2003 r. harcmistrz Tadeusz Czylok stwierdził, że podczas okupacji niemieckiej w Katowicach nic nie mówiono o obrońcach wieży spadochronowej. Mit wokół ich walki urósł dopiero po wojnie. To bardzo ważne słowa w dyskusji toczącej się wokół obrońców wieży spadochronowej. Ważna jest również relacja Norberta Persicha, który dyżurował na wieży spadochronowej jako obserwator. Gdy 3 września opuszczał swój posterunek, zauważył gotujących się do wejścia na wieżę harcerzy oraz kilku powstańców. Jego ojciec, który następnego dnia szukał Norberta, widział pod wieżą leżące w nienaturalnych pozach zwłoki harcerzy i harcerek. Taki bieg wypadków

zdarzyło się...

8 V 1945 r.

70 lat temu formalnie zakończyła się w Europie II wojna światowa. Jej końcowym akcentem było podpisanie aktu bezwarunkowej kapitulacji, przez niemieckich dowódców naczelnych wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Dzień wcześniej w Reims we Francji III Rzesza złożyła broń na froncie zachodnim przed przedstawicielami Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego. Stalin zażądał jednak, aby w Berlinie Niemcy podpisały akt kapitulacji oddziałów walczących na wszystkich teatrach działań. Nastąpiło to tuż przed północą 8 V 1945 roku. Wg czasu moskiewskiego był już kolejny dzień. Podzielony po wojnie strefami wpływów świat, obchodził więc dwie rocznice zakończenia wojny – w bloku sowieckim 9 maja, na zachodzie zaś dzień wcześniej. Obchody rocznicy tego niezwykle istotnego wydarzenia w historii świata, mimo zmienionej po 1989 r. sytuacji geopolitycznej, wciąż jednak budzą kontrowersje...

Tablica pamiątkowa przy wieży. Fot. D. Pietrucha.

potwierdzają relacje innych świadków. Tylko że na platformie wieży podobno nie było żadnych śladów krwi…

Kiedy w 2003 r. prof. historii Ryszard Kaczmarek z UŚ podważył mit długotrwałej walki na wieży spadochronowej, posługując się relacją samego gen. mjr. Neulinga, wokół sprawy zawrzało (swoją opinię oparł na podstawie dokumentów znalezionych w niemieckim Federalnym Archiwum Wojskowym we Fryburgu). Nie był pierwszy. Na początku lat 80. to samo twierdził prof. dr hab. Andrzej Szefer z UŚ. Krzyczano, że to zamach na pamięć jej obrońców. Mówiono, że w ten sposób można podważyć wszystkie narodowe świętości. Zarzucano, że nie można wierzyć niemieckiemu oficerowi, który celowo zatuszował pewne fakty. To nie tak. Sprawę, o ile się jeszcze da, trzeba wyjaśnić. Nie można zapełniać historii mitami. Trzeba dążyć do obiektywnej prawdy. Być może w przyszłości okaże się, że obrońcy wieży spadochronowej zasłużyli na wieczną pamięć. Wtedy z pełną świadomością pochylimy przed nimi czoła. Ale równie dobrze może się okazać, że nie zginęli tam żadni harcerze. Śmiem jednak wątpić, czy to kiedykolwiek się wyjaśni. Swoje śledztwo w tej sprawie prowadził katowicki oddział IPN-u. Poczekajmy na rezultaty.

A jakie były dalsze losy wieży? Prawdopodobnie w 1940 r. Niemcy ją rozebrali. Nie chodziło o symbol oporu Polaków. Zdobywcy nie nadali jej takiego znaczenia, bo stoczoną walkę traktowali jako jeden z wielu, mało znaczących epizodów zdobycia polskiej części Górnego Śląska. Rozebrali ją, bo była im po prostu niepotrzebna. A pozyskana z niej stal, jak najbardziej. Nie ma pewności, czy jej elementy wywieziono z Katowic. Być może pozostały tam do zakończenia wojny.

Wieża została odbudowana w latach 50. (inni twierdzą, że w latach 1947-1948) przez chorzowską firmę „Konstal", na wniosek śląskich środowisk kombatanckich, harcerskich i politycznych, ale jednocześnie została zamknięta jako obiekt sportowy i stała się miejscem pamięci narodowej. Prawdopodobnie nie od razu zabroniono używania jej jako platformy widokowej. Odbudowano ją w innym, niż pierwotny, kształcie. Niektórzy twierdzą, że powojenna wersja była zmodyfikowaną wieżą wybudowaną wcześniej przez Polaków w Bielsku Białej. Faktem jest, że obecna ma zupełnie inny kształt od tego, który możemy podziwiać na przedwojennych zdjęciach. W 1971 r. przeszła remont. To właśnie wtedy skrócono ją o 15 m. Niewykluczone, że właśnie podczas tego remontu, ze względu na nowy układ dróg, została również przesunięta w nowe miejsce. Początkowo udostępniono ją do zwiedzania jako miejsce widokowe. Za wejście trzeba było zapłacić kupując bilet. Budka biletera stała poza wieżą. Dzisiaj nadal stoi w Parku Kościuszki, otoczona w lecie pięknymi klombami kwiatowymi. Koło niej spaceruje sporo ludzi. Wielu z nich podchodzi bliżej, by przeczytać tekst na tablicy pamiątkowej, umieszczonej pod wieżą. Z katowickiej wieży spadochronowej już się nie skacze. Nie można z niej również podziwiać wspaniałej panoramy miasta. Szkoda. Jest zamknięta.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Przypisy:

[1] M.in. dwie wieże w Warszawie, po jednej w Bydgoszczy, Toruniu, Poznaniu, Grudziądzu, Kielcach, Bielsko Białej, Łodzi, Lublinie, Białymstoku, Lwowie, Radomiu i Ostrowie Mazowieckim. Podobno projektantem większości z nich był inż. Jerzy Koziołek z Chorzowa, który również projektował infrastrukturę lotnisk (np. w Krośnie). Warunkiem dopuszczenia osoby do skoku była waga poniżej 80 kg i opłata za skok – 30 gr dla członków LOPP i 50 gr dla pozostałych. Podobno planowano budowę jeszcze 4 wież. Co ciekawe, w tym samym czasie Brytyjczycy nie posiadali ani jednej. Dopiero, gdy w Wielkiej Brytanii znaleźli się żołnierze płk. Sosabowskiego, w VIII 1941 r. zbudowano wieżę ćwiczebną w Lundkin Links o wys. 27 m. Jej konstruktorem był ppłk inż. Iwanowski.

[2] Ur. 8.09.1888 r. w Sielcach pod Będzinem; w okresie plebiscytowym przyjechał do Chorzowa; uczestnik powstań śląskich; w 1922 r. wraz z rodziną zamieszkał w Katowicach; prowadził tam restaurację na dworcu kolejowym; był też radnym miasta Katowice oraz ławnikiem sądowym; podczas obrony Katowic prawdopodobnie dowodził oddziałem powstańców, który walczył m.in. w Parku Kościuszki; jednakże Renc opuścił swój oddział i wrócił do domu. Został schwytany przez Niemców i rozstrzelany 4.09.1939, wraz ze swoim synem Józefem.

[3] Jednostka specjalna niemieckich dywersantów utworzona i przeszkolona przez Abwehrę; brali udział w starciach nadgranicznych na 2 tygodnie przed wybuchem wojny; walczyli w ubraniach cywilnych.

[4] W „Gościu Niedzielnym" (4.09.1949) K. Gołba opublikował artykuł „W dziesiątą rocznicę", w którym zamieścił informację, że 1.09.1939 r. Katowice zostały zbombardowane przez kilkadziesiąt niemieckich bombowców; coś takiego nie miało miejsca; pisze również, że opanowanie Katowic kosztowało Niemców 200 zabitych; nie wiadomo, skąd owa informacja.

[5] P. Dubiel podaje, że w mieście pozostała 150-osobowa kompania powstańcza z Katowic–Bogucic dow. przez Fr. Kruczka oraz 20 uzbrojonych członków młodzieży powstańczej; w Katowicach–Zawodziu znalazł się silny oddział powstańczy dow. przez K. Orendorza; na Załężu bronił się oddział powstańczy Bazana; były jeszcze inne, mniejsze oddziały; harcerzami dowodził Piechaczek ze Świętochłowic, J. Olejniczak oraz St. Karkoszka; w mieście znalazły się również nieustalone oddziały powstańcze z Chorzowa i z powiatu rybnickiego, co znacznie utrudnia rozpoznanie obrońców miasta.

[6] Henryk Racki w swoim opracowaniu podaje, że jedną z harcerek zamordowanych na wieży mogła być druhna Szejówna z Ochojca; wg niego Niemcy zrzucili z wieży zwłoki pięciu harcerek, które broniły się tam do końca.

[7] Był bliskim współpracownikiem Wojciecha Korfantego; po przejęciu rządów przez sanację wyjechał wraz z rodziną do Francji, potem do Urugwaju, by w końcu osiedlić się w Sao Paulo w Brazylii; powrócił do Polski w IV.1939 r. i pracował jako urzędnik; był bardzo popularny wśród powstańców śląskich, co zapewne zadecydowało o powierzeniu mu funkcji komendanta obrony Katowic; kiedy Niemcy zdobyli Katowice, udało mu się uciec; trafił do Lwowa, a później ukrywał się w Busku; po wojnie powrócił do Chorzowa; został członkiem PPR; był aktywnym działaczem społecznym; zmarł w 1953 r. w Chorzowie i został pochowany w alei zasłużonych na miejskim cmentarzu.

[8] W nocy z 3 na 4 września znaleźli się tutaj również członkowie powstańczej samoobrony.

Literatura:

1. G. Bębnik, „Katowice we wrześniu '39", Katowice 2006
2. P. Dubiel, „Wrzesień 1939 na Śląsku", Katowice 1960
3. R. Kaczmarek, „Górny Śląsk podczas II wojny światowej", Katowice 2006
4. H. Racki, „Śląski wrzesień", Warszawa 1970
5. P. Witkowski, „Polskie jednostki powietrzno-desantowe na Zachodzie", Warszawa 2009

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Wojna od kuchni (cz. 3)

Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 1)

TOMASZ BIENEK

Za myśl przewodnią kolejnego odcinka naszego cyklu mógłby posłużyć koszarowy „dowcip z brodą": „Czym je żołnierz? Żołnierz je obrońcą ojczyzny!". Ten nie najwyższych lotów kawał kieruje jednak kolekcjonera w zaskakujący mnogością bytów świat wojskowych przyborów do jedzenia.

Wojskowy niezbędnik to jeden z podstawowych przedmiotów wyposażenia polowego. Zróżnicowane pod względem funkcjonalności i zasady działania zestawy sztućców otrzymywali żołnierze wszystkich armii obu wojen światowych, ale w żadnym chyba kraju żołnierski niezbędnik nie zrobił takiej kariery, jak w III Rzeszy. To właśnie niemieckie niezbędniki z lat II wojny światowej osiągają pierwsze miejsca we wszystkich kategoriach: finezja projektantów, mnogość odmian, jakość wykonania oraz funkcjonalność; powodując, iż niemiecka armia nie miała pod tym względem odpowiednika w skali świata. Przy rozważaniach na temat niemieckich niezbędników z lat ostatniej wojny nieubłaganie pojawia się jeszcze jeden wątek – dbałość o produkcję niezbędników dla żołnierzy poszczególnych rodzajów sił zbrojnych oraz ilość ich typów, która graniczyła u Niemców z absurdem.

Podczas gdy Brytyjczycy czy Amerykanie wydawali proste w produkcji zestawy złożone z widelca, łyżki i noża, Niemcy żyli przekonaniem, iż od kształtu i stopnia zaawansowania konstrukcji żołnierskich niezbędników zależą losy wojny. Cóż, w efekcie przed obecnymi kolekcjonerami stoi wielkie wyzwanie, bowiem wiele z niemieckich rozwiązań przetrwało do dzisiaj, a wariacje na temat niezbędników Wehrmachtu bez trudu odnaleźć można we współczesnych niezbędnikach wojskowych, a nawet turystycznych.

O ile niemiecki żołnierz w latach I wojny światowej otrzymywał klasyczny niezbędnik (niem. Essbesteck) złożony ze znitowanego widelca i łyżki, to już w trakcie II wojny światowej – choć identyczny model nadal był w użyciu – popularne stały się, produkowane zazwyczaj z nierdzewnej stali, składane zestawy, w których widelec, łyżkę i nóż w różny sposób mocowano do otwieracza konserw i butelek.

Zaczęło się jednak niewinnie...

Na początku XX wieku w niemieckiej armii pojawił się wspomniany składak w postaci znitowanego widelca i łyżki. W menażce wprowadzonej w 1910 roku (która w niemieckiej armii dotrwała do końca II wojny światowej) przewidziano możliwość noszenia niezbędnika wewnątrz kociołka, dzięki specjalnym perforacjom na jego brzegu (fot. 1). Ten

Fot. 1

sposób mocowania niezbędnika ułatwiał zagięty w dół koniec uchwytu łyżki. Równie często żołnierze nosili go w chlebaku wraz z prowiantem.

Klasyczny pruski niezbędnik z ocynkowanej stali produkowany był także po zakończeniu I wojny światowej oraz w III Rzeszy, choć raczej jego odbiorcą nie było wojsko, prędzej przeróżne paramilitarne lub polityczne organizacje. Powszechnie używały go Oddziały Szturmowe (niem. Sturmabteilung, SA). Zapewne na potrzeby tej organizacji wyprodukowano widoczny na zdjęciu egzemplarz (fot. 2), który nosi

Fot. 2

sygnatury „RZM" (Reichs Zeug Meisterei) – typowe dla sprzętu wykonywanego dla organizacji o nazistowskim rodowodzie. Sygnaturą „RZM" posługiwał się urząd kontrolujący jakość ekwipunku produkowanego na potrzeby NSDAP, SA, Hitlerjugend czy SS. Bardzo często elementy żołnierskiego wyposażenia, w tym i niezbędniki sygnowane tym skrótem, trafiały do wojska, albowiem do Wehrmachtu wcielano całe oddziały SA, zachowując częściowo ich pierwotny ekwipunek. Niezbędniki tego typu produkowane

Fot. 3

Fot. 4

dla armii, wykonywano natomiast z aluminium. Na niektórych umieszczano wojskowy znak odbioru, czyli Waffenamt (fot. 3 i 4). Zazwyczaj niezbędniki z tym znakiem mają większy i solidniejszy nit łączący widelec i łyżkę. Stosowano wszelkie rodzaje znaków Waffenamt. Na niezbędnikach widnieją Waffenamty starego typu – z orłem Republiki Weimarskiej (fot. 5 i 6), jak i małe znaki, typowe np. dla bagnetów. Ponadto zawsze umieszczano kod producenta oraz dwie

Fot. 5

Fot. 6

Fot. 7

ostatnie cyfry roku produkcji. Niezbędniki sygnowane Waffenamtem noszą datę wybitą w całości. Z biegiem czasu pojawiły się niezbędniki tego wzoru produkowane z wysokogatunkowej stali nierdzewnej, jak pokazany na zdjęciu egzemplarz sygnowany „W.S.M. 41 Rostfrei" (fot. 7), a pod koniec wojny oszczędnościowe wersje ze zwykłej blachy. Skromniejszą wersję niezbędnika z końca wojny, sygnowaną kodem „H.H.L.", prezentuje zdjęcie 8.

Fot. 8

Wojskowe niezbędniki tego typu, przez żołnierzy określane mianem „göffel" (kombinacja niemieckich słów: gabel – widelec i löffel – łyżka), nie różnią się w większości ani wymiarami, ani kształtem, jednak istnieją wyjątki od tej reguły, jest nim widoczny na zdjęciu (fot. 9, 10), aluminiowy niezbędnik z 1944 roku, sygnowany kodem „W.S.M. 44". Jest on krótszy od klasycznego, regulaminowego wzoru, ma za to wyprofilowany w charakterystyczny sposób uchwyt sztućców.

Po zajęciu Austrii w 1938 roku i wcieleniu armii austriackiej (Bundesheer) wraz z jej sprzętem do Wehrmachtu, w niemieckich szeregach znalazły się też austriackie niezbędniki. Na zdjęciu widać jeden z regulaminowych austriackich modeli, sygnowany „starym" Waffenamtem oraz sygnaturą producenta „S&HL" (fot. 11, 12).

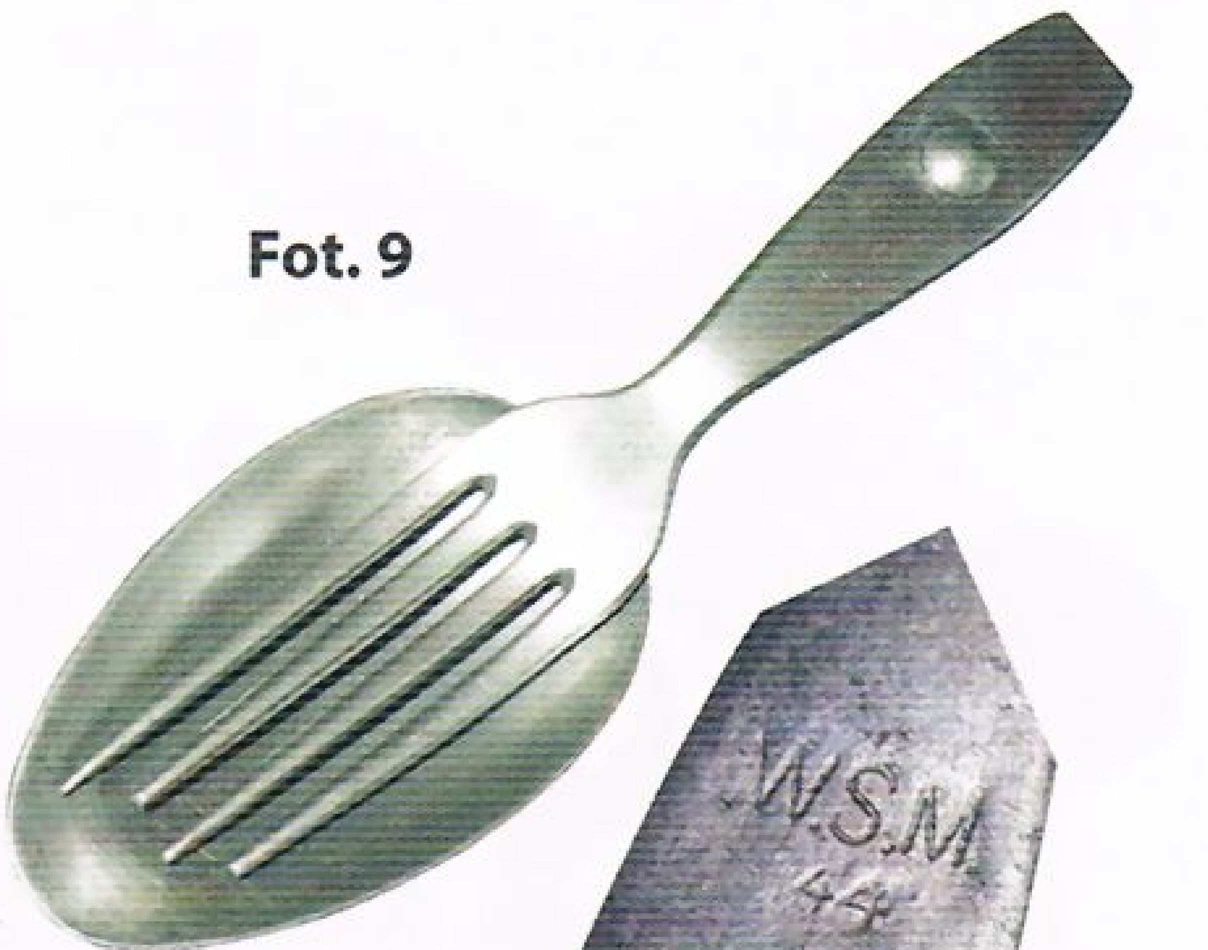

Fot. 9

Fot. 10

Fot. 11

Fot. 12

W latach 30. w wyniku gwałtownego rozwoju sił zbrojnych III Rzeszy oraz licznych organizacji, zapotrzebowanie na niezbędniki znacznie wzrosło. W okresie tym przemysł niemiecki nie był w stanie zaspokoić potrzeb wszystkich odbiorców, koncentrując się na najbardziej chłonnym i zachłannym, czyli armii. Organizacje paramilitarne wyrastające jak grzyby po deszczu i rosnące w siłę, musiały uciekać się do zakupu niezbędników niestandardowych lub do importu, czego dowodem jest niezbędnik pokazany na zdjęciu (fot. 13, 14) – regulaminowy niezbędnik armii szwajcarskiej. Obok daty produkcji, 1934, oraz sygnatury szwajcarskiego producenta, Wenger Dolemont, pojawił się nabity już przez niemieckich odbiorców hitlerowski orzeł.

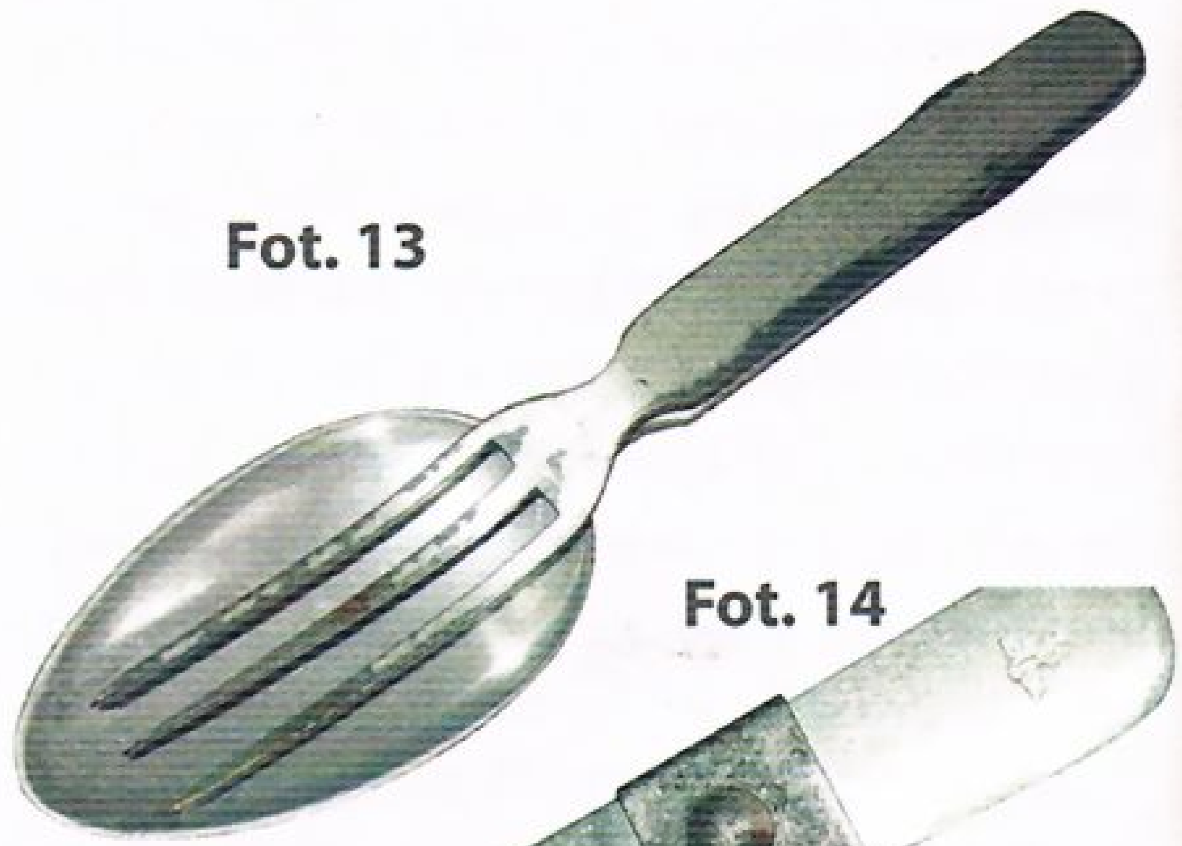

Fot. 13

Fot. 14

Po wybuchu II wojny światowej w Wehrmachcie zaczęło pojawiać się coraz więcej skomplikowanych niezbędników. Najpopularniejsza była wersja, w której łyżkę i widelec wsuwano wraz z nożem do pojemnika, tworząc tym samym jednocześnie dwufunkcyjny otwieracz do kapsli i konserw. We wczesnych wersjach łyżkę, widelec oraz uchwyt noża wykonywano z aluminium, a otwieracz i ostrze noża ze stali. Przykładem tej odmiany jest egzemplarz sygnowany przez producenta kodem „HMZ", w którym niestety brakuje noża (fot. 15). W takich niezbędnikach kod producenta i hitlerowski orzeł umieszczane były jedynie na otwieraczu, zaś na pozostałych elementach wybijano numer serii. Bardzo szybko pojawiły się jednak zestawy

Fot. 15

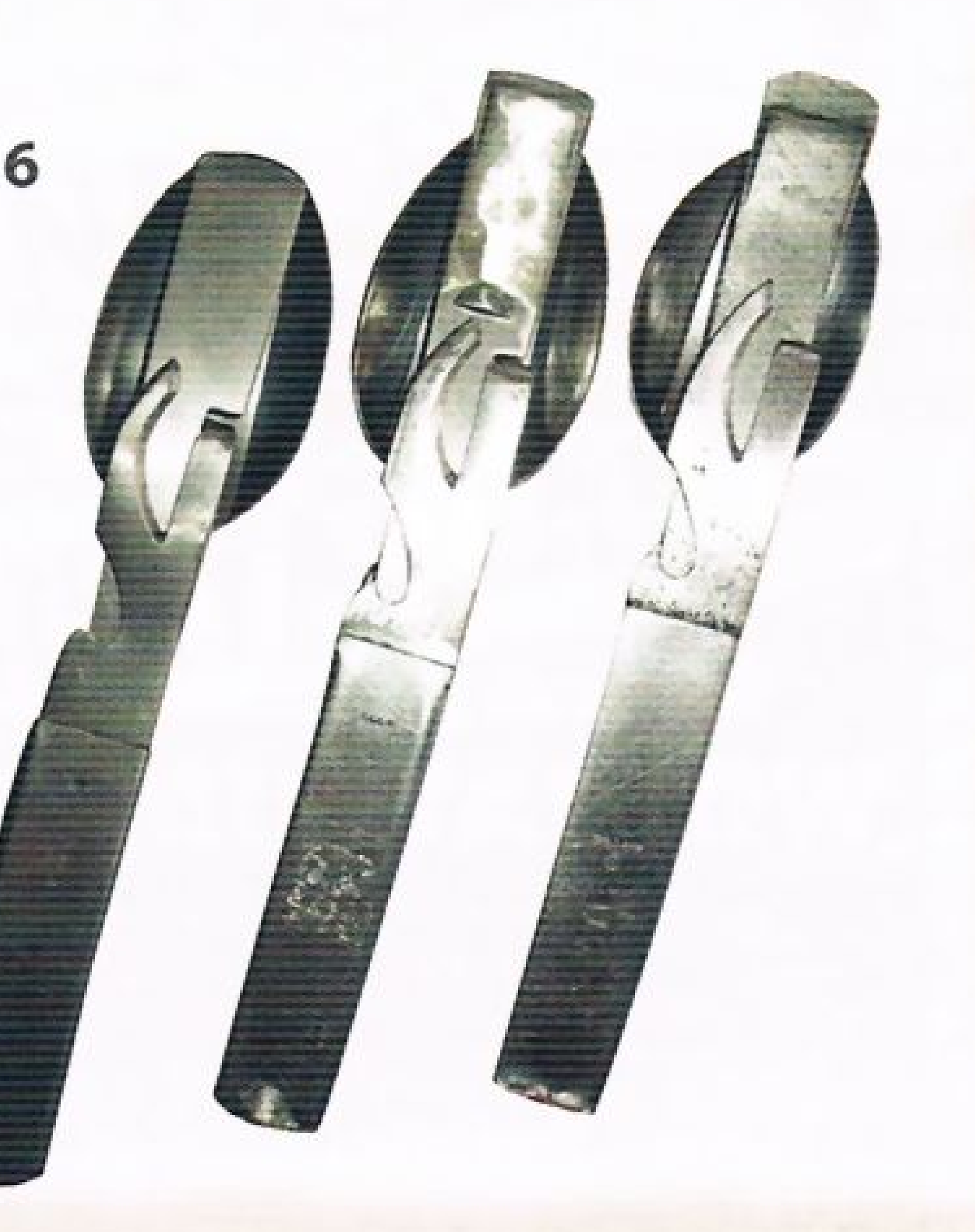

Fot. 16

w całości produkowane z wysokiej jakości stali, w których komplet sygnatur (producent, data produkcji i hitlerowski orzeł) widniał na każdym z elementów. Niezbędniki pochodzące od różnych wytwórców wyglądały podobnie, różniły się jednakże drobnymi szczegółami wykonania. Na zdjęciu pokazano niezbędniki sygnowane kodami: „LGK&F 41", „GAG 41", „FBCM 41" (fot. 16). W zestawieniu tym zwracają uwagę drobne różnice w uchwycie noża. Pozostałe, równie niewielkie różnice, dotyczyły konstrukcji widelca – co uwidacznia zdjęcie 17. Począwszy od lewej, widać na nim widelce sygnowane kodami: „CPSW 41", „C&C.W. 42", „HMZ".

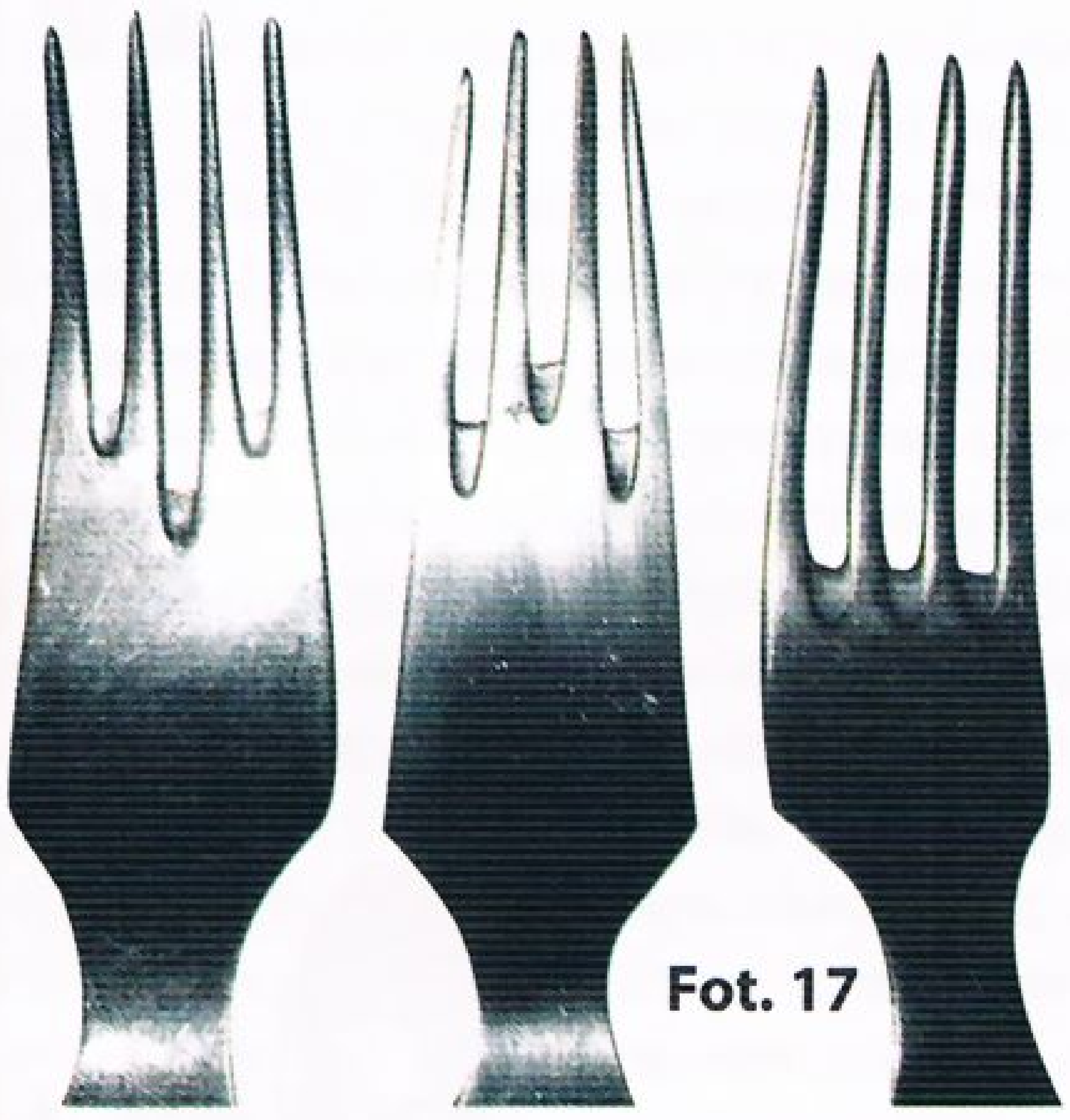

Fot. 17

Pomimo iż różnice nie były znaczne, spowodowały, że sztućce pochodzące od jednego producenta, nie zawsze pasują do otwieracza-pojemnika z innej fabryki. Dla kolekcjonera oznacza to konieczność mozolnego kompletowania elementów niezbędnika z tej samej fabryki, ponieważ większość pojawiających się na rynku niezbędników, jest mocno zdekompletowana. Trudno powiedzieć, jak z tym problemem poradzili sobie Niemcy, gdyż wiadomo, że w przypadku utraty przez żołnierza jednego z elementów, jego uzupełnienie we frontowych warunkach było praktycznie niemożliwe, skutkiem niedopasowania sztućców z różnych fabryk.

No cóż, na własne życzenie Niemcy komplikowali sobie życie, bowiem elementy niezbędników różnią się nie tylko wymiarami, ale i oznaczeniami – podczas wojny na niezbędnikach zaczęto wybijać orły, określające rodzaj sił zbrojnych. Odpowiednio sygnowane zestawy otrzymywali żołnierze wojsk lądowych, inne ci, którzy służyli w lotnictwie czy marynarce. Dowodem na to jest rzadki niezbędnik marynarza, w którym tradycyjnie brakuje noża, opatrzony kodem „F.W.W. 41" i orłem marynarki (fot. 18, 19).

Fot. 18

Fot. 19

Przy kompletowaniu niezbędnika, trzeba więc dobierać nie tylko elementy od tego samego wytwórcy, ale też przeznaczone dla tej samej formacji. Nierozwiązany przez niemiecką intendenturę problem, spada dzisiaj na barki kolekcjonerów niemieckich militariów.

Chaos potęguje fakt, iż istniał drugi typ wieloelementowego niezbędnika. Choć podobny, opierał się na zupełnie innym systemie. Widelec i łyżkę, dzięki otworom w uchwytach, mocowano do bolców w otwieraczu. Całość blokował wkładany ostrzem do tyłu nóż. Także tym niezbędnikom nadawano symbole świadczące o przynależności do odmiennych rodzajów wojsk. Egzemplarz ze zdjęcia (fot. 20, 21), sygnowany „GAG 41", należał do żołnierza wojsk lądowych, o czym świadczy odpowiedni orzeł. Zdekompletowaną, ale rzadką, bo oszczędnościową odmianę tego modelu, wykonaną ze zwykłej blachy, widać na zdjęciu 22. Jest to egzemplarz wyprodukowany dla Luftwaffe, o czym świadczy lotniczy orzeł.

Najrzadszy z regulaminowych niezbędników Wehrmachtu pokazany jest na zdjęciach: 23, 24. W modelu tym nóż wchodzi ostrzem nie do otwieracza, lecz do widelca. Łyżka z widelcem łączą się dzięki prostokątnym perforacjom. Otwieracz konserw umieszczony jest w uchwycie łyżki. Niezbędniki te nie noszą żadnych sygnatur, co dziwi, wobec bogatych sygnowań innych niezbędników wieloelementowych. Wedle jednej z opinii, jest to model niezbędnika dla SS. Nie do końca jednak jest to zgodne z prawdą, gdyż dokładnie ten model dzierży w dłoniach żołnierz Afrika Korps, w kultowym, kolorowym filmie dokumentalnym, pokazującym czołgistów smażących jajecznicę na pancerzu czołgu. W prezentowanym na zdjęciu egzemplarzu nóż pochodzi z innego niezbędnika.

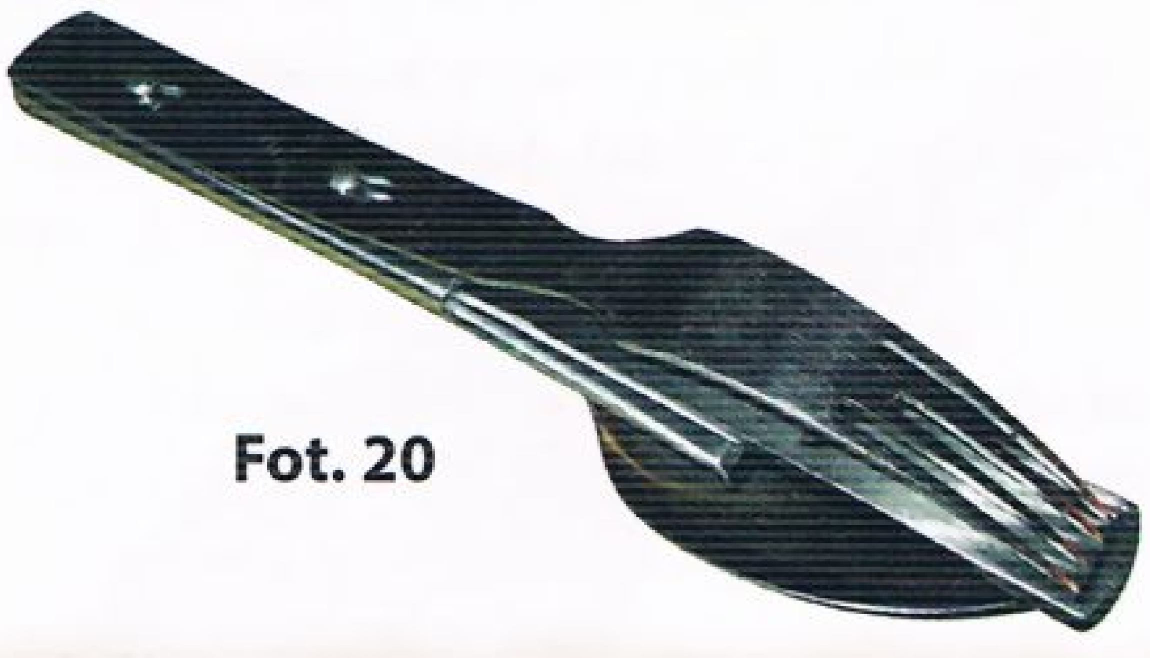

Fot. 20

Znamienne jest, iż w pojawiających się na rynku wieloelementowych niezbędnikach niemal zawsze braku-

Fot. 21

Fot. 22

Fot. 23

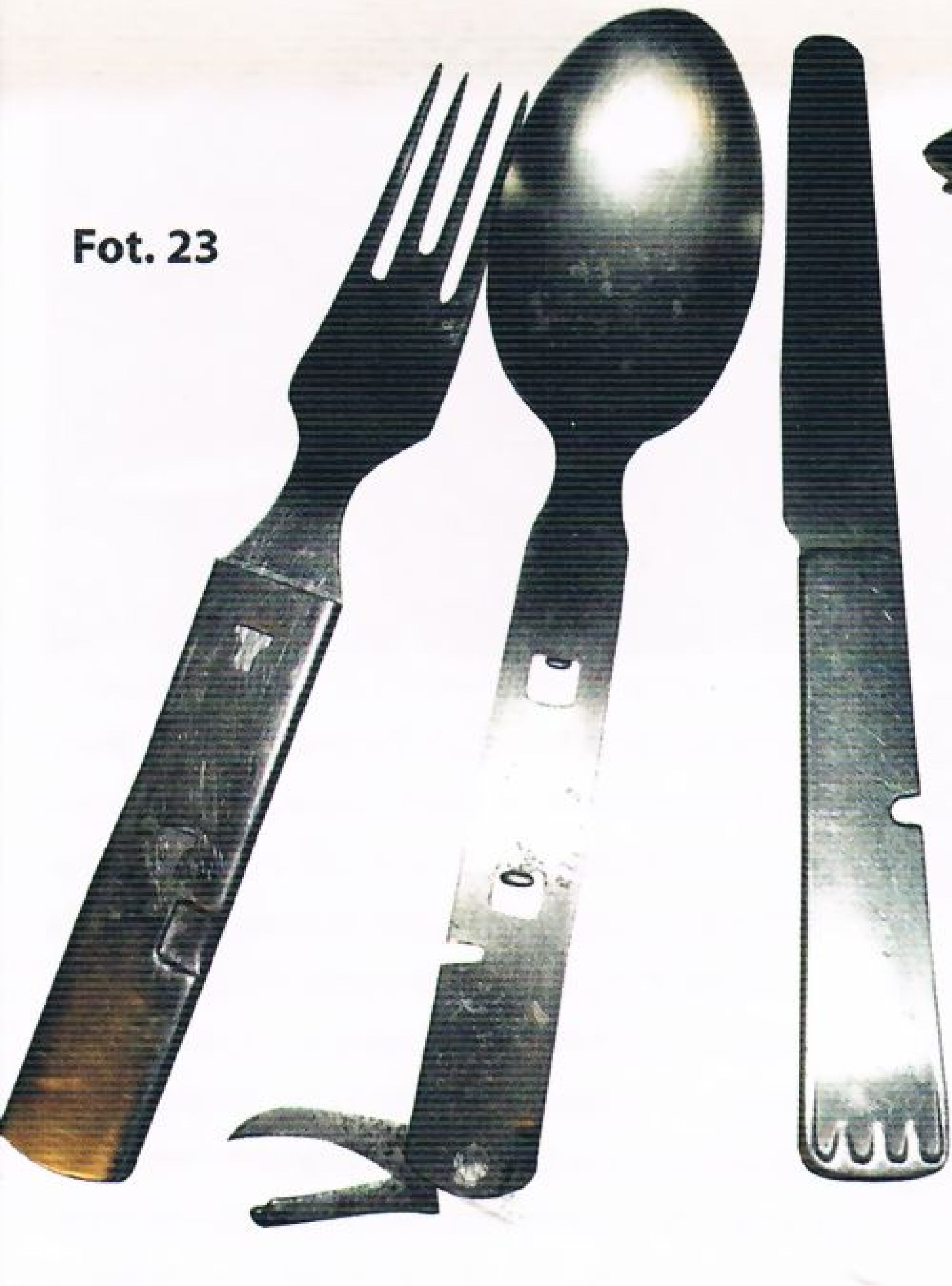

Fot. 24

je noża. Wśród znawców tematu pojawia się w tej kwestii kilka teorii. Zdaniem jednych, noże łamały się, gdy żołnierze próbowali wykorzystywać je niezgodnie z przeznaczeniem, np. w roli śrubokrętów bądź innych narzędzi. Inni twierdzą, że noże odbierano jeńcom, zostawiając im resztę sztućców. Według kolejnej jeszcze opinii, w niezbędnikach używanych po wojnie, już w cywilnym, „drugim życiu", noże tępiły się i były ponownie ostrzone, z czasem ulegały więc całkowitemu zużyciu i były po prostu wyrzucane. Trudno rozsądzić, która z tych teorii jest najbliższa prawdy, lecz zapewne wszystkie zawierają jej ziarno. Cdn.

ZDJĘCIA: PREZENTOWANE EKSPONATY POCHODZĄ Z KOLEKCJI AUTORA.

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Wojna od kuchni" ukazały się:

» cz. 1 „Pili sake, jedli ryż… czyli japońska wojna od kuchni", nr 3/2015,

» cz. 2 „Kultowe napoje gazowane po obu stronach frontu czyli Coca-Cola kontra Afri-Cola", nr 4/2015.

Literatura:
1. G. Rottman, R. Volstad, „Niemiecki ekwipunek bojowy 1939-1945", Osprey Publishing Ltd. 1991
2. R. Fisch, „Field equipment of the Infantry 1914-1945", A Greenberg Publication 1989
3. R. Trye, „Żołnierze Mussoliniego", Dom Wydawniczy Bellona 2000

Tomasz Piotr Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza, z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „Ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

REKLAMA

Legendarna broń biała cz. 2

Nóż bojowy Fairbairn–Sykes

PIOTR GALIK

Jednym z najbardziej charakterystycznych elementów uzbrojenia brytyjskiego, a także alianckich sił specjalnych podczas II wojny światowej, stał się dość niepozorny z wyglądu, ale we wprawnych rękach śmiercionośny nóż bojowy, znany szerzej jako „Commando Dagger" (sztylet komandosów) albo „FS", produkowany w licznych odmianach. Był także bronią polskich spadochroniarzy, komandosów i „Cichociemnych". Stał się symbolem oddziałów wyborowych do tego stopnia, że pojawił się jako główny motyw wielu oznak tych formacji. W służbie pozostał długo po 1945 r., a z czasem stał się wzorem dla nowych modeli broni do walki wręcz, choć nawet w postaci „klasycznej" jest chętnie kopiowany i produkowany także w naszych czasach.

Z Szanghaju na Wyspy, czyli dalekowschodnie początki

Twórcami tego niezwykłego noża stali się dwaj eksperci w dziedzinie walki wręcz, William Ewart Fairbairn (1885-1960) i Eric Anthony Sykes (1883-1945). Od ich nazwisk pochodzi oficjalne określenie broni: „Fairbairn–Sykes Combat Knife", co zwykle skracano do „FS".

Pierwszy z nich miał za sobą niedługą karierę wojskową w brytyjskiej piechocie morskiej, lecz już w 1907 wstąpił do Policji Miejskiej w Szanghaju (Shanghai Municipal Police, SMP), osobliwej formacji, której zadania początkowo miały sprowadzać się do strzeżenia prawa w europejskich tzw. „koncesjach", czyli eksterytorialnych dzielnicach tej chińskiej, portowej metropolii, z czasem jednak policjanci objęli swoim nadzorem całą aglomerację. W szeregach SMP liczącej w 1936 r. 4739 funkcjonariuszy, służyli przede wszystkim Chińczycy (3466), ale także Brytyjczycy (457), Sikhowie (558) i Japończycy (258), co odpowiadało wieloetnicznej strukturze ludności miasta. Drugi z twórców noża „FS", Eric A. Sykes, do szanghajskiej policji dołączył stosunkowo późno, w 1926 r., a i to jako nadetatowy, niepłatny ochotnik. Miał już za sobą bogate doświadczenie strzeleckie zarówno jako zawodowy myśliwy, jak i wojskowy strzelec wyborowy. Pracował także jako handlowiec – przedstawiciel znanych firm produkujących broń (Remington i Colt), co pozwalało mu doskonalić swoje umiejętności na potrzeby licznych prezentacji dla klientów. Zorganizowana przestępczość stanowiła wówczas bardzo poważne wyzwanie dla szanghajskich stróżów prawa, którzy zmuszeni byli do wypracowania zarówno technik samoobrony, jak i doboru typów uzbrojenia, niezbędnych, by przetrwać w owianych złą sławą dzielnicach doków. Policyjny program szkolenia w walce wręcz, znany jako defendu, poświęcony doskonaleniu wybranych technik z europejskich i dalekowschodnich sztuk bojowych, objął także naukę władania nożem. Z czasem okazało się, że idealny oręż musi zdecydowanie różnić się od „kontraktowego" bagnetu wojskowego Lee-Metford M 1888, którego gabaryty utrudniały stosowanie szybkich, oszczędnych w ruchach technik zadawania ciosów. Początkowo Fairbairn i Sykes pracowali nad optymalną, z punktu widzenia potrzeb ich służby, przeróbką brytyjskich bagnetów i „cywilnych" noży myśliwskich, lecz po założeniu odrębnego arsenału policyjnego w Szanghaju w 1931 r. powstał projekt nowej broni, która odpowiadała wymogom systemu „walki w zaułkach", rozwijanego od lat przez obu ekspertów.

Po wybuchu II wojny światowej zostali oni powołani do służby w brytyjskich siłach zbrojnych i oddelegowani – w charakterze ekspertów i instruktorów – do formowania i szkolenia oddziałów Commando oraz agentów Special Operations Executive (SOE) – Dowództwa Operacji Specjalnych. W 1940 r.

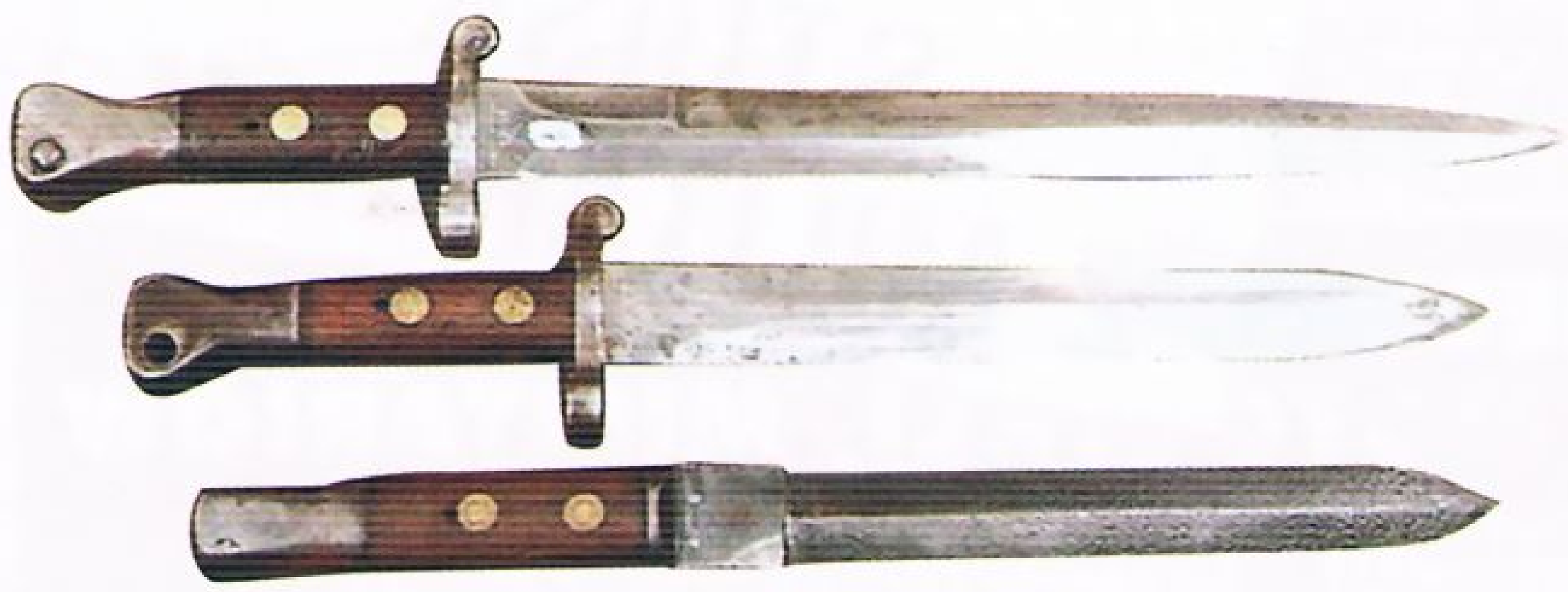

Ewolucja koncepcji – od bagnetu karabinu Lee-Metford do sztyletu szanghajskiej policji.

Pierwszy model noża FS. Najrzadszy i najbardziej poszukiwany jako obiekt kolekcjonerski. Charakterystyczna pochwa ze skórzanymi „skrzydełkami", które miały umożliwiać trwałe i silne przyszycie jej do munduru użytkownika.

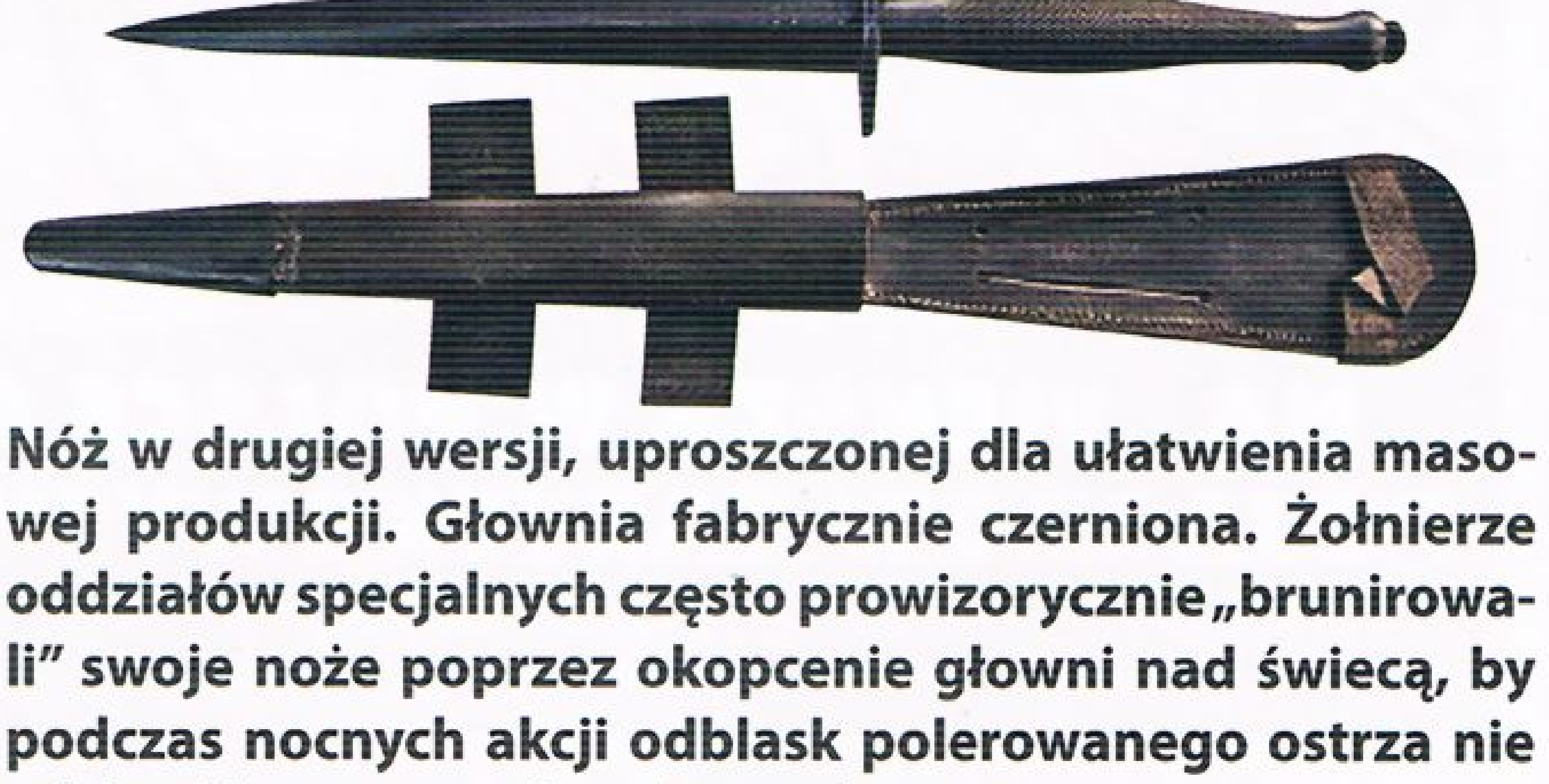

Nóż w drugiej wersji, uproszczonej dla ułatwienia masowej produkcji. Głownia fabrycznie czerniona. Żołnierze oddziałów specjalnych często prowizorycznie „brunirowali" swoje noże poprzez okopcenie głowni nad świecą, by podczas nocnych akcji odblask polerowanego ostrza nie odebrał im przewagi zaskoczenia…

Kadr z filmu szkoleniowego – prawidłowy chwyt „efesa" i trening komandosów w szybkim zadawaniu śmierci zaskoczonemu przeciwnikowi. „Atakowany" żołnierz swój nóż ma zamocowany wewnątrz lewej kieszeni spodni battle-dresu.

otwarto dwa ośrodki wyszkolenia sił specjalnych w szkockich miejscowościach: Achnacarry i Lochailort. Współtwórcy oddziałów Commando: kpt. Simon Fraser lord Lovat i jego kuzyni: mjr David i kpt. William Stirling, znacznie odbiegali od wzorca przeciętnego brytyjskiego oficera, niechętnego pozaregulaminowym praktykom, i z otwartością podchodzili do wszelkich innowacji, mogących zwiększyć skuteczność bojową podległych im żołnierzy. Dlatego też dali szanghajskim policjantom wiele swobody w procesie szkoleniowym. Jedną z pierwszych decyzji, podjętych przez mjr. Sykesa i kpt. Fairbairna na nowym stanowisku, stało się zamówienie noży bojowych ich pomysłu w renomowanej brytyjskiej wytwórni broni białej, należącej do Johna Wilkinson-Lathama. Jednak nawet najlepszy oręż nie zapewni sukcesu nieumiejętnie albo niewłaściwe użyty. Dlatego też obaj oficerowie zabiegali o wprowadzenie do programu szkolenia żołnierzy i agentów prostego i brutalnego, lecz skutecznego, systemu walki z użyciem „szanghajskiego" noża ich wynalazku. System ten obejmował ograniczoną ilość technik, zapewniających szybkie i skuteczne wyeliminowanie atakowanego nieprzyjaciela. Dla wielu ochotników, zwłaszcza tych, którzy odebrali „dżentelmeńską" edukację w tradycyjnych brytyjskich szkołach prywatnych, walka pozbawiona reguł fair play była czymś trudnym do zaakceptowania, lecz doświadczeni instruktorzy (kpt. Sykes podczas służby w Szanghaju wielokrotnie brał udział w walkach na noże, a jego ciało pokrywały liczne blizny…) niestrudzenie tłumaczyli wątpiącym, że w prawdziwej walce obowiązuje tylko jedna reguła: kill or get killed (zabij, bo inaczej dasz się zabić), argumentując przy tym, że „Hitler nie gra w krykieta"…

Na użytek kursantów opracowana została specyficzna „tabela śmierci", ukazująca 6 punktów ludzkiego ciała, jako celów ataku nożem, z podaniem czasu, jaki upłynie po prawidłowym zadaniu ciosu – do utraty przytomności i śmierci ofiary. Preferowane cele ataku stanowiły: serce (skutek natychmiastowy), tętnica podobojczykowa (utrata przytomności po 2, a śmierć po 3,5 sekundach) oraz tętnica szyjna (odpowiednio 5 i 12 sekund). Ćwiczenia zadawania śmiertelnych ciosów powtarzano wielokrotnie, aż do zupełnego zmechanizowania ruchów, by w razie potrzeby komandos nie zawahał się ani chwili przed uśmierceniem zaskoczonego, pozbawionego szansy stawienia oporu przeciwnika.

Sztylet z Szanghaju, czyli jak wygląda broń idealna

Zgodnie ze swoim bogatym doświadczeniem, kpt. Fairbairn i mjr Sykes postanowili opracować broń przeznaczoną przede wszystkim do zadawania ran kłutych, gdyż zapewniały one najbardziej zabójczy efekt. Nie mniej ważna była dla nich także swoista ergonomia broni, czyli pewność i stabilność chwytu. Dlatego też nóż „FS" przypomina raczej rodzaj kordzika, niż oręż myśliwych czy wojskowy bagnet.

Trzeci, najmniej udany wariant „efesa", wytwarzany był w największej liczbie.

Pierwszy wzór „efesa" powstał w listopadzie 1940 r., kiedy to podczas rozmów z przyszłym głównym wytwórcą broni, Fairbairn i Sykes zaprezentowali syntezę swoich przemyśleń. W 10 dni później w zakładach Wilkinsona rozpoczęto produkcję pierwszego modelu noża bojowego. Jego długość całkowita wynosić miała 11,5 cala (ok. 292 mm; długość zachowanych egzemplarzy waha się pomiędzy 290 a 306 mm), a masa blisko 250 g (w rzeczywistości od 230 do 270 g). Smukła głownia o długości 6,5-7 cali (165-178 mm) posiadała rombowy przekrój i poddana była obustronnemu ostrzeniu, tak, aby oprócz zadawania ran kłutych nadawała się także do cięcia. Na trzpieniu głowni osadzano wykonaną z mosiądzu rękojeść pokrytą drobnym, lecz głębokim rombowym reliefem, ułatwiającym pewny chwyt nawet, gdy dłoń użytkownika pozostawała mokra od potu, wody czy krwi… Masywna, metalowa rękojeść stanowiła także przeciwwagę dla ostrza, co sprawiało, że nóż mógł być wykorzystywany także do rzutów. Niewielki, elipsoidalny jelec, wyprofilowany na kształt spłaszczonej litery „s", zapewniać miał skuteczne zabezpieczenie przed ześlizgiem ręki na ostrze podczas zadawania silnych pchnięć. Cechą typową dla początkowej serii produkcyjnej tej broni stało się ricasso – niezaostrzona część głowni bezpośrednio przy jelcu. Powierzchnia ricassa wykorzystywana była jako swoista „przestrzeń reklamowa" – umieszczano tam wygrawerowany znak firmowy producenta oraz, po drugiej stronie, nazwę broni („The F-S Fighting Knife"). Według danych wytwórcy, noży pierwszego wzoru wyprodukowano zaledwie ok. 1500 sztuk, przy czym wykonywano je przy wykorzystaniu obróbki ręcznej, gdyż fabryka i zakłady z nią kooperujące dopiero przygotowywały się do masowego wyrobu noży, licząc na zamówienia w wielkości nawet 1000 sztuk miesięcznie.

Produkcja wielkoseryjna wymagała pewnych uproszczeń projektu broni. Tak więc w 1941 r. pojawił się drugi model noża „FS", o głowni pozbawionej ricassa (szlifowanej i ostrzonej na całej długości) oraz zredukowanym jelcu, wykonywanym jako płaska tarczka eliptycznego kształtu. Rękojeści, zależnie od dostawcy, mogły być albo odlewane, albo toczone. Odmiana ta wyrabiana była w wielkich ilościach, sięgających setek tysięcy egzemplarzy, także u innych producentów (od 1942), stąd spotykanych jest wiele jej wariantów, różniących się wymiarami, szczegółami wykonania oraz sposobem wykończenia (na wniosek oddziałów specjalnych znaczną część noży poddawano procesowi brunirowania czy oksydowania, by lśniąca

Nieudany „amerykański klon" – nóż agentów OSS z pochwą nazywaną „łopatką do placków"...

Indyjski i australijski wariant „efesa", produkowany w lokalnych wytwórniach, różnił się nieco od brytyjskiego pierwowzoru.

głownia nie demaskowała użytkownika podczas akcji nocnych). Drugi model noża, przy ogólnym zachowaniu pierwotnych rozmiarów, był nieco lżejszy od wzoru pierwotnego, lecz nadal zachowywał prawidłowe wyważenie, ułatwiające celne rzuty do celu.

W 1942 r. z inicjatywy wytwórców dążących do maksymalnego ułatwienia i uproszczenia produkcji, powstała kolejna, trzecia już wersja „efesa", uznana za nieudaną przez współtwórcę pierwotnego projektu, Fairbairna. Broń w tej odmianie, wytwarzanej w równie wielkich ilościach co model poprzedni, zatraciła część cech użytkowych, a przede wszystkim prawidłowe wyważenie, co znacznie utrudniało celne rzuty. Nowa, łatwiejsza w produkcji rękojeść, pokryta reliefem w postaci 27 pierścieniowatych karbów, postradała niezawodną „przyczepność" odmian wcześniejszych. Zamówienia Ministerstwa Obrony były jednak tak wielkie, że „oryginalne" noże Wilkinsona, preferowane przez oddziały elitarne, stanowiły jedynie część ogólnej produkcji. Zapotrzebowanie dla innych użytkowników broni było tak wielkie, że w USA podjęto wyrób „efesa" o zmniejszonych gabarytach, dostosowanego do przenoszenia w ukryciu, lecz nadal pozostającego groźnym orężem. Ta odmiana nazywana była zresztą „nożem agenta", jako że głównymi jej odbiorcami mieli być członkowie grup dywersyjnych amerykańskiego OSS (Biura Służb Strategicznych). Ze względu na niską jakość materiałów i mało staranne wykonanie, noże te szybko zyskały złą sławę.

Produkcję noży „FS" w różnych wersjach prowadzono także w okresie powojennym, ogółem taśmy produkcyjne opuściło ponad 2 mln sztuk tej broni, nie licząc „pirackich kopii" wytwarzanych przez nielicencjonowanych wykonawców w wielu krajach świata.

Światowa kariera szanghajskiego sztyletu

Nóż bojowy pomysłu Fairbairna i Sykesa szybko został doceniony przez Brytyjczyków, a także inne armie alianckie. Przewidziany pierwotnie jako broń szturmowa oddziałów Commando, trafił do rąk żołnierzy formacji powietrzno-desantowych (i to nie tylko spadochroniarzy, lecz także tzw. piechoty szybowcowej, pułku pilotów szybowcowych i innych służb wchodzących w skład dywizji i brygad „airborne"), zwiadowców (jak patrole pustynne LRDG, zmechanizowane pododdziały The Reconnaissance Regiment) oraz specjalistycznych grup uderzeniowo-rozpoznawczych (m.in. SAS, SBS, Popski's Private Army). „Efesy" w roli „noża przetrwania" były także chętnie nabywane przez lotników, odbywających misje bojowe nad okupowanymi przez wojska nieprzyjacielskie obszarami. Noże bojowe „FS" wydawano także oddziałom specjalnym, formowanym w krajach Imperium Brytyjskiego. Niekiedy w państwach tych podejmowano odrębną produkcję na te cele, m.in. w Australii i Indiach. Także wojska alianckie zaopatrywano w te cenione i poszukiwane noże bojowe. Tą drogą „efesy" trafiły do rąk polskich komandosów (pierwotnie 6th Troop No. 10 Inter-Allied Commando, później 2. Batalion Komandosów Zmotoryzowanych), spadochroniarzy 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, dywersantów Samodzielnej Kompanii Grenadierów. Walkę z użyciem „efesów" (w oddziałach polskich nazywanych niekiedy „szansikami") ćwiczyli także legendarni „Cichociemni", specjaliści wywiadu, dywersji i sabotażu, desantowani do okupowanego Kraju. Noże „FS" były także bronią komandosów norweskich, belgijskich, holenderskich, a także żołnierzy wojsk Wolnej Francji. „Szanghajski sztylet" został także pierwowzorem drugowojennego amerykańskiego noża bojowego V-42 i sztyletu szturmowego „raidersów" USMC, a także amerykańskiej modyfikacji pierwotnego projektu, znanej jako Applegate–Fairbairn. Kontynuacją idei sztyletu bojowego FS jest także polski nóż szturmowy wz. 98A.

Dla kolekcjonerów XX-wiecznej broni białej nóż „FS" pozostaje atrakcyjnym tematem, pomimo masowej produkcji i powstaniu wielu oficjalnych (i nieoficjalnych) replik. Z powodu polskiego wątku w dziejach tej legendarnej broni z pewnością zasługuje ona na uwagę, a znaczna ilość oryginalnych, „kontraktowych" egzemplarzy, dostępna na europejskim i amerykańskim rynku antykwarycznym, zachęca do nabycia „szansika" jako perełki w kolekcji...

Polski „potomek szansika": sztylet bojowy wz. 98A.

Literatura, ilustracje:

1. R. Buerlein, „Allied Military Fighting Knives And The Men Who Made Them Famous", Paladin Press, 2002
2. R. Flook, „British and Commonwealth Military Knives", Howell Press, 1999
3. A. W. Locken, „The Collectors Guide to the Fairbairn Sykes Fighting Knife"
4. R. Wilkinson-Latham, „Wilkinsons and the F.S. Fighting Knife", Pooley 2009
5. Military Illustrated, 1995-2005

Fort Bielany Twierdzy Kraków

MARCIN „KUBA" MIKULSKI

Niewiele osób podróżujących krakowską ulicą Księcia Józefa, mijając charakterystyczne serpentyny leżące u stóp bielańskiego klasztoru kamedułów, zauważa niepozorny, parterowy, ceglany budynek z charakterystycznym ryzalitem. Jeszcze mniej zna jego nazwę i przeznaczenie: to blok koszarowy najmłodszego, stałego fortu Twierdzy Kraków, zrealizowanego w latach 1912-1914.

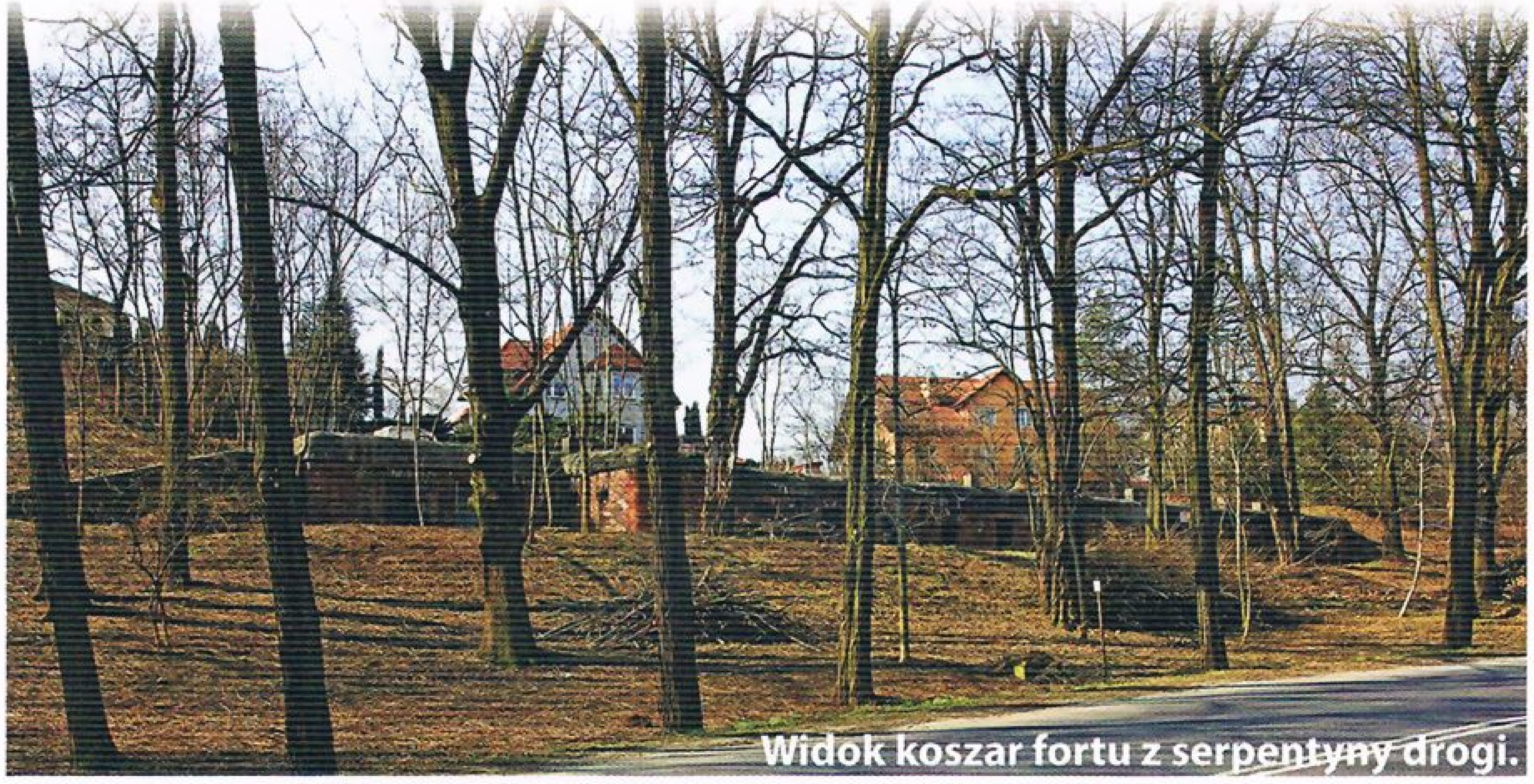
Widok koszar fortu z serpentyny drogi.

Fort o nowoczesnym, rozproszonym układzie zbudowano na stromym, skalistym wzgórzu w dolinie Wisły, na południe i zachód od Lasku Wolskiego, pomiędzy drogą do Oświęcimia (obecną ul. Księcia Józefa) a lokalną drogą do Piekar (obecną ul. Mirowską). Jego zadaniem była obrona podejścia do pierścienia fortecznego wzdłuż koryta Wisły, bezpośrednio po nadrzecznej terasie. Nie bez znaczenia był też fakt, iż kilkaset metrów za fortem znajdował się (uruchomiony w roku 1901) krakowski wodociąg miejski. Nowo zbudowany fort osłaniał tę newralgiczną dla miasta i twierdzy instalację przed bezpośrednim atakiem, zwiększając jej bezpieczeństwo.

Pod wieloma względami jest to dzieło wyjątkowe. Weźmy choćby sprawę jego nazwy i numeru, na który to temat wysnuto wiele hipotez. Tymczasem fort ten, jako jedyny w całej twierdzy, nigdy nie otrzymał numeru, gdyż zbudowano go po roku 1904, kiedy to zniesiono numerację fortów w pierścieniu zewnętrznym. Wybiegając wstecz można powiedzieć, że wcześniej – gdyż budowę fortu postulowano co najmniej od roku 1900 – przewidywano dlań numer 37, „odebrany" przygotowanej do kasacji baterii pozycyjnej na Sowińcu. Co do nazwy, to często występuje w literaturze jako „Krępak", jednak bez odniesień do źródeł. Użycie takiej nazwy byłoby odstępstwem od przyjętych reguł, gdyż w Twierdzy Kraków obiekty określano zapożyczając nazw najbliżej położonych miejscowości bądź przysiółków. Wyjątki od tej reguły są w sumie nieliczne i dotyczą wyłącznie obiektów pierścienia wewnętrznego, przy czym każdorazowo są to charakterystyczne dla danego rejonu toponimy (np. „Kościuszko", „Krakus", „Św. Benedykt", „Za rzeką") względnie wywiedzione od toponimów (np. „Luneta warszawska", nazwa stanowi skrót pierwotnej, roboczej nazwy obiektu – „luneta na szosie warszawskiej"). Nazwa „Krępak" jest wtórna i nie znajduje potwierdzenia w znanych źródłach archiwalnych, gdzie występuje tylko nazwa „Bielany".

Na braku numeru wyjątkowość fortu Bielany wszakże się nie kończy. Jest to bowiem jedyny w Krakowie fort o układzie rozproszonym, jedyny uzbrojony w broń maszynową w kopule pancernej i jeden z dwóch obiektów nieuzbrojonych w artylerię (drugim był – od czasów przebudowy z lat 1912-13 – fort Olszanica). Rozproszony układ oznacza rozłożenie poszczególnych elementów fortu w terenie, w pewnym oddaleniu od siebie, i swobodny, zupełnie niezgeometryzowany narys całkowicie różny od starszych fortów. Koszary obronne, czyli blok mieszkalny z osobnymi pomieszczeniami dla żołnierzy i oficerów, kuchnią, magazynami itd., ulokowano na przeciwstoku wzgórza w serpentynie drogi oświęcimskiej, w miejscu zupełnie niewidocznym dla nieprzyjaciela, i przez to bardzo trudnym do trafienia. Na szerokim, płaskim szczycie wzniesienia, około 60 m na zachód od koszar, umieszczono ziemny szaniec dla piechoty wyposażony w lekką, obserwacyjną kopułę pancerną (nazywaną dziś „kopułą kufrową" ze względu na niezwykle charakterystyczny kształt). W tylnej części szańca ulokowano niewielki schron pogotowia dla dyżurnej obsady szańca. Ciekawostką świadczącą o zwyczajach panujących w ówczesnym wojsku (zresztą nie tylko austro-węgierskim), jest fakt wydzielenia także i tutaj osobnego pomieszczenia dla oficera – tak, by zapewnić mu minimum prywatności i możliwość odizolowania się od zwykłych żołnierzy.

Około 70 m na południe od opisanego właśnie schronu, wzniesiono trzeci element założenia – schron bojowy z kopułą pancerną dla dwóch karabinów maszynowych Schwarzlose, powiązany z szańcem odcinkiem okopu i poterną, przechodzącą pod przed-

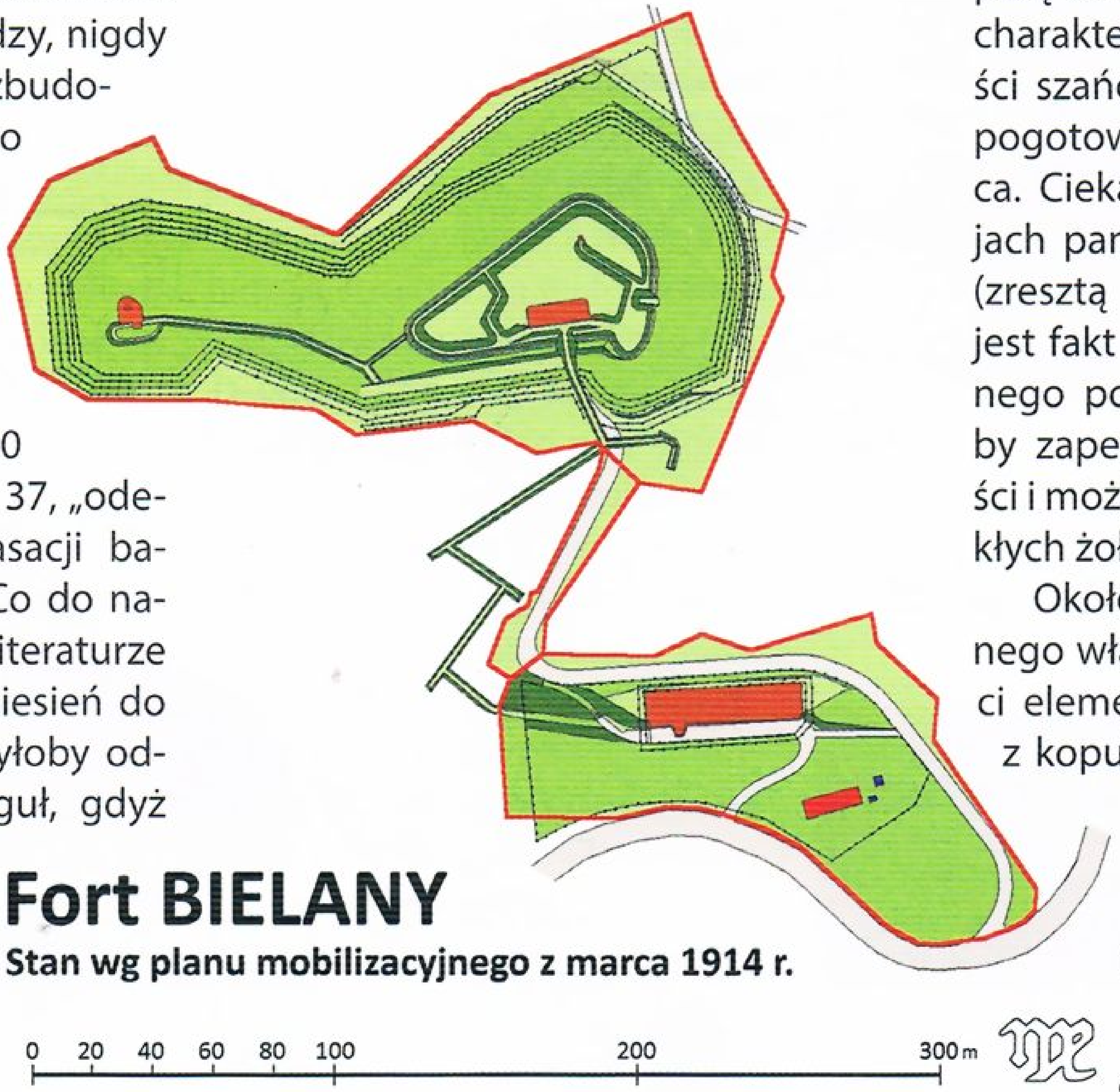

Fort BIELANY
Stan wg planu mobilizacyjnego z marca 1914 r.

Lekka, obserwacyjna kopuła pancerna, tzw. „kufrowa" na wałach fortu.

piersiem jego wału. Schron ten określany jest często – i błędnie! – mianem tradytora. W rzeczywistości jest to klasyczny obiekt do ognia czołowego, czyli prowadzonego w przód, w dolinę Wisły na przedpole. Tradytor natomiast (którego fort Bielany nie posiada), to dzieło przeznaczone do skrytego ostrzału międzypola ogniem bocznym za pomocą armat, albo broni umieszczonej w strzelnicach w ścianach, a nie w kopule... Początkowo miał być uzbrojony w dwa karabiny Schwarzlose M. 7; ostatecznie jednak zastosowano nowocześniejsze M. 7/12 o większej szybkostrzelności.

Schron, o którym mowa, można by uznać za klasyczny obiekt tego typu, gdyby nie to, że... jest jednym z najstarszych istniejących obiektów na świecie. Zbudowano go w roku 1914 – na początku czerwca tegoż roku schron był w trakcie budowy, istniały już jego ściany, należało tylko zabetonować strop i osadzić w nim pancerz, który był dostarczony, ale jeszcze nie zamontowany. Jak na rok 1914 była to budowla niezwykle nowoczesna, niejako antycypacja licznych schronów tej klasy budowanych przez wiele krajów już podczas wojny i po niej, w okresie międzywojennym. Co ciekawe, jego układ przestrzenny jest bardzo podobny do pierwszych polskich schronów bojowych Obszaru Warownego Śląsk, zbudowanych w roku 1933 w punktach oporu „Szyb Artura" i „Dąbrówka

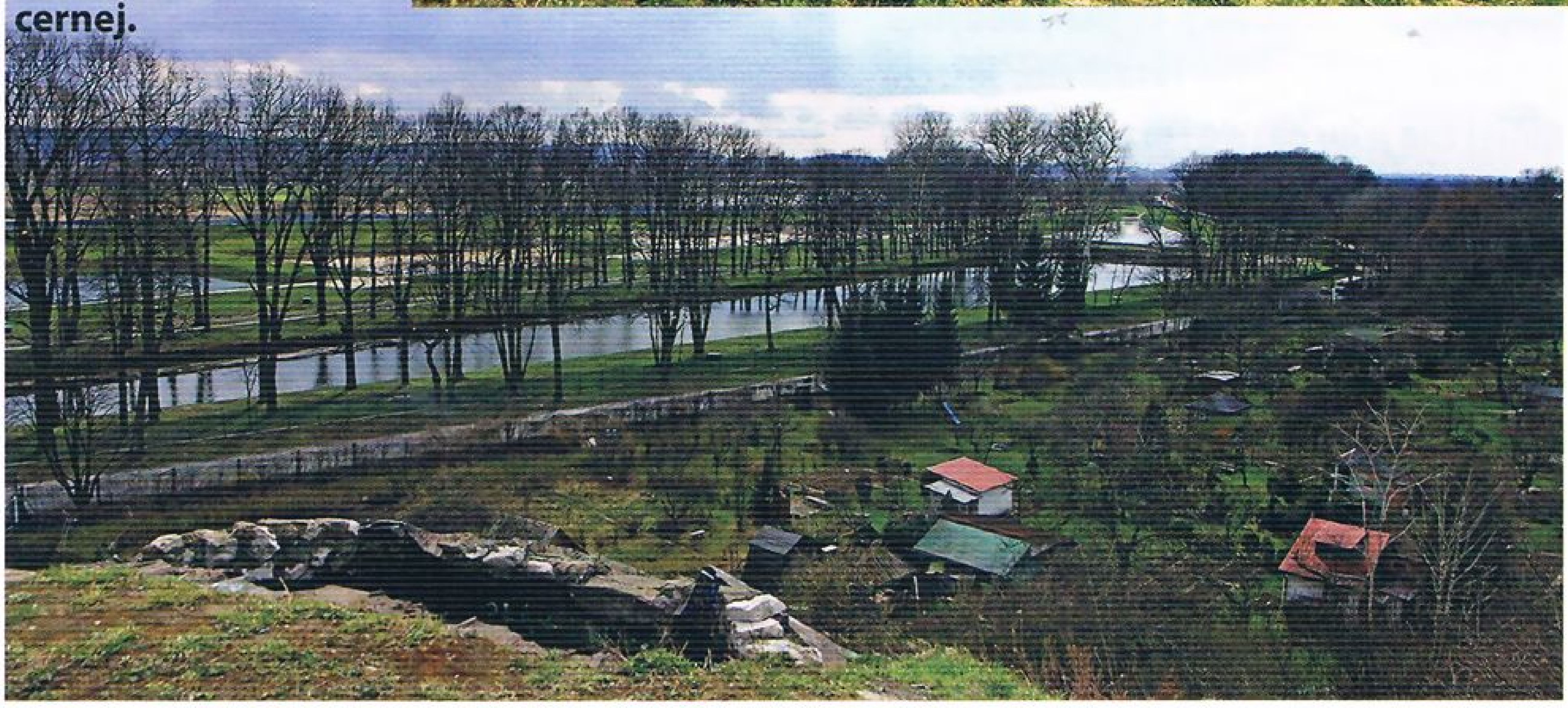

Widok ze schronu bojowego ckm na dolinę Wisły. Na pierwszym planie relikty kopuły pancernej.

Fort Bielany, próba rekonstrukcji stanu z 1914 r., widok od zapola: 1 – schron bojowy z kopułą pancerną dla dwóch karabinów maszynowych, 2 – poterna, 3 – punkt oporu piechoty, ze schronem pogotowia i stanowiskiem obserwacyjnym, 4 – rów łącznikowy, 5 – koszary obronne. Rys. Filip Suchoń.

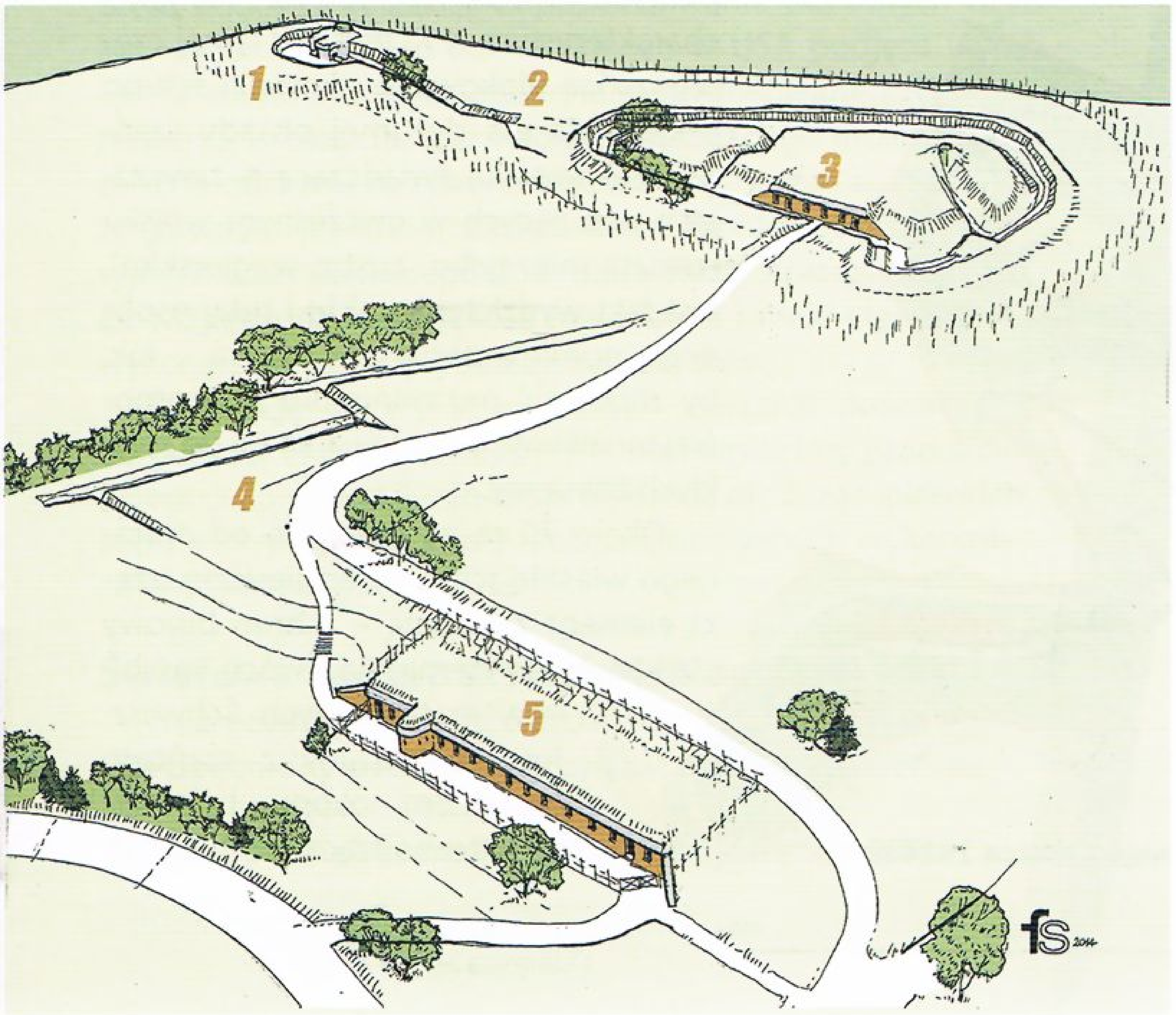

Fort Bielany, schron bojowy: a – rzut, przekrój, widok od zapola; b – próba rekonstrukcji zezłomowanej kopuły pancernej dla dwóch karabinów maszynowych, w widoku od przedpola; obok pokazano zachowaną sygnaturę ze sklepienia pancernego nad szybikiem wejściowym do kopuły: MG.ST.F.110 / K.BL. = M(aschinen)G(ewehr)ST(and) F(eststehend) [nr egz.] 110, [Festung] K(rakau), [Werk] B(ie)L(any). Pomiar i opracowanie: Piotr Bujas, Filip Suchoń.

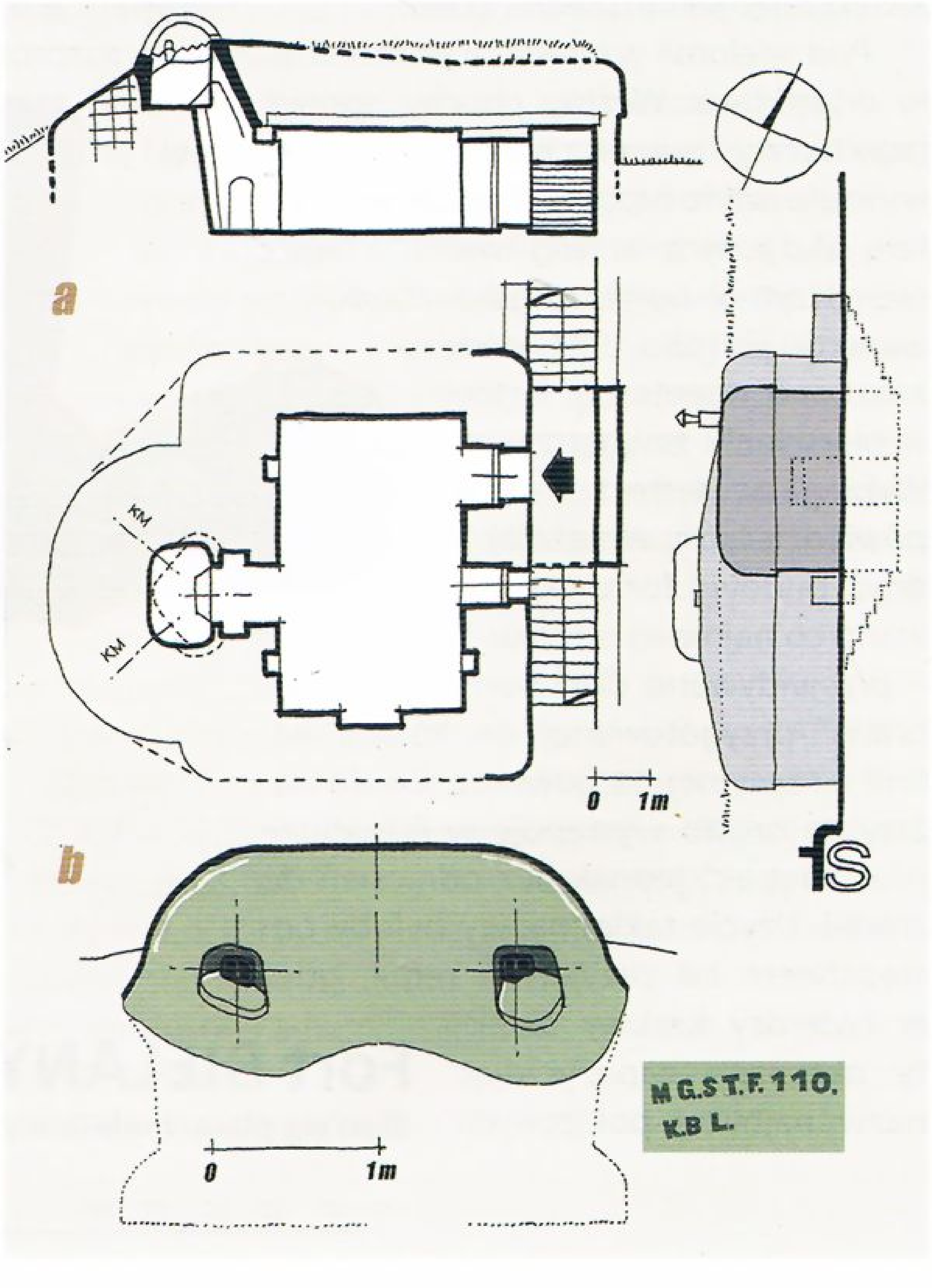

Schron pogotowia w części bojowej fortu.

Blok koszarowy, widok ogólny.

Wielka". Nie ma na to bezpośredniego dowodu, ale – być może – ich projektant znał krakowską, ukończoną dosłownie w ostatnich dniach przed Wielką Wojną, austriacką budowlę i wzorował się na niej. Wielka szkoda, że jego kopuła pancerna nie zachowała się do dnia dzisiejszego. Byłaby unikatem na skalę europejską, a nawet światową.

Całość elementów bojowych – tj. szaniec i schron bojowy – otaczał wielorzędowy pas przeszkód z drutu kolczastego. Prawdopodobnie już po wybuchu wojny światowej fort został uzupełniony o kolejne elementy. Najprawdopodobniej wtedy zbudowano też krótki, podziemny tunel na planie łuku – poternę przechodzącą pod koroną przedpiersia szańca i łączącą go z odcinkiem okopu, biegnącym w stronę schronu z kopułą. Obok funkcji komunikacyjnej pełniła ona także rolę schronu pogotowia dla obsady przyległych pozycji.

Podczas mobilizacji koszary zostały połączone z szańcem i schronem rowem łączącym o zygzakowatym narysie, umożliwiającym bezpieczne przemieszczanie się załogi z koszar do elementów bojowych fortu. W kilku punktach za fortem usypano ziemne, polowe baterie artyleryjskie. Określenie „za fortem" może być mylące, gdyż jedna z nich była zlokalizowana między szańcem a schronem z kopułą pancerną ckm, i była tylko nieznacznie względem nich cofnięta. Nie były one jednak strukturalnie i formalnie jego częścią, tworzyły natomiast tzw. grupę artylerii, współpracującą z fortem. Ostatnim elementem zbudowanym prawdopodobnie w latach 1915-16, była kawerna – schron bierny wykuty w skale. Wejścia do niej ulokowano nieco powyżej poziomu dna doliny Wisły (aby uniknąć zalewania wnętrza przez wodę powodziową). Przeznaczenie kawerny nie jest całkiem jasne; układ wejść może sugerować, że służyła jako bomboodporny schron zarówno obsadzie fortu, jak i przyległych pozycji polowych.

Fort nie wziął udziału w walkach podczas I wojny światowej, znajdował się poza sektorem objętym w listopadzie-grudniu 1914 roku linią frontu. W wiedeńskim Archiwum Wojny zachował się jego dziennik działań bojowych, świadectwo pierwszych nerwowych, wojennych tygodni i miesięcy. Na pierwszych kartach dziennika pełno jest wpisów o podejrzanych o szpiegostwo podróżnych, tajemniczych światłach widzianych w nocy (interpre-

towanych jako działalność szpiegów, przesyłających sygnały świetlne wojskom rosyjskim), o dziwnych nocnych hałasach. W miarę upływu czasu pojawiają się one coraz rzadziej, by w końcu ustąpić miejsca lakonicznemu, monotonnie powtarzanemu wpisowi: „nic ważnego nie zaszło" – wymownemu świadectwu nudnej, bezbarwnej, wojennej służby załóg (bo na przestrzeni czasu wystawiały ją różne oddziały) fortu.

Co do załogi, to etatowo stanowiło ją pół kompanii piechoty – 3 oficerów i 112 żołnierzy. Do tego dochodziło 25 artylerzystów obsługujących wszakże nie działa, bo tymi fort nie dysponował, lecz karabiny maszynowe, oraz 6 pionierów; razem załogę tworzyło 3 oficerów i 143 żołnierzy. Uzbrojenie fortu, prócz karabinów piechurów, tworzyły 4 karabiny maszynowe: dwa stacjonarne w kopule pancernej i dwa przenośne, ustawiane w szańcu lub przyległych okopach. Z czasem zarówno obsada, jak i uzbrojenie uległy redukcji – w końcowym okresie wojny fortu strzegło tylko kilku wartowników.

Wnętrze schronu bojowego z kopułą pancerną. Widok na izbę pogotowia piechoty (schron bierny dla obsady przyległych okopów), po lewej wejście do szybiku prowadzącego do kopuły pancernej ckm.

Izba żołnierska w bloku koszarowym.

Po II wojnie światowej na zapolu pomiędzy ulicami Mirowską i Ks. Józefa, tam, gdzie podczas Wielkiej Wojny znajdowała się jedna z polowych baterii grupy „Bielany", powstała strzelnica – obecnie zrujnowana i opuszczona. Zachował się zdewastowany pawilon strzelecki i część wkopanego w ziemię toru ogniowego strzelnicy; do niedawna istniały jeszcze skrzydła wiodącej na teren strzelnicy ozdobnej, metalowej bramy z charakterystycznym motywem tarczy strzeleckiej. Z czasem fort został opuszczony przez wojsko. W połowie lat 60., niestety, uległa zniszczeniu jedyna w twierdzy bojowa kopuła pancerna, barbarzyńsko odcięta palnikami na złom (pozostała tylko dolna część, zagłębiona w betonowym stropie schronu). Część terenu ze schronem bojowym ckm wchłonęły ogródki działkowe, a w pobliżu wyrosło stopniowo osiedle domków jednorodzinnych (pierwsze powstały jeszcze w okresie międzywojennym), z czasem dezintegrując i degradując krajobrazowo całość założenia. Sam fort przechodził różne koleje. Schron bojowy służył przez pewien czas jako… „altanka" na działce, schron pogotowia w szańcu był harcówką, a w bloku koszar miała nawet powstać kawiarenka internetowa; realizacji tego ostatniego zamierzenia przeszkodziła tragiczna śmierć ówczesnego najemcy obiektu.

Skomplikowaniu i pogorszeniu uległ stan prawny fortu. Od początku swego istnienia składał się z kilku osobnych nieruchomości. Regulacja stanu prawno-własnościowego nowopowstającego fortu, najprawdopodobniej nie została zakończona przed wybuchem Wielkiej Wojny, a później na przeszkodzie stanął upadek Austro-Węgier. Część bojowa leży na dwóch, sąsiadujących ze sobą działkach. Kształt ich granic pochodzi jeszcze z czasów sprzed budowy fortu i dzieli na dwie części szaniec oraz położony w obrębie jego wałów schron pogotowia. Blok koszarowy leży na jeszcze innej, osobnej działce, oddzielonej od części bojowej nieruchomościami cywilnymi. Według stanu uwidocznionego na dzień dzisiejszy w księgach wieczystych, właścicielem wszystkich działek jest Skarb Państwa, jednak do jednej z działek, na których leży część bojowa, roszczą pretensje spadkobiercy dawnych właścicieli, powołując się na decyzję Ministra Obrony Narodowej o zwrocie nieruchomości i wydany na jej podstawie akt notarialny, przyznający im własność przedmiotowej nieruchomości. Niejasny stan prawny powoduje, że fort – mimo trwającej od kilku lat procedury – wciąż nie jest wpisany do rejestru zabytków.

Od roku 2012 część koszarową fortu dzierżawi Fundacja Aktywnej Ochrony Zabytków Techniki i Dziedzictwa Kulturowego JANUS; umowa dzierżawy nie objęła, niestety, żadnego z elementów części bojowej fortu, co również było podyktowane istniejącym stanem prawnym fortu. Fundacja podjęła przy nim prace porządkowe, oczyszczając wnętrze obiektu z nagromadzonych w nim śmieci i porządkując zieleń na terenie działki koszar; blok koszarowy znów stał się widoczny dla osób przejeżdżających serpentynami ul. Księcia Józefa. Przygotowano dlań również program konserwatorski. Obecnie fort czeka na rozpoczęcie remontu konserwatorskiego, a w przyszłości – na adaptację do funkcji współczesnej i włączenie go w skład tworzonego muzeum rozproszonego Twierdzy Kraków. Skomplikowany stan prawny utrudnia także starania o fundusze na remont, gdyż w wielu przypadkach jednym z warunków ubiegania się o dofinansowanie, jest wpis obiektu do rejestru zabytków. Fort jest sporadycznie udostępniany grupom zorganizowanym, np. podczas wycieczek organizowanych w ramach Dni Dziedzictwa we wrześniu roku 2014. To taki skromny budynek, ale tyle historii do opowiedzenia…

Marcin „Kuba" Mikulski

Doktorant na wydziale historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, miłośnik fortyfikacji, członek Krakowskiego Oddziału TPF.

Tam, gdzie umierają Kochbunkry

TOMASZ BIENEK

Zimą 1945 roku były jedną z ostatnich nadziei na zatrzymanie sowieckiego walca miażdżącego od wschodu linie rozpaczliwej, niemieckiej obrony. Odlane z betonu w fabryce, zostały zdjęte z wagonów i poukładane w równe szeregi obok bocznicy, na której zatrzymał się pociąg. Może miały wzmocnić obronę jakiegoś skrzyżowania dróg, a może ufortyfikować brzeg płynącej niedaleko Odry... Żaden oddział nie zdążył już zabrać ich z tymczasowej składnicy. Stoją tak do dziś; ich betonowy żywot odmierza stukot kół przejeżdżających obok pociągów i kolejne zimy, nakrywające czapami śniegu szare korpusy. Porastają powoli mchem.

Stacja PKP w Przyworach Opolskich. W okolicach zadbanego budynku bez trudu można znaleźć ślady przeszłości tego miejsca.

Przywory Opolskie to zadbana, aczkolwiek mała miejscowość na przedpolach Opola. Schludne domy, w większości ulokowane wzdłuż szosy nr 423, oddzielają linię kolejową z Raciborza do Opola od pól, za którymi płynie Odra. Niewielka stacja kolejowa czasy świetności ma już za sobą. Urzęduje co prawda dyżurny ruchu, a budynek dworca jest – jak na standardy peryferyjnych dworców – bardzo zadbany, jednak nie kupi się już w nim biletów; kasa zamknięta. Można stąd złapać pociąg osobowy w kierunku na Kędzierzyn Koźle i Racibórz, lub w drugą stronę – do Opola bądź Wrocławia. I nie byłoby nic nadzwyczajnego w tej małej podopolskiej wsi, gdyby nie spacer w okolicach stacji, który czyni ją atrakcyjną w oczach każdego miłośnika pozostałości ostatniej wojny.

Stojące zaraz za budynkiem dworca szeregi betonowych, prefabrykowanych stanowisk strzeleckich, popularnie nazywanych Kochbunkrami, przełamują nieco sielski krajobraz. Jest ich kilkadziesiąt.

– W zasadzie w tym składowisku można wyróżnić trzy typy: dwa nieznacznie różniące się konstrukcją i jeden odmienny, znacznie niższy od innych – mówi Łukasz Feldo-Grudziński, eksplorator i miłośnik fortyfikacji z Katowic. *– Widać gołym okiem, iż to produkty z końca wojny. Beton*

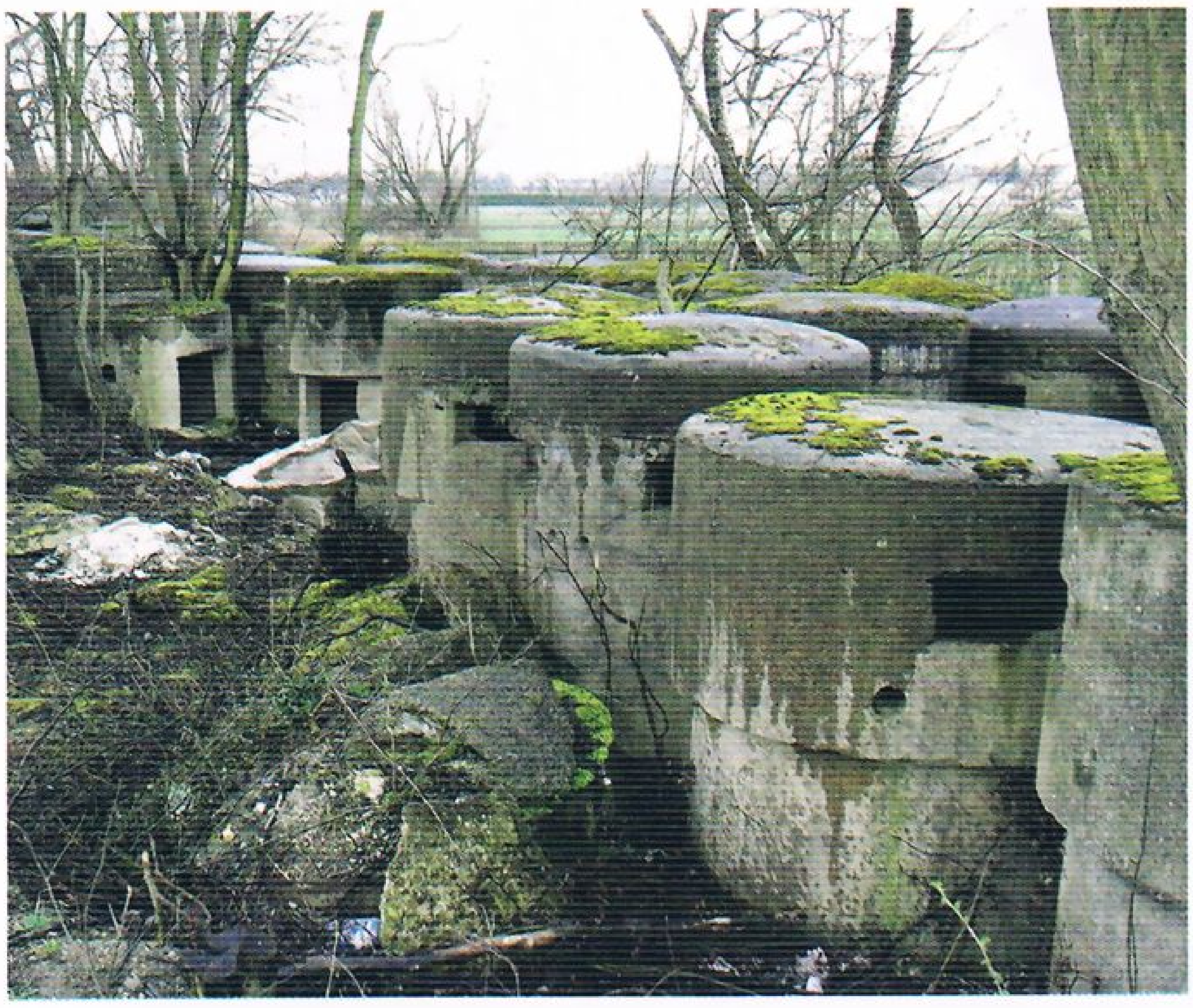

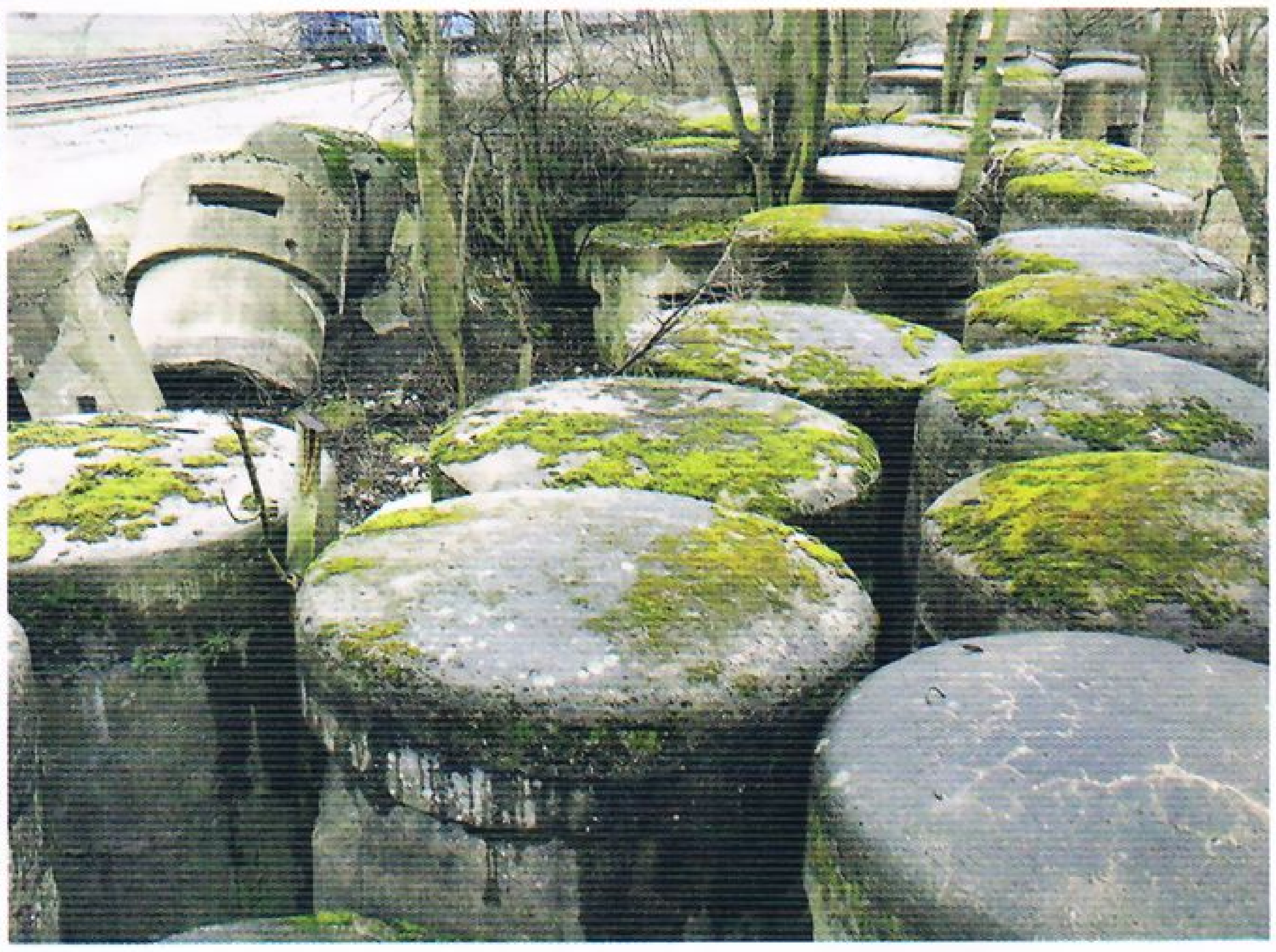

Zaraz za dworcem – składnica Kochbunkrów. Niestety stanowisk ubywa.

Łukasz Feldo-Grudziński i Katarzyna Sałata, eksploratorzy z Katowic, podczas oględzin bunkrów.

Typowy dla Opolszczyzny obelisk w Przyworach przypomina burzliwe czasy.

jest bardzo niskiej jakości, z dużą zawartością piasku. Takie stanowisko mogło dawać żołnierzom skuteczną ochronę przed pociskami z broni ręcznej lub odłamkami, gorzej było w przypadku bezpośredniego trafienia pociskiem przeciwbetonowym.

Każdy z Kochbunkrów ma dwa otwory strzelnicze i wejście dla załogi. W środku mogło się zmieścić trzech żołnierzy z lekkim uzbrojeniem. Niektóre ze stanowisk mają otwory strzelnic z przeciwrykoszetowymi stopniowaniami. Wkopane w ziemię, wkomponowane w system transzei i rowów łączących, wystawałyby na niecały metr.

Niestety, prowizoryczne składowisko Kochbunkrów pada łupem prywatnych osób, czy może firm, które pozyskują tłuczeń systematycznie rozbijając bunkry. Po wielu z nich zostały już jedynie odciśnięte koliste ślady w ziemi. Inne, rozbite, walają się w postaci betonowego gruzu wokół nietkniętych jeszcze kopuł. Zniknęło już kilkanaście „wieżyczek". Czas pozostałych nieubłaganie dobiega końca. Zanim znikną, warto obejrzeć to miejsce, przywodzące swoją surrealistyczną atmosferą obrazy Zdzisława Beksińskiego.

Do Przyworów Opolskich najłatwiej dojechać pociągiem osobowym z Opola (kierunek Racibórz) – należy wysiąść na trzeciej stacji. Będąc na miejscu, warto obejrzeć odległą o 30 minut marszu śluzę na Odrze w Kątach. Płynąca leniwie, lecz szeroka rzeka, przywodzi na myśl los wielu składowisk podobnych do tego przy stacji, jak i czas, w którym miała być deską ratunku dla cofających się na zachód Niemców.

ZDJĘCIA: TOMASZ BIENEK

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Friedrich Kellner „Dziennik sprzeciwu. Tajne zapiski obywatela III Rzeszy 1939-1942", opr. miękka, str. 376, wyd. KARTA. Cena: 34 zł.
Niniejsza książka dowodzi, że nie wszyscy obywatele III Rzeszy poddawali się jej totalitarnemu porządkowi. Dzienniki Kellnera zaświadczają o tym, czemu po wojnie Niemcy gremialnie zaprzeczali, co chciano za wszelką cenę wyprzeć z indywidualnej pamięci. Wiedziano o wojennym awanturnictwie Hitlera i jego akolitów, o zbrodniach na ziemiach okupowanych, o zagładzie Żydów, o eksterminacji niepełnosprawnych. Jest to wyjątkowe świadectwo Niemca, który sugestywnie opisuje codzienność niemieckiej prowincji w latach drugiej wojny światowej. Kellner nie mogąc występować jawnie przeciwko totalitaryzmowi, tropi zakłamanie faszystowskiej propagandy i zadaje kłam tezie, jakoby Niemcy nie byli świadomi okrucieństw hitleryzmu.

Zbigniew Zielonka „Polskie wojska chemiczne w latach 1945-1991", opr. miękka, str.472, wyd. rozpisani.pl. Cena: 43,90 zł.
Polskie wojska chemiczne wojsk lądowych, stanowiąc jeden z najbardziej wyspecjalizowanych rodzajów wojsk w siłach zbrojnych, przeznaczone są do zabezpieczenia działań wojsk operacyjnych w warunkach stosowania broni masowego rażenia i sytuacji skażeń pola walki. Ich zadania wykonywane na korzyść zasadniczych rodzajów wojsk ulegały zmianom na przestrzeni lat. Niniejsza monografia przedstawia ustalenia faktograficzne oraz interpretacje, które składają się na ciekawy i wyczerpujący obraz ewolucji struktur organizacyjnych polskich wojsk chemicznych, koncepcji ich użycia, wyszkolenia i przygotowania oraz potencjalnych oraz faktycznych możliwości bojowych w latach 1945-1991. Książka jest rezultatem rzetelnych badań źródłowych oraz analizy literatury przedmiotu i wypełnia lukę w polskiej historiografii wojskowej analizowanego okresu.

Tadeusz Grabarczyk „Jazda zaciężna Królestwa Polskiego w XV wieku", opr. miękka, str. 307, wydane nakładem autora. Cena: 56 zł.
Celem niniejszej publikacji jest ukazanie organizacji, wyposażenia oraz znaczenia zaciężnej jazdy w Królestwie Polskim. Praca została podzielona na trzy rozdziały. W pierwszym autor porusza kwestię organizacji wojsk pieniężnych. Omówione zostały podobieństwa i różnice pomiędzy oddziałami najemnymi a zaciężnymi oraz występowanie obu typów wojsk w służbie królów Polski. Rozdział drugi traktuje o uzbrojeniu jazdy. Omawiając wyposażenie żołnierzy autor oparł się na informacjach bezpośrednio związanych z funkcjonowaniem płatnych wojsk: rejestrach popisowych oraz wykazach utraconego uzbrojenia. Celem trzeciego rozdziału było ukazanie udziału jazdy pieniężnej w działaniach wojennych. Autor omówił przebieg mobilizacji wojsk oraz ich liczebność.

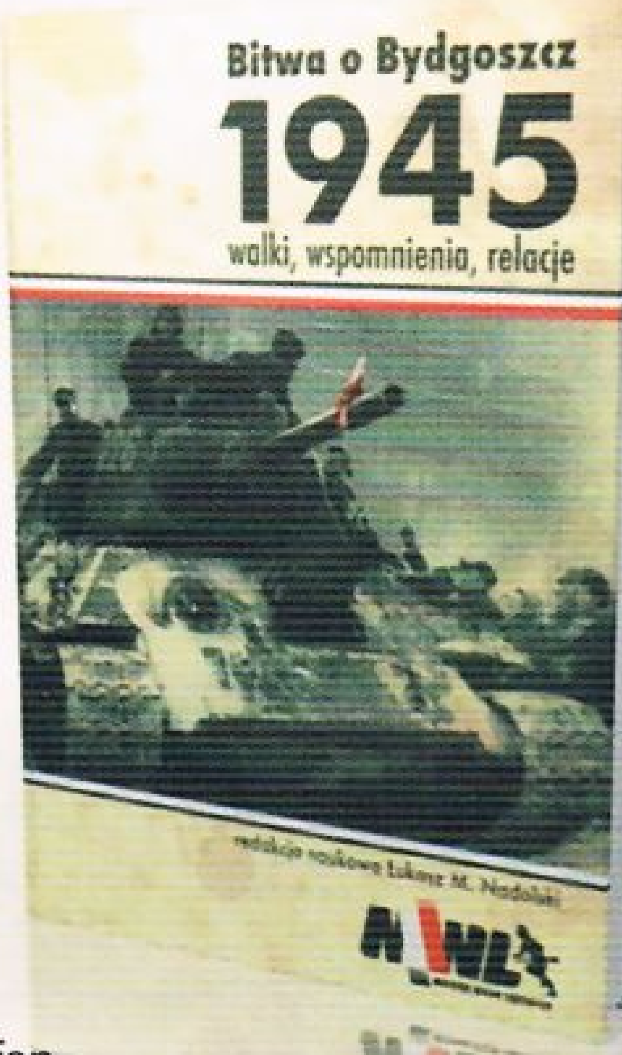

„Bitwa o Bydgoszcz 1945. Walki, wspomnienia, relacje", red. Ł. Nadolski, opr. twarda, str. 208, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 67 zł.
W styczniu 1945 r., po trwającej tydzień bitwie, zakończyła się niemiecka okupacja Bydgoszczy. Do zajęcia miasta przez oddziały radzieckie i polskie doszło w wyniku rozległego starcia toczonego na obszarze: Cierpice--Inowrocław-Nakło-Pruszcz-Cierpice. Analiza wydarzeń na tym terenie pozwala zrozumieć okoliczności, w jakich została zdobyta Bydgoszcz. O tak rozumianej bitwie opowiada niniejsza publikacja. Jej pierwsza część ukazuje historyczny opis walk w regionie. Wykorzystano bogate materiały archiwalne, w tym dotyczące 15. Dywizji Grenadierów Waffen SS pozyskane z Łotewskiego Archiwum Narodowego. W drugiej części książki znajdują się wspomnienia naocznych świadków toczących się walk. Zostały one tak dobrane, by prezentowały różny punkt widzenia. Czytelnicy znajdą tu relacje zarówno cywilów, jak i żołnierzy obu stron.

Heinrich Hoffmann „Z Hitlerem na Zachodzie", opr. miękka, str. 134, wyd. historyczna.com.pl. Cena: 31,50 zł.
Reprint albumu wydanego w III Rzeszy w 1940 roku po udanej kampanii na Zachodzie i pokonaniu przez siły niemieckie Francji, Holandii i Belgii. Autorem zamieszczonych tu zdjęć (często słabo znanych) jest oficjalny fotograf Hitlera, Heinrich Hoffmann. Publikacja została pierwotnie wydana w celach propagandowych, o czym najlepiej świadczy choćby fragment wstępu napisanego przez feldmarszałka Wilhelma Keitla: „Niniejszy album (...) utrwalić ma wspomnienia z tego bezprzykładnego, triumfalnego pochodu (...). Niech niemiecki naród, a przede wszystkim niemiecka młodzież, zapoznają się dzięki temu z sukcesami odniesionymi przez swoich dowódców i żołnierzy'.

„Przygotowanie obronne państwa 1935-1939", seria: Wojskowe Teki Archiwalne, opr. miękka, str. 704, wyd. Tetragon. Cena: 79 zł.
Szósty tom materiałów źródłowych ukazujących się w serii WTA poświęcony jest przygotowaniom obronnym państwa polskiego w latach 1935-1939. Ideą przewodnią publikacji jest ukazanie poprzez przedstawienie wybranych istotnych dokumentów wytworzonych przez władze cywilne i wojskowe zasadniczych kierunków polskich przygotowań wojennych w obszarze cywilnym, a w tym kontekście – relacji między cywilnym kierownictwem państwa a organami wojskowymi. Prezentację tej tematyki rozpoczyna tom poświęcony przygotowaniom w dziedzinie prawa i szeroko rozumianej administracji. Skupiono się w nim na ukazaniu prac legislacyjnych związanych z przygotowaniem prawa na okres wojny, a także na projektowanych zmianach w zakresie administracji cywilnej, ogólnej i specjalnej, które miały dostosować ją do funkcjonowania w zupełnie nowych warunkach.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Marek Kuc „Autobusy z Sanoka 1950-2013", opr. miękka, str. 176, Wyd. Komunikacji i Łączności. Cena: 55,80 zł.
W tej bogatej ilustrowanej publikacji przedstawiono prototypy oraz seryjne autobusy produkowane w sanockiej wytwórni od 1950 roku. Podano tutaj szczegóły ich powstania, opisy budowy i podstawowe dane techniczne. Zamieszczono wiele archiwalnych zdjęć pojazdów wytwarzanych w sanockiej fabryce. Uwzględniono pojazdy nie tylko produkowane w całości, lecz także powstałe w wyniku kooperacji z innymi producentami. W książce wykorzystano materiały udostępnione przez PIMOT i Autosan S.A.

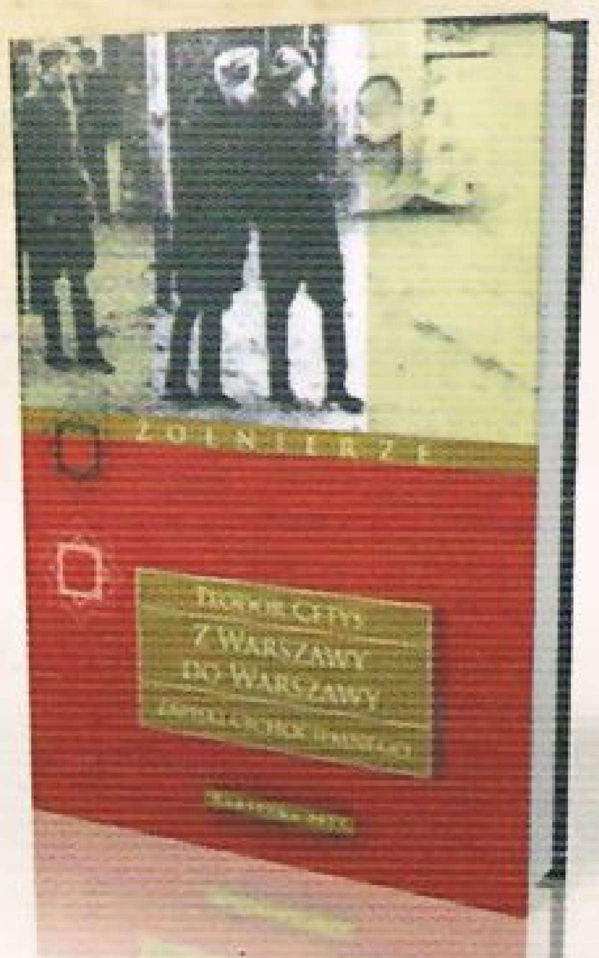

Teodor Cetys „Z Warszawy do Warszawy", opr. twarda, str. 216, wyd. Tetragon. Cena: 49,90 zł.
Wspomnienia cichociemnego, mjr dypl. Teodora Cetysa mają niezwykłą wartość historyczną. Oprócz opisów faktów i zdarzeń, czytelnicy znajdą tu choćby ciekawe charakterystyki oficerów kursantów Wyższej Szkoły Wojennej z 1941 r. Z zapisków Cetysa wyłania się obraz odważnego i odpowiedzialnego żołnierza, ale także normalnego mężczyzny, szarpanego emocjami i czasami strachem - o bliskich, o swoich podwładnych, o swoje umiejętności. Wartością samą w sobie są fragmenty dziennika prowadzonego przez autora we Francji i w Anglii – niezwykle interesujący obraz młodych, trzydziestokilkuletnich, a przecież już dojrzałych w walce oficerów PSZ. Książka zawiera materiały dodatkowe – naukowy opis kariery wojskowej Cetysa autorstwa Juliusza Tyma, a także spojrzenie syna – Marka Ostrowskiego, na swojego ojca.

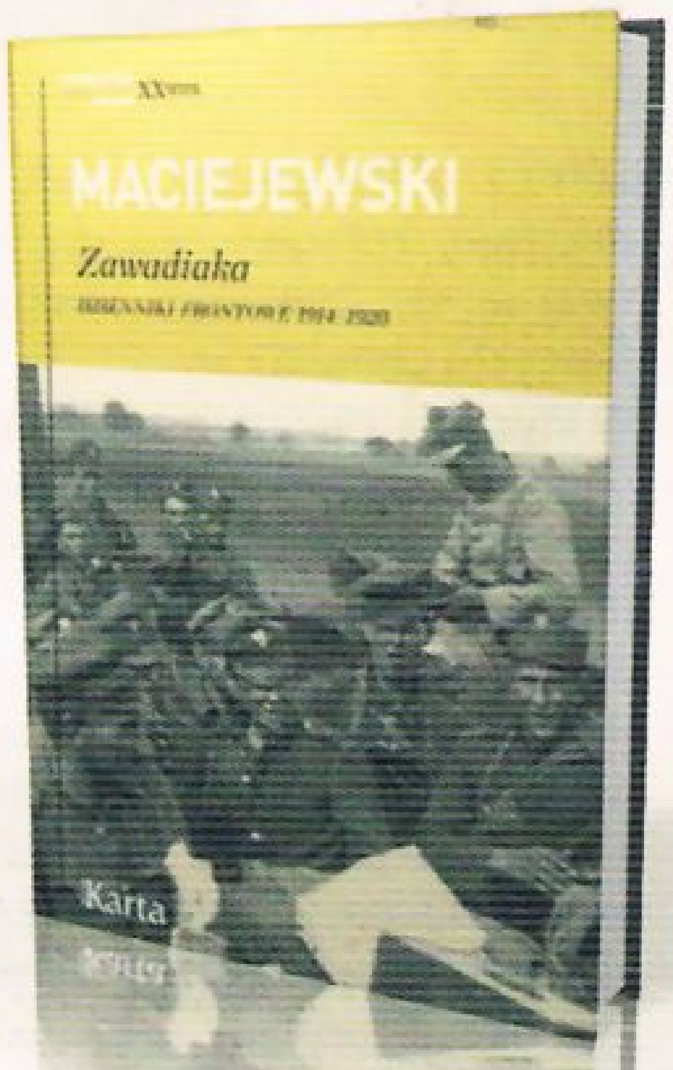

Jerzy Konrad Maciejewski „Zawadiaka. Dzienniki frontowe 1914-1920", opr. miękka, str. 424, wyd. KARTA. Cena: 34 zł.
Dzienniki i wspomnienia pisarza, publicysty i żołnierza 19 Pułku Piechoty Odsieczy Lwowa, który walczył w 1918 roku o Lwów, w 1919 na froncie polsko-ukraińskim, a w latach 1919-1920 brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Autor otwarcie opisuje warunki życia w trakcie I wojny światowej, wszystkie wymiary frontu i życia na jego zapleczu w czasie wojny z Ukraińcami i bolszewikami: brutalność walk, znęcaniu się nad jeńcami, gwałtach i rabowaniu ludności cywilnej. Podczas I wojny światowej dzienniki pisane są z perspektywy obserwatora wędrujących przez tereny polskie frontów i uczestnika życia na tyłach, które w owym czasie było wyjątkowo dramatyczne. Od momentu decyzji o wstąpieniu do Wojska Polskiego w listopadzie 1918 r., autor pisał już z perspektywy żołnierza. Notował niemal codziennie szlak swego pułku, a w połowie lat 20. krótkie notatki uzupełnił szerszymi opisami.

Marek Zajączkowski „Wielkopolskie oddziały wojsk łączności 1919-1939", opr. twarda, str. 632, Wydawnictwo Miejskie Posnania. Cena: 79 zł.
Niniejsza publikacja stanowi pierwsze, pełne opracowanie dziejów wojsk łączności z terenu Wielkopolski. Marek Zajączkowski dotarł m.in. do zachowanych i w większości niepublikowanych dotąd wspomnień, sprawozdań, relacji i pamiętników byłych żołnierzy łączności, które znacząco uzupełniły luki występujące w dokumentach archiwalnych. Wiele cennych relacji to wynik osobistych rozmów oraz wymiany korespondencji między autorem a byłymi żołnierzami. Zajączkowski korzystał także z instrukcji, regulaminów oraz różnego rodzaju opracowań powstałych w latach 1918-1939. Pracę wzbogaca nieznana dotąd ikonografia, która ukazuje sylwetki żołnierzy łączności, ich codzienną służbę oraz to jak spędzali czas wolny i święta.

Łukasz Nadolski „Iracki blitzkrieg", opr. miękka, str. 104, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 42 zł.
Prezentowana publikacja ma za zadanie przedstawić słabo do tej pory opisywany aspekt konfliktu w Zatoce Perskiej, który bez wątpienia był przełomowym wydarzeniem w dziejach wojskowości. Autor przypomina o dwóch dużych operacjach zaczepnych przeprowadzonych przez armię iracką – inwazji na Kuwejt i próbie zajęcia saudyjskiego miasta Al Khafji. Pierwsza z nich zakończyła się pełnym sukcesem, zaś druga spektakularna klęską. „Iracki blitzkrieg" to książka, która próbuje przybliżyć te dwie bitwy ukazując ich przebieg, a także doświadczenia zwykłych żołnierzy i oficerów.

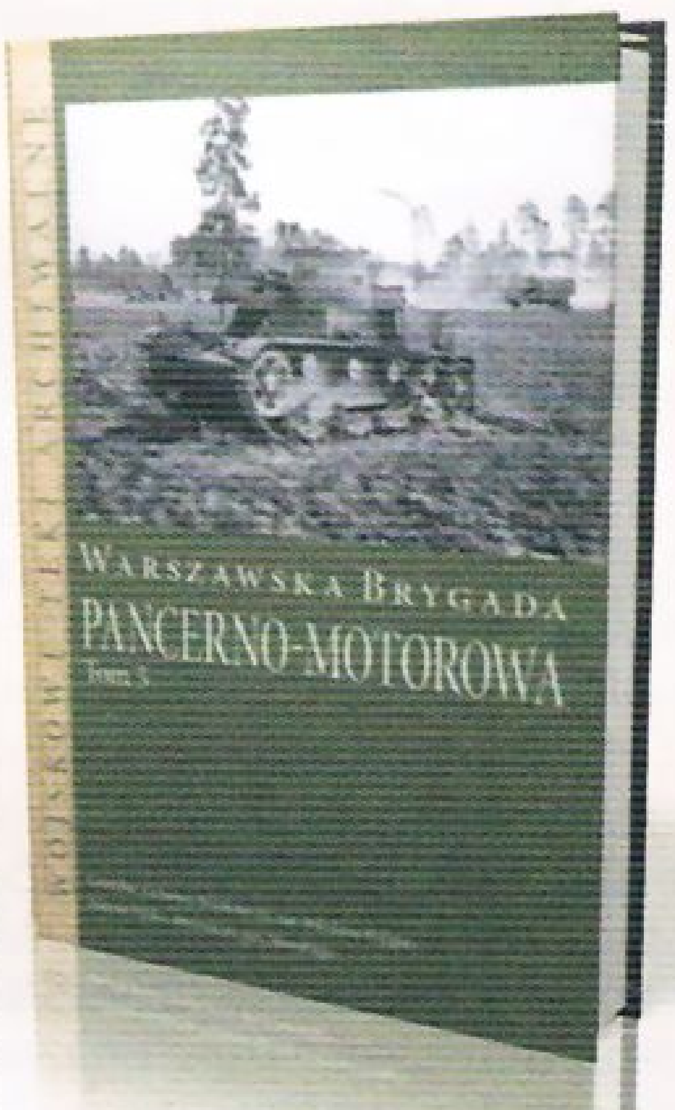

„Warszawska Brygada Pancerno--Motorowa", seria: Wojskowe Teki Archiwalne, opr. miękka, str. 724, wyd. Tetragon. Cena: 79,90 zł.
Piąty tom materiałów źródłowych ukazujących się w serii WTA poświęcony jest Warszawskiej Brygadzie Pancerno--Motorowej. W przygotowanej przez CAW i wydawnictwo Tetragon publikacji znalazło się ponad 120 dokumentów (wraz z ich reprodukcjami) oraz ponad 70 relacji (wraz z krótkim notkami biograficznymi o ich autorach) dotyczących Warszawskiej Brygady Pancerno--Motorowej. Relacje te sporządzone są nie tylko przez dowództwo WBP-M, a także przez żołnierzy poszczególnych pułków, dywizjonów i batalionów.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI". To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY" Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET" Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

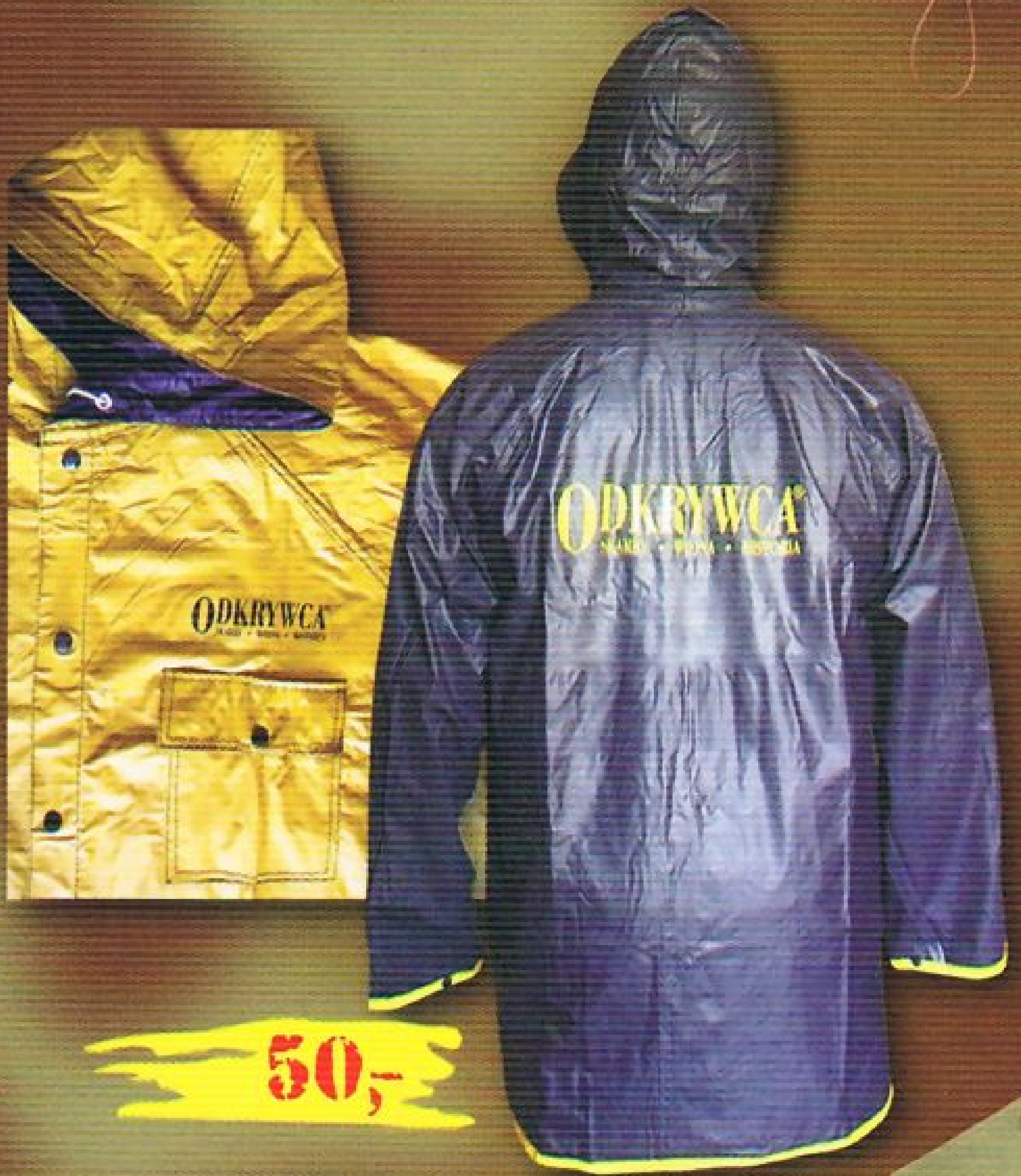

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 5/196

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Fundacja Ochrony Zabytków Militarnych
Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich
oraz Radny Dzielnicy Białołęka m.st. Warszawy Marcin Korowaj
zapraszają na:

III PIKNIK HISTORYCZNY
„NA BERLIN! OSTATNIE DNI WOJNY"

30-31 maja 2015 r.

Port Żerański – Warszawa Białołęka (Modlińska 14)

W PROGRAMIE!

- **WYSTAWA ZBIORÓW** Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich.
- **DIORAMY** historyczne przedstawiające formacje wojskowe walczące w latach 1944-1945.
- **PREZENTACJA** wyposażenia, umundurowania oraz sprzętu typowego dla danych jednostek okresu II wojny światowej.
- **REKONSTRUKCJE** historyczne prezentujące słynne polskie bitwy i potyczki z lat 1944-1945.
- **POKAZY W RUCHU** unikatowych, zabytkowych pojazdów z epoki m.in. czołgów Sherman, Stuart, T-34. Dla zwolenników mocnych wrażeń – **PRZEJAŻDŻKI POJAZDAMI PANCERNYMI I TERENOWYMI** po trudnym terenie.
- **DYNAMICZNY POKAZ AMFIBII K-61** na terenie basenów portowych. Ochotników zapraszamy na pokład!
- **INTERAKTYWNA STREFA EDUKACYJNA** przygotowana przez Muzeum II Wojny Światowej.
- **SPOTKANIA AUTORSKIE** z twórcami popularnych książek historycznych.
- **GRY I KONKURSY** historyczne, loteria: wygraj przejażdżkę, pokaz mody cywilnej i wojskowej z lat 40. w wykonaniu GRH Bluszcz.
- **WYJĄTKOWY DZIEŃ DZIECKA** w klimacie żołnierskim.

GWARANTUJEMY NIEPOWTARZALNĄ ATMOSFERĘ I WIELE INNYCH ATRAKCJI! ZAPRASZAMY Z CAŁYMI RODZINAMI!

Organizatorzy:
- Fundacja Ochrony Zabytków Militarnych
- Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich
- Radny Dzielnicy Białołęka m.st. Warszawy Marcin Korowaj

Patronat honorowy:
- Minister Obrony Narodowej **Tomasz Siemoniak**
- Burmistrz Dzielnicy Białołęka m.st. Warszawy **Piotr Jaworski**

Patroni honorowi: Partnerzy generalni: Partnerzy: Organizatorzy:

Znajdź nas na FB: www.facebook.com/PanzerFarm

Patroni medialni: ODKRYWCA, AUTOMOBILISTA, CZAS BIAŁOŁĘKI, Echo, magnum X, Technika Wojskowa HISTORIA, Poligon, KAGERO, MILITARIA